

ZAKOPANIE ŻYWCEM
TO DOPIERO DOBRY POCZĄTEK

Między młotem a imadłem

OLGA
RUDNICKA

Prószyński i S-ka

DETEKTYW MATYLDA
NA TROPIE!

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

**OLGA
RUDNICKA**

**Między młotem
a imadłem**

Prószyński i S-ka

Copyright © Olga Rudnicka, 2023

Projekt okładki

Paweł Panczakiewicz

www.panczakiewicz.pl

Zdjęcia na okładce

© Chinnasorn Pangcharoen/Dreamstime.com

© Chernetskaya/Dreamstime.com

Redaktor prowadzący

Anna Derengowska

Redakcja

Ewa Witan

Korekta

Katarzyna Kusoń

Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8352-607-2

Warszawa 2023

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

15 czerwca 2012

Piątek, bardzo, bardzo długi dzień

Mąż Matyldy wyglądał jak paszczur po kuracji odchudzającej. Albo wyblakła sowa. Tudzież szczurołak z *Wiedźmina*, którego komisarz Mizera namiętnie czytała. Krótko mówiąc – miernie, mizernie i nijako. Zupełne przeciwieństwo detektyw Dominiczak, babki przebojowej, z ikrą i błyskiem w oku. Związki często opierają się na przeciwieństwach, które najpierw ludzi łączą, potem wkurzają. Przeciwieństwa mogą też wzajemnie się uzupełniać, ale w tym przypadku obstawiała pierwsze wrażenie.

Niebieskie oczy, ukryte za pomazanymi soczewkami okularów, można by uznać za ładne, gdyby były bardziej widoczne. Zaniedbany zarost, przydługie włosy, do tego nastroszone. Ciało chude i wysokie, cud, że jeszcze się nie złamało pod ciężarem zgarbionych ramion. Jedyne, co można mu było zapisać na plus, to brak brzucha. Facet miał tylko kręgosłup i pępek. I ręce tak długie, że gdyby zgarbił się jeszcze trochę, wiązałyby buty na stojąco.

Wyblakła koszulka z nieczytelnym napisem i dresowe spodnie, w które zmieściłoby się jeszcze dwóch takich jak Roman Dominiczak, nie poprawiały wrażenia. Mimo że rozmawiali od kilkunastu minut, nadal zdawał się kiepsko kojarzyć, na jakim świecie żyje i że to czerwiec. O rok na szczęście nikt go nie pytał, bo dopiero czekałaby go niespodzianka.

– Zacznijmy jeszcze raz – powiedziała łagodnie komisarz Katarzyna Mizera, współczując w duchu Dominiczakowi, którego komisarz Marecki przed chwilą przepytał na tyle okoliczności, że tamten nie przyznał się do zamordowania prezydenta Kennedy’ego wyłącznie dlatego, iż do zamachu doszło przed narodzinami Romana. W przeciwnym wypadku, któż to wie, może wskazałby również miejsce ukrycia Bursztynowej Komnaty.

– Odmawiam odpowiedzi na pytania, które mogłyby mnie narazić na odpowiedzialność karną – zdecydowanie oświadczył przesłuchiwany, nerwowo przecierając okulary dołem koszulki.

O, w końcu się obudził, pomyślała, ale nie zdążyła o nic zapytać, gdyż ubiegł ją kolega.

– A co?! Zabił pan Matyldę?! – wybuchnął komisarz, nie kryjąc zdenerwowania.

– Oczywiście, że nie – obruszył się przesłuchiwany małżonek.

– Pobił ją pan? Uwięził? – dociekał Antoni, nie kryjąc zgryźliwości.

– Oczywiście, że nie. Za kogo mnie pan uważa?! – oburzył się mąż poszukiwanej.

– No to nie ma powodu do odmowy! I niech do pana dotrze, że Matylda zaginęła.

– Czyżby? – mruknął Roman, wyraźnie nieprzekonany, poprawiając się na krześle.

– Sądzi pan, że to żart? – Marecki przecesał palcami ciemne włosy, by zająć czymś ręce i nie zacisnąć palców na grdyce Dominiczaka. Mocno wystające jabłko Adama aż się prosiło, by wbić w nie kciuki.

– Musimy ją znaleźć. – Kaśka starała się pokazać swoją życzliwą kobiecą twarz matki Polki, choć chętnie potrząsnęłaby facetem, zatem nie zmieniała intonacji głosu, mówiąc jak superniania, która jeszcze nie ujawniła miejsca ukrycia karnego języka.

– Rozumiem, że musicie ją znaleźć, ale nie rozumiem, dlaczego uważacie, że zaginęła?

Marecki nie mógł ujawnić przesłuchivanemu, dlaczego przypuszcza, że Matyldzie coś zagraża. Komisarz Mizera również sceptycznie podchodziła do jego podejrzeń, choć nie odstępowała go na krok. Może go pilnowała, a nie wspierała, ale ważne, że trafiły się dodatkowe ręce do pracy i główka nie od parady. Przeniesienie Kaśki na miejsce emerytowanego już komisarza Tomczaka było jak dodatkowe Boże Narodzenie z prezentami. Chuda jak szczapa blondynka z włosami związanymi w kucyk i czekoladowymi, sarnimi oczami powinna chodzić po wybiegu, a nie biegać za bandziorami, ale stanowiła nieocenione wsparcie. Niejeden dał się nabrać na jej wygląd, sądząc, że ma do czynienia z nierozgarniętą blondynką tudzież kociakiem. Ostatni, który ją tak nazwał, nadział się na jej pięść. A cios miała, że ho, ho!

– Odpowiedź naraziłaby dobro śledztwa – wyburczał standardową wymówkę, żeby nie przyznać, iż właśnie próbuje zatuszować niedociągnięcia.

Tak naprawdę nic jeszcze się nie wydarzyło. Matylda po prostu nie odbierała telefonu. Nie było jej ani w biurze, ani w domu. Mogła przecież pracować, choć po bombie, którą zrzuciła na głowę Antoniemu, wątpił w inne wyjaśnienie niż to, że detektyw Dominiczak ma kłopoty.

– Od czasu zmiany pracy, czemu byłem całkowicie przeciwny, często przepada. Nigdy nie wiem, czy jest w domu, czy jej nie ma. Do tego wraca o różnych godzinach, więc szczerze mówiąc, zupełnie nie wiem, jak mam odnieść się do państwa rewelacji. Rzecz w tym, że ja wcale nie uważam, że zaginęła. Pewnie kogoś śledzi i tyle – w końcu powiedział zde gustowany Roman. – Może się czołga gdzieś pod płotem albo wisi na drzewie, żeby zajrzeć komuś w okno. Pojęcia nie mam i, co więcej, nie obchodzi mnie to.

Miał ciężką noc. Demonica sprąła jego paladyna na kwaśne jabłko i jakby tego było mało, ukradła mu miecz, a on nie miał dość mocy, by w porę się uzdrowić i podjąć walkę.

Klient wydzwaniał o fakturę, jakby samo wykonanie zlecenia przez Romana nie wystarczyło, i jeszcze uparł się, by za nią zapłacić. Oczywiście, że nie pracował za darmo, ale czemu tym ludziom tak się spieszy z płatnościami?

I kot. Ruda bestia siała alergeny po całym mieszkaniu, próbując doprowadzić go do rychłej śmierci.

To, że Matylda znów gdzieś przepadła, nie znajdowało się nawet w pierwszej dziesiątce życiowych problemów Romana!

– Wyrwaliście mnie ze snu, przeszukaliście mieszkanie, nie pytając mnie o zgodę, i zarzucacie mi... – Wcisnął okulary na nos i kontynuował już mniej pewnie: – No tak dokładnie to niczego mi nie zarzucacie, ale Matylda i ja jesteśmy tak jakby w trakcie rozwodu. Chyba. Dopiero co to omówiliśmy i...

– Panie Romanie – Marecki starannie kontrolował gniew – rozwód nie rozwód, mieszkacie pod jednym dachem. Jak pan może nic nie wiedzieć!

– Mieszkanie pod jednym dachem nie czyni nas dobrym małżeństwem.

Słusznie, zauważyła w myślach komisarz Mizera.

– W przeciwnym wypadku nie rozmawialibyśmy o rozwodzie.

Nawet bardzo słusznie, uznała.

– Nie mam zielonego pojęcia, co wyczynia Matylda, i chyba nawet nie powinienem mieć. Czy jej nie obowiązuje jakaś zasada poufności?

– Tajemnica zawodowa – odpowiedziała mu policjantka.

– Właśnie. Więc czy nie byłoby dziwne, gdybym wiedział, co ona robi?

– Nie, nie byłoby, przecież małżonkowie rozmawiają ze sobą o pracy – upierał się Marecki, mimo że pojęcie o małżeństwie miał raczej blade.

Jako zdeklarowany singiel bywał tylko świadkiem na ślubach kolegów policjantów, a potem w rozwodach, które tylko utwierdzały go w raz powziętej decyzji. Randki są tańsze od rozwodów i mniej wyniszczające emocjonalnie niż małżeństwo.

– My nie – odparł ze zniecierpliwieniem Roman. – My nie rozmawiamy o pracy. Muszę napić się kawy.

Nie proponując im napoju, wstał i podszedł do ekspresu, który odniósł na powrót do kuchni po tym, jak w odruchu najświętszego oburzenia – kiedy to Tomczak wyłopał jego kawę – zabrał maszynę do swojego gabinetu. Okazało się, że przynoszenie wody w dzbanku i wynoszenie do kuchni napełnionego fusami pojemnika jest bardziej pracochłonne niż wykonywanie tych samych czynności w pobliżu zlewu i kosza na śmieci. Do tego niemyty regularnie pojemnik na fusy pokrywał się pleśnią.

– Wczoraj pracowałem do późna i rano odsypiałem. Nie wiem, o której Matylda wyszła do pracy. Nie jestem nawet pewien, czy wczoraj z niej wróciła. Spałem na sofie w gabinecie. Mówiłem, że się rozwodzimy?

– Wielokrotnie. – Nie miało to zabrzmieć ironicznie, niemniej musiało, bo Dominiczak spojrział na Antoniego z wyraźną urazą.

– Macie państwo ładne mieszkanie – rzuciła ni w pięć, ni w dziewięć komisarz Mizera.

Powiedziała to zupełnie szczerze, mieszkanie naprawdę było ładne. Duże, przestronne, kilkupokojowe, w dobrej dzielnicy, może przydałby

się remont, ale wartość lokalu z pewnością była spora. To mógł być motyw do pozbycia się żony.

– W kredycie.

Czyli niekoniecznie, uznała.

– I oczywiście nadal będę pomagał w spłacie – dodał.

– To wielkoduszne.

– Nie bardzo – odparł zgodnie z prawdą. – Kiedyś dostanie je Monika. Więcej dzieci nie mamy, więc robię to dla córki.

– Rozumiem. Uzgodniliście, jak podzielicie się resztą majątku?

– Zabieram ekspres, komputer i panią Ludmiłę – wyrecytował przesłuchiwany.

– Kim jest pani Ludmiła? – spytała podejrzliwie Kaśka, zdumiona informacją, że w życiu Dominiczaków jest jakaś inna kobieta.

Roman zdecydowanie nie wyglądał na zainteresowanego tą sferą. Dziecko musiał spłodzić w jakimś zaćmieniu umysłu, gdy padł mu światłowód. Innego wyjaśnienia tego cudownego rozmnożenia informatyka nie widziała. Może niewłaściwie go oceniała, ale spotykała się kiedyś z komputerowcem. Wszyscy byli tacy sami. Podłączyć ich do kontaktu i światłowodu, a przegapiliby apokalipsę i sąd ostateczny.

– Naszą nianią.

– Czyli dziecko też pan zabiera? – zdziwił się Marecki.

Miał już wcześniej styczność z Dominiczakiem. Nie uważał go za złego ojca, jednak facet nie zorientowałby się, że ma bliźniaczki, gdyby wchodziły do pokoju pojedynczo.

– Nie, dlaczego? – zdziwił się Roman. – Monika zostanie z matką.

– To po co panu niania? – spytał logicznie Marecki.

– Potrzebuję jej bardziej niż Matylda – wyjaśnił informatyk, wyraźnie zaskoczony. – To chyba oczywiste.

– Nie dla mnie. Ma pan swoją nianię? Czy chce pan powiedzieć, że ma pan z nią romans? – Wyraźnie nie dowierzał mężowi Matyldy.

– Ależ skąd! – zachnął się oburzony Roman. – Pani Ludmiła mogłaby być moją matką! Sprząta, gotuje i robi świetne pierogi! Jestem zbyt zapracowany, by zajmować się takimi prozaicznymi rzeczami!

– Czyli to właściwie pomoc domowa? – uściśliła policjantka.

– Właśnie! A co ja powiedziałem?

– Że niania.

– Aha – zakłopotał się, uświadomiwszy sobie w końcu, jak zostało odebrane jego stwierdzenie. – Niania też. Moniki.

– Zostawia pan córkę, a zabiera kobietę, która się nią opiekuje pod państwa nieobecność? – dociekała dalej Kaśka, próbując rozgryźć ten dziwny podział majątku.

– Nie mówię, że ma się nie zajmować Moniką. Chodzi o to, że... Właściwie to nie pani sprawa – oświadczył zirytowany. – Co ta niania ma wspólnego z rzekomym zaginięciem Matyldy?

– Zdaje się, że nic, ale przyzna pan, że to trochę sugestywne, gdy rozwodzący się mężczyzna odchodzi z nianią dziecka.

– Nie odchodzę z nianią, tylko ją zabieram. Matylda też może ją wynająć, jeśli uzna jej pomoc za potrzebną. Pani Ludmiła nie pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jestem więcej niż pewien, że ma własny dom, do którego wraca... Tak sądzę – niepewnie dodał po chwili.
– W tym domu wszystko jest możliwe. Może pani Ludmiła z nami mieszka, a Matylda mi nie powiedziała. To byłoby w jej stylu. Czasami wstaję i widzę wokoło dziwnych ludzi.

To się leczy, pomyślał z ironią Marecki.

– Rozumiem – mruknęła rozbawiona Kaśka. – Nie myślał pan o opiece naprzemiennej?

– Nade mną?

– Nie, nad dzieckiem. – Z trudem powstrzymała wybuch śmiechu.

Wypisz wymaluj Radzio z komisariatu. Czy wszyscy informatycy są szcyci na miarę? Żona Radzia dzwoniła codziennie o jedenastej, by poinstruować go o konieczności wyjęcia drugiego śniadania z torby, a następnie kazała mu głośno przeżuwać, by mieć pewność, że mąż istotnie je zjadł.

– A, to... Nie, to niemożliwe. Mam alergię.

– Na dziecko?!

– Nie, na kota. Dlatego Monika zostanie z Matyldą. Ale muszę przyznać, że dała mi pani teraz do myślenia. Zarabiam więcej niż żona, może zatem powinienem opłacać nianię, gdy Matylda będzie w pracy...
– Podrapał się po głowie. – Na pewno będzie pomagać jej matka, jednak dodatkowa osoba też się przyda. Monika jest bardzo samodzielna jak na dziesięciolatkę, ale nie powinna zostawać sama w domu, gdyby Matyldzie trafiła się jakaś nocna praca.

– Wydawało mi się, że Monika ma dwanaście lat – zauważył Marecki.

– No dwanaście, a powiedziałem, że ile?

– Dziesięć.

– Mogłem się przejęzyczyć – odparł wyraźnie zawstydzony Roman. – Poza tym jest bardzo drobna. Wygląda na dziesięć lat.

Hm, mruknął do siebie nieprzekonany komisarz. Może i wyglądała na dziesięć lat, ale na zdjęciu sprzed dwóch lat. Dziewczynka była szczupła, owszem, jednak nie nazwałby jej drobną. I wysoka. Wzrost odziedziczyła po ojcu. Może powinien zapytać, kiedy Roman po raz ostatni widział córkę?

– Przecież córka mogłaby wtedy nocować u pana – zasugerowała Katarzyna.

– Wtedy, to znaczy kiedy?

– Gdy pani Matylda będzie miała nocną zmianę, a pan się wyprowadzi.

– Dokąd?

– Nie wiem dokąd, ale po rozwodzie chyba się pan wyprowadzi?

– A, wtedy... no tak... wtedy to nawet na pewno. Chybaby wypadało... Poniemkąd... – Roman na razie nie rozważał praktycznych kwestii rozstania z żoną, nie licząc ekspresu i pomocy domowej. – No niby tak, jednak już mówiłem, że mam alergię.

– Na kota.

– Właśnie.

– Więc nie będzie pan widywał córki?

– Dlaczego miałbym jej nie widywać?

– Z powodu kota.

– No... – Spojrzał na nią podejrzliwie, wyczuwając w jej głosie drwinę, lecz w tym momencie ekspres skończył nalewać kawę, więc Roman skoncentrował się na parującym kubku.

– Chyba że Matylda się nie znajdzie, wtedy Monika zostanie ze mną. – Sądząc po wzroku, którym zmierzyła go dwójka policjantów, dowcip nie został dobrze przyjęty. – Oczywiście do tego nie dojdzie, bo wcale nie zaginęła. Porozmawiajcie z tym starym policjantem – poradził. – Tomczak się nazywa. On powinien coś wiedzieć. Matylda spędza z nim więcej czasu niż ze mną, więc byłby to lepszy trop niż sprawdzanie pod materacem, czy nie schowałem tam zwłok żony.

Marecki nie skomentował ani słowem, że zajrzał tam w poszukiwaniu ewentualnych zapisków Matyldy, a nie jej ciała. W razie jakiegoś pojedynku na noże stawiał na Matyldę. Jedyne ciało, jakie mogłoby rozkładać się w łóżku Dominiczaków, należałoby do Romana.

Gdyby ktoś miał tu paść trupem, to byłbyś ty, koleś, pomyślała komisarz Mizera, nazywana przez Matyldę Mierną bądź Mizerną, a przez Tomczaka Chudą Kaśką.

Stary mizogin. Pomysł rozmowy z byłym już komisarzem policji przyjęła z niechęcią. Nie lubiła dziadygi, a i on za nią nie przepadał. Ale co robić, mus to mus. Facet rzeczywiście może coś wiedzieć, tym bardziej że Dominiczak zlecała mu jakieś małe robótki. Tylko że po tym, co musieli z Mareckim odkręcać po przejściu Tomczaka na emeryturę, trudno jej było sobie wyobrazić zlecenie, którego by tamten nie zawałił, ale może detektyw Dominiczak ma mniejsze wymagania kompetencyjne.

– Gdyby pani Matylda się odezwała, pojawiła albo dała jakikolwiek ślad życia, proszę zadzwonić – powiedziała, podając Dominiczakowi wizytówkę. – Chyba że kolega ma jeszcze jakieś pytania?

Marecki, sądząc po jego minie, nie miał. W końcu o co można pytać kogoś, kto nic nie wie? Zatem tylko pokręcił przecząco głową.

– Doskonale. Na razie to wszystko, ale jeśli żona nie zjawi się do niedzieli, proszę zgłosić zaginięcie. Oficjalnie – poleciła Dominiczakowi komisarz Mizera.

– Niech będzie – zgodził się niechętnie. – Ustawię sobie alarm w telefonie, żeby nie zapomnieć...

*

Po kilku godzinach spędzonych w trumnie Matylda była wściekła jak dzika osa. Gdy przekonała się, że nie brakuje jej powietrza, doszła do wniosku, iż Wujek chce ją tylko nastraszyć, a nie zamordować. W przeciwnym wypadku już dawno zaczęłoby jej się kręcić w głowie z niedotlenienia, a potem straciłaby przytomność i umarła. To, co wydawało się spadającą na wieko ziemią, mogło być czymkolwiek innym, imitującym pochowanie żywcem. Na przykład kocim żwirkiem. Tak naprawdę leży zapewne w trumnie w chłodni domu pogrzebowego i czeka, aż skruszeje wystarczająco, by zrobić wszystko, co jej każe Wujek, i jeszcze cmoknąć go w mafijny pierścień.

Smerdolony gangster, zaklęła. Nie dość, że znów dla niego pracuję, wywiązuję się z zadania, jak trzeba, to ten jeszcze taki numer mi wycina. I po co? No po co? I tak nie odważyłabym się mu podskoczyć. I jeszcze ten smerdolony prawnik! Jeśli przeżyje, będzie ją reprezentował przy każdym rozwodzie, gdyby kiedyś znowu popełniła ten życiowy błąd i wyszła za męża. I to za darmo!

Na pomoc! – miała ochotę wrzeszczeć, ale nie da im tej satysfakcji. Nie złamie się. Poza tym mogą jej nie usłyszeć, jeśli zamknęli trumnę w szufladzie lodówki domu pogrzebowego.

Na pewno jesteś pod ziemią. Nie masz zasięgu w telefonie, zauważył całkiem sensownie głos.

W piekle na ogół nie ma zasięgu, głosik poparł jego spostrzeżenie.

Ci spaleni to dopiero mieliby przerąbane, wieczność w piecu? – zdziwił się głos. Może to odmiana karnego języka dla ateistów krematoryjnych, podjął rozważania.

Oczywiście, zgodziła się z nimi, mogą właśnie przeżywać swoje życie pozagrobowe. Być może tak wyglądają zaświaty dla ateistów. Budzisz się po życiu w trumnie i zostajesz w niej tak długo, aż doznasz jakiegoś objawienia.

Jak ciepłko, to piekielko, a jak ciemność, to... – Tu głosikowi najwyraźniej zabrakło rymu, bo umilkł, nim Matylda przywołała go do porządku.

Ale żeby zaraz piekło? Nie przesadzajmy, wtrącił się głos.

Piekło dla ateistów na pewno ma oddzielne wejście i wyjście, podjął rozważania głosik. Nie chodzi o objawienie, tylko nawrócenie, ale ja wiem, czy to pomoże? Może być za późno.

Piekło dla ateistów? Może być. Ci wierzący smażą się w kotłach ze smołą, a ateści leżą w trumnach i zostają sami ze sobą przez wieczność, oczekując pojawienia się robali, które będą ich stopniowo pożerać.

Zaraz, zaraz, dlaczego takie piekło jest tylko dla ateistów? – zdziwiła się Matylda, nie mogąc pojąć logiki prowadzonych przez podświadomość rozważań. Chyba wszyscy troje zaczęli ciut histeryzować.

Cała reszta na przemyślenia ma czyściec, rozchichotał się głosik.

– Matylda, weź się w garść – szepnęła do siebie. – Nie słuchaj podświadomości, bo nic dobrego ci nie podpowiada. Lepiej rozważ swoje możliwości.

Za wiele ich nie ma, odezwał się znów głos w głowie Matyldy.

Wnieśmy się ponad zło, zaczął nucić głosik.

Ja smerdołę, pomyślała smętnie. Oszalałam.

Spokojnie, to nie szaleństwo, tylko parcie na pęczek, pocieszył ją głos.

To jednak nie czyściec, to piekło, uznała Matylda. Inaczej być nie mogło. Jak się zsikam, nigdy tego Wujkowi nie wybaczę, pomyślała w kolejnym porywie gniewu.

Niech żyje bal! Bo to życie to bal jest nad bale! – zanucił głosik w głowie Matyldy. Ten tekst był bardziej adekwatny do sytuacji niż piosenka Rynkowskiego.

– *Niech żyje bal* – zanuciła na głos piskliwie. – *Drugi raz nie zaproszą nas wcale.*

Niestety, nie pamiętała, co było dalej. Może to i lepiej, uznała. Melodia, którą nuciła, daleka była od oryginału, bardziej przypominała *Kiedy ranne wstają zorze*. Biedna matka przewróciłaby się w grobie, gdyby tam się znalazła i usłyszała moje pienia. Na szczęście mama jeszcze żyje i nie wie, co wyśpiewuje Matylda.

Nie dołuj się tak, pochowano cię żywcem, masz prawo fałszować, ile się da, pocieszył ją głosik.

I tak nikt cię nie usłyszy, dodał ponuro głos.

*

Kaśka w milczeniu przeglądała wiadomości w telefonie, czekając, aż Antoni w końcu zabierze głos i wyjaśni, w czym rzecz. Domniemywała, że chodzi o te cztery zaginione kobiety, których nazwiska podał jej rano komisarz z prośbą o sprawdzenie, i mężczyznę, przewiezionego potem na komisariat. Wszystkie zaginione wyglądały niemal identycznie, a z tego, co zrozumiała, łączył je były kochanek – Artur Dębski. Poczowała smród, gdy tylko zobaczyła zdjęcia kobiet, niemniej było to za mało, by podejrzewać kogokolwiek o cokolwiek. Co Mareckiemu nie przeszkodziło wezwać w trybie przyspieszonym rzekomego podejrzanego, czyli wysłać po niego patrol, choć nawet nie mieli wszczętej oficjalnie sprawy. Poza tym, że nazwiska kobiet dostał prawdopodobnie od Matyldy, nie miała zielonego pojęcia, jak ta wciągnęła go w ów galimatias, który odbije się czkawką na karierze Antoniego.

Rozmowa z Dębskim, bo trudno by to nazwać przesłuchaniem, niczego nie wniosła do sprawy, której oficjalnie nie było. Facet nic nie wiedział, niczego nie pamiętał, nikogo nie kojarzył, niczego nie zrobił.

Prześladowanie? Owszem, możliwe, ale wiedział, że stalking ścigany jest na wniosek, nie z urzędu, a on żadnego wniosku nie składał.

Nie, nie zatrudniał detektywa. Z tego, co mu wiadomo, zrobiła to ostatnia dziewczyna, z którą się spotykał.

Nie, nie widział przeszkód, by współpracować z Matyldą, skoro nie on za nią płacił.

Zresztą, o ile wie, bycie ofiarą nękania nie jest karalne.

Zaginione kobiety? Pierwsze słyszy. Nie zwykł śledzić losów swoich dawnych dziewczyn, było ich zbyt wiele.

I dalej tak w ten deseń, a na koniec rzucił coś, co Mareckiego doprowadziło do białej gorączki.

– Aha, a gdyby potrzebował pan wykładni prawa co do zatrzymania mnie jako osoby podejrzanego w sprawie przestępstwa, którego nie

popelniono, proszę skonsultować się z Tytusem. Jestem więcej niż pewien, że doskonale wyjaśni panu pańskie miejsce w szeregu, panie komisarzu Marecki – powiedział obojętnie.

Gnój nawet nie silił się na sarkazm. Po prostu miał ich w przysłowiowej i dosłownej dupie.

– Tytus to pański prawnik? – spytała Kaśka, zanim Antoni dopadł Dębskiego i nim potrząsnął, czego zwykle nie czynił z podejrzanymi.

Dziś jednak wyglądał na wyjątkowo wzburzonego, do czego przyczyniał się fakt, że nie mógł się dodzwonić do Matyldy. W dodatku komisarz wiedział coś, o czym jej nie powiedział. Właściwie nic jej nie powiedział. Nawet nie poprosił o pomoc. Sama sterczała przy nim jak wierna żona i czekała, aż porazi ich grom.

– Nie mój, wasz, że tak pozwolę sobie zauważyć. Tytus Obszmurek. Czy on przypadkiem nie jest szefem prokuratury? Proszę go ode mnie pozdrowić, jak będzie pan go pytał, co począć ze sprawą, której nie ma.

– Już to zrobiłem – warknął Marecki. – Kazał przesłuchać podejrzanego.

Rok wspólnej pracy wystarczył, by Kaśka zauważyła, jak jej kolega traci pewność siebie.

Dębski rozpadł się na niewygodnym krześle, tak jakby siedział w przepastnym, miękkim fotelu, i spytał z rozbawieniem:

– A wymienił pan nazwisko podejrzanego?

Antek nie zdołał powstrzymać wiele mówiącego grymasu. Kaśka na moment przytknęła oczy. Mamy przejebane, pomyślała.

Dębski również musiał jednoznacznie odczytać jej minę, gdyż sam sobie odpowiedział na to pytanie:

– Nie sądzę. Proszę to zrobić, a potem tu wrócić i skończyć ten cyrk.

Marecki wyszedł bez słowa. Na odchodne trzasnął drzwiami, dając upust emocjom. Katarzyna została jeszcze chwilę, przyglądając się przystojnemu trzydziestolatkowi, który obojętnie odwzajemnił jej spojrzenie. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna miał rudy odcień włosów, wyglądający na naturalny, ale połysk cynamonu zmieszanego ze złotem mógł pochodzić z drogiego salonu fryzjerskiego. Do tego

wypielegnowane dłonie, lśniące paznokcie bez skórek. Jej dłonie nigdy nie wyglądały tak dobrze, a ubranie zatrzymanego architekta nie pozostawiało żadnych wątpliwości, na sam taki garniak musiałaby pracować z pół roku, do tego biorąc łąpówki, czego nigdy nie czyniła.

– Zaginęły cztery kobiety. Nie obchodzi to pana? – spytała.

– Nie przypominam sobie żadnego z wymienionych przez was nazwisk, choć twarze wyglądają znajomo. Być może pozostawałem z nimi w bliższej relacji, ale nie przywiązuję większego znaczenia do kobiet, które pojawiają się w moim życiu, tak samo jak one nie przywiązują się do mnie. Ot, wzajemna wymiana usług i tyle. Nie interesuję się losami moich byłych kochanek – oświadczył spokojnie.

– To bardzo wygodne.

– Niekoniecznie, jak widać. Chętnie bym pomógł, gdybym potrafił, ale tak nie jest. Nikt wcześniej nie kontaktował się ze mną w sprawie tych zaginięć, co świadczy albo o waszej niekompetencji, albo o tym, że nie było powodu. Pani kolega zagalopował się, każąc mnie tu dowieźć jak pospolitego przestępcę.

– Nie przekroczył swoich uprawnień, jeśli to właśnie pan sugeruje.

– Niczego nie sugeruję... – Uśmiechnął się w taki sposób, że ciarki przeszły jej po plecach. – Pozostawię to do rozważenia prawnikom. Mój czas jest zbyt kosztowny, by tracić go na utarczki z szeregowymi pracownikami organów ścigania.

Antek naprawdę przesadził. Kaśka w duchu przyznawała rację zatrzymanemu architektowi. Cokolwiek wiedział Marecki, obowiązują ich procedury. Wprawdzie nie bez powodu wydzwaniał jak szalony do detektyw Dominiczak, od której zapewne dostał te informacje. Kobieta straci licencję jak nic, pomyślała, wstając z krzesła. Nie przepadała za Matyldą, musiała to przyznać, ale pomimo żywionej do niej niechęci nie życzyła jej czegoś takiego.

Ledwo zamknęła za sobą drzwi pokoju przesłuchań, gdy staranował ją sam prokurator. Rzucił jej wściekłe spojrzenie. Przed opluciem jadem ochroniły ją tylko jego gniewnie zaciśnięte wargi.

Otworzył drzwi z takim rozmachem, że huknęły w ścianę.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o ślepą sprawiedliwość, pomyślała kilka minut później, gdy prokurator Obszmurek wyprowadzał ich podejrzanego z pokoju, poklepując Dębskiego współczująco po ramieniu. Na nią na szczęście już nie popatrzył, ale spojrzenie, które rzucił Mareckiemu, źle wróżyło jego przyszłej karierze.

Pół godziny później, gdy Antek wrócił już od naczelnika, wyjechali oboje służbowym samochodem w nieokreślonym kierunku. O tym, że uczestniczy w poszukiwaniu Matyldy, komisarz Mizera dowiedziała się dopiero podczas spotkania z Romanem Dominiczakiem, gdyż kolega przez całą drogę nie odezwał się ani słówkiem.

– Powiesz mi wreszcie, co dokładnie się dzieje? – spytała, gdy stało się jasne, że Marecki nie zamierza niczego jej ułatwić. – Zachowujesz się jak słoń w składzie porcelany. Jeśli mam ją tłuc wraz z tobą, chciałabym chociaż wiedzieć dlaczego.

– Muszę znaleźć Matyldę. Jak nie zamierzasz mi pomagać, to wracaj na komisariat – odparł z nieskrywaną irytacją. Włączył syrenę oraz światła i wpadł na skrzyżowanie na czerwonym świetle. – Nie prosiłem, żebyś ze mną jechała.

– Nie zamierzam wyskakiwać z pędzącego auta. Dokąd jedziemy? Do tego starego pierdoły? Do Tomczaka? – Nie sądziła, by uściślenie było potrzebne, ale może Marecki w swoim notesie z adresami ma więcej takich reliktyw poprzedniej epoki.

– Do Tomczaka. Musi mi odpowiedzieć na jeszcze kilka pytań.

– Jeszcze? A na ile już odpowiedział? I kiedy z nim rozmawiałeś?

– Dziś rano, ale zadawałem niewłaściwe pytania.

Westchnęła.

– Jeśli zamierzasz ze mną rozmawiać w ten sposób, może faktycznie powinnam wysiąść.

Spojrzał na nią z ukosa, ale dzielnie wytrzymała wściekłe spojrzenie brązowych oczu. Marecki nie był zły na nią. Był zły na siebie.

– Zawaliłem – wyznał nagle z zakłopotaniem. – Matylda mogła wpakować się w niezłe bagno.

Oczywiście, pomyślała, o cóż innego mogłoby chodzić jak nie o tę domorosłą Nancy Drew, która rzuciła pracę w bibliotece, by ratować świat. Taka Superwoman bez broni. Sprawdziła to na wszelki wypadek, mając nadzieję, że żaden rozsądny człowiek nie wydałby jej pozwolenia na broń, i przekonała się, że Dominiczak nawet nie złożyła wniosku w tej sprawie. Nie byłoby problemu, gdyby szukała wyłącznie zaginionych kotów, ale Matylda za każdym razem miała to szczęście, że udawało jej się wplątać w aferę kryminalną. Tym razem pewnie też tak było, uznała Kaśka, kręcąc głową.

– Tego to już sama się domyśliłam. Ta kobieta przyciąga kłopoty – stwierdziła. – Jeśli ma to coś wspólnego z tamtymi zaginięciami, zachowam dla siebie wszystko, co mi powiesz, na wypadek gdyby ujawniła ci tajemnicę zawodową.

Marecki nawet nie próbował ukryć zaskoczenia słowami koleżanki. Kaśka Mizera była spokrewniona z jednym z najbardziej znanych adwokatów, większość jej rodziny stanowili adwokaci albo radcy prawni, zdaje się, że i notariusz się trafił. Dla nich była czarną owcą, która stanęła po przeciwnej stronie barykady. Z kolei on sam początkowo traktował ją nieufnie, jakby tylko bawiła się w policjantów i złodziei, ale z czasem przekonał się, że jest świetną policjantką. Bystra, pragmatyczna i odważna, stanowiła niezrównane wsparcie mimo swojej wiotkiej postury. Wysoka, chuda jak tyczka, nie bez powodu dorobiła się nadanego jej przez Tomczaka przydomku Chuda Kaśka. Nigdy jednak nie lubiła Matyldy, czemu niejednokrotnie dawała wyraz.

– Skąd ta zmiana? Myślałem, że nie lubisz Matyldy – zdziwił się Antoni.

– Irytuje mnie jak cholera – przyznała bez śladu skrupowania. – I trochę jej zazdroścę. Nie wiem, jak ona to robi, że widzi ziarenka piasku w korcu maku. Może to szczęście, może jakiś szósty zmysł, nie wiem, jednak może mieć rację, choć nie mam pojęcia w czym. Ale nie życzę jej źle.

– Wiem, o co ci chodzi. W jej szaleństwie jest metoda, której nikt nie rozumie, łącznie z nią samą, ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. – Zabrnął za daleko, by odsuwać Kaśkę, a po opierdolu, jaki zebrał od prokuratora, a przy okazji i naczelnika, potrzebował pomocy.

Musiał jej zaufać i powiedzieć wprost o rozmowie z Matyldą w nadziei, że jego koleżanka rzeczywiście nie zdradzi informatora.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Matyldą. Namąciła tak, że nie wiem, kto dla kogo pracuje i dlaczego. Tomczaka nawet nie pytałem, bo wątpię, żeby mu coś powiedziała, ale sprawy zasadniczo są dwie. Pierwsza – wszystkie dziewczyny Dębskiego otrzymywały pogroźki. Wszystkim po kolei kazano odczepić się od niego, a ten raczył każdą gadką szmatką, że ktoś go prześladowa i lepiej, żeby przestali się spotykać, dla dobra dziewczyny, rzecz jasna. Dębski niczego nie zgłaszał, bo, zdaniem Matyldy, było mu to na rękę. Matylda podejrzewała też, że on sam mógł podrzucać liściki z groźbami, żeby zakończyć kolejną znajomość. Jednak to tylko jej hipoteza.

– Ale cztery z tych kobiet zagięły? – ni to spytała, ni stwierdziła Kaśka.

– Tak, tylko że wczoraj Matylda jeszcze tego nie wiedziała.

– Dlaczego więc dała ci kartkę z ich nazwiskami?

– Bo nie mogła się skontaktować z tymi czterema.

– Często prosi cię o namiary na ludzi, z którymi nie może się skontaktować? – spytała podejrzliwie.

– Nie, to była wyjątkowa sytuacja.

– Jak zdobyła te nazwiska? Od Dębskiego? Rzekomo nie pamięta swoich dziewczyn, bo niby po co.

– Nie, od pracownicy spa, w którym bywały wszystkie dziewczyny Dębskiego, łącznie z Matyldą.

– Dominiczak się z nim spotyka?! – Katarzyna osłupiała. – Przecież ona totalnie nie jest w jego typie! To dlatego ten rozwód?! Niemożliwe, żeby...

– Oczywiście, że niemożliwe – przerwał jej gderliwie. – Matylda udaje partnerkę Dębskiego, żeby sprowokować prześladowcę.

– Nie jest w jego typie. Prześladowca nie nabierze się na to – odparła z przekonaniem.

Matylda była po trzydziestce, starsza od Dębskiego, i w porównaniu z wyglądem zaginionych kobiet wszędzie wszystkiego miała za dużo,

tylko wzrostu za mało.

– Daj mi dokończyć, potem będziesz pytać. Te cztery dziewczyny podobno były mocno przestraszone – kontynuował.

– Skąd ona to wie?

– Od kosmetyczki, która dała jej namiary na wszystkie eks Dębskiego. Dlatego się ze mną skontaktowała.

– Czy nikt nie przesłuchiwał go wcześniej w sprawie tych zaginięć?

– Nie. Kobiety zagięły kilka miesięcy po tym, jak skończyła się ich znajomość z naszym architektem, a w komendzie zrobili swoje. Przyjęli zgłoszenie i tyle.

– To bez sensu – uznała. – Po co prześladowca miałby je namierzać po zerwaniu, którego sam chciał, skoro w ich miejsce pojawiały się kolejne, które straszył?

– Teoretycznie masz rację, ale nie można zignorować faktu, że wszystkie te kobiety spotykały się z Dębskim. Obszmurek też był tego zdania, gdy przedstawiłem mu fakty. Uznał sprawę za rozwojową do chwili, kiedy się dowiedział, że osoba podejrzana to Artur Dębski, jego dobry znajomy. Szlag go trafił momentalnie.

– Słyszałam... – mruknęła, rozważając w myślach zasłyszane rewelacje, o ile nimi były.

– Wszyscy dookoła słyszeli – powiedział z nagłym przebłyskiem humoru.

– Nie da się ukryć. Zdaje się, że przestałeś być gwiazdą Obszmurka, któremu dostarczałeś najlepsze sprawy.

– Wygrane sprawy – dopowiedział z naciskiem.

Prokurator parł do zwycięstwa po trupach, przez jednych ceniony za nieustępliwość, przez innych znienawidzony, przez Matyldę nazywany Obszczymurkiem. Mareckiego lubił, bo ten zawsze dopinał śledztwo na ostatni guzik. Teraz przestał. Pytanie, czy zignoruje sprawę, gdy dostanie niezbite dowody na popełnienie przestępstwa, pomyślał zgryźliwie Antoni. Osobiście mu je dostarczy, choć jeszcze nie wiedział jak i kiedy. Ten Dębski śmierdział. Nie tylko Matylda miała nosa, Marecki też.

Kiedy dolatywał go fetor gówna, nie nazywał go końcowym produktem trawienia.

– Dlaczego uważasz, że Dominiczak mogło się coś stać? Mówiła, co zamierza?

– Nie, ale podejrzewała Dębskiego o jakieś chore zabawy.

– Typu Grey?

– Uważała, że prześladowca nie istnieje, a to sposób na pozbywanie się tych dziewczyn przez Dębskiego.

– Ale nie potwierdziła tego?

– Zdaje się, że nie.

– Może jednak prześladowca istnieje i jej się pozbył?

– To możliwe, jednak równie możliwe jest, że po prostu wyłączyła telefon i robię z siebie idiotę. Niemniej, jak mówiłem, Matylda brała pod uwagę, że to sam Dębski był prześladowcą i w ten sposób pozbywał się natrętnych kobiet. Do tego – nie mógł uwierzyć, że chce powiedzieć to głośno, ale jak szczerść, to szczerść – uważała, że Dębski może być psychopata, chociaż nie tylko o niego chodzi. Większym problemem wydawał się jej zleceniodawca.

– Kim jest?

– Nie wiem, nie powiedziała, ale z tego, co zrozumiałem, nie chciała dla niego pracować, bo go nie lubi, więc ów ktoś zatrudnił ją przez pośrednika.

– Dębski powiedział, że zatrudniła ją jego ostatnia dziewczyna.

– Powiedział, że z tego, co wie, a nic nie wie, więc nie brałbym za pewnik jego słów. Facet ściemnia jak cholera. Zatrudnił ją krewny dziewczyny, dla którego Matylda nie chciała pracować, ale pracuje dla pośrednika... – Urwał, zdając sobie sprawę, że to, co mówi, brzmi jak masło maślane. Chyba niewłaściwie oceniłem jej męża, pomyślał. Po kilku latach spędzonych z Matyldą też byłbym idiotą. – Chodzi o to, że nie przyjęłaby zlecenia, gdyby od początku wiedziała, dla kogo ma pracować. Tak sądzę.

– Więc Matylda nie wiedziała, dla kogo faktycznie będzie pracować, ale przyjęła zlecenie? Jaki w tym sens? Nie zwęszyła, że coś śmierdzi?

- Nie wiem, mogła się dowiedzieć po fakcie.
 - Dlaczego wówczas nie odmówiła? Wprowadzenie w błąd jest podstawą do unieważnienia umowy.
 - Nie wiem. Zapytam, jak tylko ją znajdę.
 - Znajdziemy – poprawiła go, wzdychając. – Sprawa zaczyna się wikłać dokładnie w stylu Dominiczak.
 - To akurat się zgadza – przyznał Antoni.
 - Czy ten zleceniodawca może jej zagrażać?
 - Nie wiem. Powiedziała, że go nie lubi, a nie że się go boi, więc trudno powiedzieć.
 - Gdybyśmy ustalili, kto jest zleceniodawcą, może dowiedzielibyśmy się czegoś więcej na temat Dębskiego, co pozwoliłoby nam pchnąć sprawę tych zaginionych dziewczyn w odpowiednim kierunku. I dlaczego właściwie ów tajemniczy zleceniodawca zlecił Matyldzie tę sprawę – zastanawiała się głośno.
 - Może pogrożki nie ustały i ta ostatnia kochanka stała się zagrożona? Zaczynam się zastanawiać, czy nie postąpiłem zbyt pochopnie, kazać sprowadzić Dębskiego na przesłuchanie. Trzeba było działać zgodnie z procedurami – nagle przyznał z zakłopotaniem.
 - Nie wydaje mi się – odparła. – Możesz mieć rację co do niego. Facet jest w coś zamieszany.
 - Powiedział ci coś, jak wyszedłem? – zainteresował się.
 - Właściwie nie, ale w pewnym momencie zapytał, czy nie myślałam o zmianie fryzury. Sugerowałby skrócenie włosów i zmianę koloru na granatową czerń.
- Zerknął na nią z ukosa. Faktycznie, Kaśka ze swoją szczupłą figurą była w typie Dębskiego, wystarczyłoby tylko zmienić uczesanie.
- Dostawiał się do ciebie?
 - Nie sędzę. Raczej chciał mnie wkurzyć, choć muszę przyznać, że ciarki przeszły mi po plecach, gdy zasugerował mi zmianę wyglądu – wyznała Kaśka, tracąc zwykłą pewność siebie.
 - Hm... – mruknął Marecki.

– To jeszcze o niczym nie świadczy, ale ciekawe, kim była kobieta zero.

– Co proszę? – zdziwił się, skręcając z piskiem opon na parking przed blokiem, w którym mieszkał Tomczak. Zatrzymał gwałtownie.

– Upodabnia je do kogoś, jak sądzę. – Nadal myślała na głos. – Ciekawe do kogo. Matylda nie wspominała?

– Nie, a ja nie pytałem. Wczoraj nawet nie byłem przekonany, że na coś wpadła – odrzekł Marecki. – Obiecała, że jeśli coś będzie na rzeczy, wtedy ujawni mi dane zaangażowanych osób, ale żeby mogła to zrobić, muszę ją najpierw znaleźć.

– I co potem?

– Zaczniemy działać w sprawie podejrzenia popełnienia przestępstwa, tego Obszmurek nie może nam zabronić. Zrobię to, co powinniśmy zrobić od razu, zamiast skracać sobie drogę. Wiem, na moim miejscu najpierw postarałabyś się o dowody, zamiast uprzedzać ewentualnego sprawcę, że go podejrzewamy – westchnął, przyznając rację Katarzynie, choć koleżanka nie powiedziała niczego głośno. – Nie powinienem wczoraj pić z Matyldą. To wszystko przez te cholerne drinki.

– Schlałeś się? – zdziwiła się komisarz Mizera.

Nie wiedziała, że Antek pije. Nigdy nie wyczuła, by był „wczorajszy”. Albo dobrze się kamuflował, albo dopiero zaczynał. Tak czy siak, to nie jest dobra wiadomość.

– Nie, ale ożłopałem się taką ilością bezalkoholowych drinków o dziwnych nazwach, że jeśli nie dostałem cukrzycy, to na pewno mam mgłę mózgową – odparł cierpko. – Matylda skontaktowała się ze wszystkimi dziewczynami, których dane zdołała ustalić. Zagięły tylko te cztery, ale ustaliła jeszcze kilka rzeczy, które mnie zaniepokoiły. Dębski poznał wszystkie swoje kochanki w centrach handlowych. Każdą następną zamienia w klon poprzedniej. Matylda twierdzi, że on ich nie poznaje, on je namierza.

O podejrzeniach Matyldy, że to psychopata, opartych na fakcie, że urodził się w listopadzie jak Ted Bundy i nie ziewa przy ludziach, postanowił Kaśce nie mówić. To nie był żaden argument, a mógł ją zniechęcić.

– Może mieć rację – odrzekła z namysłem. – Facet cuchnie mi na kilometr. Jeśli to psychol, to bardzo sprytny.

*

– U prząsniczki siedzą jak anioł dziewczeczki, przędą sobie, przędą cieniutkie niteczki. Kręć się, kręć, wrzecziono, wić się tobie, wić, ta pamięta lepiej, czyja dłuższa nić...

Reszty tekstu nie pamiętała, więc zaczęła ponownie wyśpiewywać tę samą zwrotkę. Chciało jej się pić, chciało jeść, ale najgorzej rzecz się miała z siusianiem. Znajdą ją tu na wpół oszalałą, z urojeniami i w mokrych spodniach.

– Wiem, o co chodzi. Chcecie mnie doprowadzić do szaleństwa, żeby nikt mi nie uwierzył, jak już stąd wyjdę. A pewnie wyjdę, bo ktoś wreszcie zacznie mnie szukać, i po nitce do kłębka policja dotrze do prawdy. Oczywiście nim ktoś się zorientuje, że zaginęłam, będzie po mnie, ale Miecio z tym swoim karawanem jest dość charakterystyczny, więc ktoś go namierzy, a na jego milczenie bym nie liczyła. Nie jest zbyt ogarnięty. Jeśli chodzi o moją rozmowę z Mareckim, to słowem nie wspomniałam o Wujku i Wioletce ani o Dębskim. Szukałam tylko zaginionych kobiet, które z Wujkiem nie mają żadnego powiązania, a jeśli chodzi o Dębskiego, gdyby śledczy w końcu do niego dotarli, to chyba nawet lepiej? Po co Wioletce mąż, którego trzeba wciąż pilnować, żeby nie zaciukał żony? Szkoda by było tej dziewczyny, a wiem, że Wujkowi zależy na rodzinie, więc w interesie rodziny byłoby raczej pozbycie się psychopaty, a nie mnie, oczywiście do niczego nie nakłaniam, żeby nie było.

Matylda, co ty pleciesz? Nikt cię nie słyszy!

– Nie wiem, słyszy czy nie słyszy, ale gdyby chcieli mnie zabić, już dawno zabrakłoby mi powietrza, zakładam więc, że w razie zawału serca, epilepsji czy wylewu ktoś otworzyłby wieko, żeby mnie uratować. A żeby tak było, na pewno ktoś tu czuwa i słucha. Może nawet w trumnie jest jakiś nadajnik. Ej, wy tam, czy słyszeliście, jak śpiewam? Rany. Bardzo przepraszam, więcej nie będę, ale wyciągnijcie mnie stąd. Muszę do toalety. Potem możecie zapakować mnie z powrotem.

Już pędzą na pomoc! – zadrwił głos.

– No dobra, jak mnie nie wyciągniecie, zacznę śpiewać opery. Tego nikt nie zniesie, łącznie ze mną samą, więc jeśli nie chcecie mnie ukarać, tylko wydobyć jakieś informacje, to oświadczam, że jak oszaleję, to nie wydobędziecie ze mnie niczego – zagroziła. – Liczę do dziesięciu. Jeden, dwa, tri, vier, funf, sechs, sieben, acht, dziewięć i... uwaga! Bo zaraz będzie dziesięć!

Nabrała w płuca powietrza, którego w trumnie nie brakowało.

– Dziesięć! – wrzasnęła. – Sami tego chcieliście, wredne dziady! *Konik! Z drzewa koń na biegunach!* Miecio, jak umrę, będę cię straszyć każdego dnia i nocy pomimo wygodnych poduszek!!! – wydarła się. – *Konik! Z drzewa koń na biegunach! Zwykła zabawka! Mała huśtawka! A rozkołysze! Rozbawi!*

Piętro wyżej, o czym Matylda nie wiedziała, choć słusznie to podejrzewała, siedziało kilku mężczyzn. Ze stojącego na stole głośnika dobiegał ich głos zamkniętej w trumnie kobiety. Kilka godzin wcześniej przywieźli ją do specjalnie wygłuszonego pomieszczenia znajdującego się w piwnicy i na polecenie szefa imitowali zakopywanie trumny w grobie, wysypując worki piasku na wieko. Będą go sprzątać kilka godzin, ale z szefem się nie dyskutuje, gdy nie ma się argumentów.

– *Zwykła zabawka! Mała huśtawka!* – dobiegało ich wycie uwięzionej.

– Ej, a tego nie śpiewała Urszula? To jest opera? – zdziwił się nasłuchujący odgłosów z trumny barman z tatuażem na potężnym karku.

Delikatnie przecierał ogromną łapą szklanki i stawiał je w równych rzędach na blacie.

Przy barze siedział starszy mężczyzna i czytał książkę. Do niego zwracał się barman. W odpowiedzi tamten wzruszył ramionami, przerzucając kolejną stronę.

– Długo tak mamy siedzieć? – spytał trzeci z mężczyzn, rozkładając pasjansa na stoliku obok baru.

– Szef powiedział, że jak zacznie ryczeć, mamy dzwonić. – Ten przy barze przewrócił kartkę i dalej czytał, nie zwracając uwagi na dobiegające z głośnika porykiwania.

– W sensie płakać? Jak to baba? – upewnił się rozmówca.

– Nio – przytaknął wielbiciel książek.

– Chłopaki, na razie się na to nie zanosi. Ogłuchniemy przez nią! – oznajmił łamiącym się głosem barman. – Szkło mi popęka.

– Trudno. Mus to mus.

– To może ściszymy głośność? Tego miauczenia nie da się słuchać! – poparł go specjalista od pasjansa.

– Kurwa! Czytam! Zajmijcie się czymś!

– Dobra, dobra, nie denerwuj się tak – burknął z niezadowoleniem barman, sięgając teraz po szklaneczki do whisky. Kryształ wymagał polerowania specjalną szmatką, by ładnie błyszczał. – Nie rozumiem tylko, dlaczego nie możemy po prostu obić jej buźki.

– Bo nie! – syknął ten znad książki. – Szefo chce, żeby dla niego pracowała. Jak ma to robić z obitą gębą?

– Normalnie, tak samo jak my – stwierdził barman.

– Kryś, ty się nie wymądrzaj. Babeczka ma pracować dla nas dobrowolnie, a nie pod przymusem. Obita gęba temu przeczy. – Z niezadowoleniem zamknął książkę i spojrzał na kolegę od pasjansa, który zachichotał i zebrał karty, by ponownie je przetasować. – Coś cię bawi, cieciu?

– Jak szefo chce dobrowolnie, to trzeba było jej nie zamykać w trumnie.

– Pewnie. Lepiej dać w łapę niż w gębę – poparł go barman, zapominając, że pomysłodawcą obicia buźki był on sam.

– Powiedzcie to szefowi. Wszelkie uwagi z pewnością mile widziane – zakpił jego kolega.

– Nie, no co ty, Czesio, jeszcze nie zgłupiałem. Tak se tylko gadam. Do kumpli, co nie?

– Żaden Czesio, Kryś, żaden Czesio, tylko Czesław. Ciesz się, że nie każę wam panować – burknął tamten, otwierając na powrót książkę. – I zamknijcie mordy, bo nie dość, że nic nie kumam z tego kurewskiego Gombrowicza, to jeszcze synowi muszę wytłumaczyć!

– Kurwa, Czesław, ty to dobry ojciec jesteś – stwierdził Tadek, na powrót rozkładając karty.

– A nie lepiej gnoja do roboty zagonić? – poradził Kryś. – Życia by się chłopak nauczył.

– Nie masz, kurwa, dzieci, to nie mędrkuj.

– Przecież nic nie mówię – wycofał się Kryś. – A ten Gombrowicz to chyba jakiś ważny gość był, co nie?

– Kryś, powiem ci tak. Na chuj im ten Gombrowicz, ale jak mus, to mus. Korepetytora bym zatrudnił, ale moja żadnej studentki na chatę nie wpuści, taka zazdrosna, a ja jej żadnego studenta też nie będę pod nos podtykał. Sam muszę ogarnąć, o co chodzi, żeby dzieciak miał szansę w życiu, a nie poznawał życie przez kraty. Dobrze się wam garowało, cwele?

– No, bez przesady – obruszył się Tadek. – Żadne cwele. Nawet nie grypsowałem, żeby wcześniej wyjść, a i na kucharza się wyuczyłem. Można, można. I żaden Gombrowicz nie był mi potrzebny.

– Jebać was, oszołomy! – burknął dobry ojciec.

Chciał coś jeszcze dodać, lecz w tym momencie głos dobiegający z głośnika umilkł. Wszyscy trzej spojrzeli na niego z wyczekiwaniem, jakby za chwilę miał dobiec z urzędnika płacz i szloch, uwalniając ich z tego karaokowego piekielka.

– *Przyjacieli wiosny! Uśmiech radosny! Każdy powinien go mieć!* – wydzieriała się. – I kolejna zwrotka!

A to nie był refren? – zasugerował głos.

Refren? Może i refren, pomyślała Matylda.

I miała być opera, dodał nieśmiało głosik.

Nie znam słów żadnej opery.

To może operetka?

Niech będzie, zgodziła się.

– *Uuuuusta miiiiilczq, duuuuusza śpiewaaaaa, koooochaaaaj mnieeeee! Beeeze miłooooości świaaaaat nic nieeeeewart! Koooochaaaaj mnieeeee!*

– Założymy się, że prędzej się zsika, niż przestanie śpiewać? – zaproponował zbolalym głosem Tadek.

- Możemy – podłapał barman.
- Ja mogę się założyć, że poryczy się, dopiero jak się zsika – powiedział Czesław, nie Czesio. – O ile?
- Stawiam tysiąka, że jak się zsika, to dopiero da nam do wiwatu. – Kryś wyjął plik banknotów z kieszeni i położył na blacie.
- Tadek, mimo że sam zaproponował zakład, zauważył niepewnie:
 - Szef zabronił nam uprawiać hazard między sobą. Za dużo mordobicia z tego było. Zakaz to zakaz.
 - Dwa tysiąki, że się wcale nie poryczy – zaproponował Kryś, dorzucając kolejne banknoty.
 - Biorę – burknął Czesław i wrócił na powrót do czytania książki.

*

Emerytowany komisarz Stanisław Tomczak mieszkał na pospolitym osiedlu z pospolitej płyty, a do jego mieszkania prowadziły zupełnie pospolite schody. Antoni walił pięścią w równie pospolite drzwi. Kaśka wręcz dziwiła się, że Tomczak mieszka sobie tak zwyczajnie jak znaczna część społeczeństwa. Prędzej spodziewałaby się szopy na działkach z walającymi się po zaniedbanym trawniku puszkami po najtańszym piwie i wiszącymi na skrzypiących zawiasach drzwi, z klamką poklejoną krówkami, które tamten uwielbiał, nie bacząc na próchnicę zębów. Może własnych już nie miał, to by wiele wyjaśniało, pomyślała.

Antek najchętniej kopnąłby w drzwi, ale już samo walenie w nie pięścią nie przystawało do jego osoby. Czuł się wręcz zażenowany własnym zachowaniem.

Kolega nadal nie naprawił dzwonka przy drzwiach.

– Może powinienesz zadzwonić przed przyjazdem? – zasugerowała komisarz Mizera.

– Staszek mówił, że dopiero wieczorem pracuje. Powinien być w domu.

– I czekać w nadziei, że będziesz miał pytania? Zadzwoń do niego – poleciła mu zirytowana Kaśka. – Kompletnie głupiejesz przez tę nawiedzoną detektyw. Może kazała ci coś dosypać do tych dosładzanych drinków, a cukier zamaskował smak.

– Zgłupiałem na własny rachunek – stwierdził cierpko, jednak sięgnął po telefon.

Katarzyna miała rację. Powinien był zadzwonić wcześniej, zamiast pędzić jak wariat przez pół miasta do faceta, który może chlać na umór, łowiąc ryby w kanale, w nadziei, że do wieczora wytrzeźwieje i nie nawali, jak miał to w zwyczaju ostatnimi czasy, gdy jeszcze pracowali wspólnie. Po jego przejściu na emeryturę Antoni znalazł sporo akt upchniętych przez kolegę na dnie szafy, licząc na to, że myszy je zjedzą, ratując Tomczaka przed ich rozwiązywaniem.

Ledwo wyjął telefon z kieszeni, gdy drzwi otworzyły się i pojawił się w nich emerytowany komisarz policji Stanisław Tomczak w całej swej chwale, z gołym brzuchem w kolorze śniętej ryby, zwisającym smętnie znad paska spodni. Na widok Kaśki skrzywił się, jakby połknął cytrynę, i zapiął rozporek.

– Wreszcie! – huknął Marecki.

– Antek! Czego się dobijasz?! – spytał z niezadowoleniem Tomczak. – I ta tu czego? Znowu będzie mi dogryzać? Na emeryturze jestem. Nie muszę już tego feministycznego głędzenia słuchać.

– Dzień dobry, panie komisarzu – przywitała się cierpko. – Mnie też miło pana widzieć.

Stary pierdziel, pomyślała z niesmakiem, patrząc, jak Tomczak wciska w spodnie pomiętą koszulę. Zasłonił rybi brzuch, ale przez niedopięty guzik przy szyi wystawały siwe kręcone włosy, co nie poprawiało ogólnego wrażenia, jakie sprawiał jeszcze podczas służby – niedomytego gliny rodem z seriali policyjnych, w których ten najbardziej skacowany, społecznie wyobcowany i wymiętolony przez gorzałę, baby i fajki detektyw błyszczał intelektem, nie przejmując się – podobnie jak Brudny Harry – takimi niuansami jak przepisy. Dla uściślenia – Tomczak nie błyszczał. Jedyne, co lśniło, to jego otłuszczone wąsy albo włosy, sporadycznie ścinane i jeszcze rzadziej myte.

– Akurat! – prychnął. – Już ja swoje wiem, że ta ona mnie nie lubi. I vice versa.

– Staszek, bez pierdół. Musimy pogadać. Pokłóćcie się później – oświadczył Marecki, wbrew sobie rozbawiony wymianą spojrzeń

pomiędzy tymi dwojgiem, mimo że sytuacja nie dawała powodów do radości.

– Później to ja mam robotę, więc albo teraz, albo wcale – oświadczył wyniośle Tomczak, odsuwając się, by weszli. – Niektórzy mnie doceniają – rzucił zgryźliwie pod adresem Mizery, która puściła tę uwagę mimo uszu.

– Myślałem, że cię nie ma albo szlag cię trafił, tak długo nie otwierałeś – powiedział Antoni, korzystając z zaproszenia.

– Antek, co mam ci powiedzieć? Srałem. W moim wieku jak nie biegunka, to zaparcie. Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie da się tak szybko zejść z kibelka. Chodźcie do kuchni. Zrobię nam jaką kawkę, nic tak nie pobudza jelit – zapewnił.

I do tego obrzydliwiec, uznała Mizera. Przez ostatni rok zapomniała, jak bardzo szczerzy potrafi być Tomczak. Te „wysiedziane” krówki, które zazwyczaj nosił w tylnej kieszeni spodni, gniotąc je przez pół dnia – zawinięte w chusteczkę do nosa, używaną również do wycierania potu z czoła, resztek jedzenia z wąsów i wołała nie wnikać do czego jeszcze – by potem częstować nimi kolegów, zanim sam włożył jedną do ust i dziamgał, mlaszcząc i cmokając, gdy ciągnący się cukierek przyklejał się do podniebienia – śniły jej się po nocach jeszcze kilka miesięcy po jego przejściu na emeryturę.

Tym bardziej więc nie było jej łatwo ukryć zaskoczenia, jakie poczuła na widok czyściutkiego i pachnącego środkami dezynfekcyjnymi mieszkania. Wprawdzie prosiło się o odświeżenie, gdyż było urządzone w stylu „PRL wiecznie żywy”, ale linoleum na podłogach lśniło jak świeżo wypastowane i wyblyszczone, podobnie jak stare lakierowane meblościanki. Szafki w kuchni wisiały trochę krzywo, znać było na nich znak czasu, lecz nie brudu.

– Zabił pan tu kogoś? – spytała podejrzliwie, siadając na krześle przy pokrytym ceratą stole. Unoszący się w pomieszczeniu zapach z czymś jej się kojarzył.

– Nie, to z kibla tak jedzie. Odświeżacz się skończył – wyznał z zakłopotaniem.

– Nie to miałam na myśli. Czysto tu u pana jak w prosektorium.

Dopiero teraz rozpoznała charakterystyczny zapach środka odkażającego.

– Wiadomo. – Uśmiechnął się, mile połączony, nieświadomy, że to nie komplement. – Ja tam lubię mieć porządek, a te zapachowe płyny, co ich pełno w marketach, to tylko brud i smród kryją. Maciek z kostnicy dał mi namiary na sklep, z którego zamawia środki dezynfekcyjne. Nic tak nie odświeża wanny czy kibelka, żadne srosy-domestosy ani cify bang-bang. Zero kamienia, zero bakterii.

– Świetnie...

– Jak po trupach resztki zmywa, to i u mnie da radę. To co? Kawki? Do wyboru rozpuszczalna albo sypana, bo tego nowoczesnego badziewia też nie mam. Może i bym mógł kupić, ale drogie to jak diabli. Do tego ja tam wolę zwykłą plujkę. Jak ją rano sobie strzelę, to od razu jelita pracują, pół godzinki i do kibelka jak ta lala...

– Rozpuszczalna będzie w sam raz. Dziękuję – przerwała mu bezceremonialnie, ale Tomczak dokończył nieskrępowany.

– Regularnie po niej sram – zapewnił, jakby właśnie przyszli do niego po poradę w tej kwestii.

– Staszek, musimy pogadać. – Marecki uznał, że wystarczy tych uprzejmości. – Mam cztery zaginione kobiety, które łączy ten cały Dębski, a Matylda przepadła. Wiesz, gdzie może być?

– A kto by tam za nią nadażył! – Machnął ręką i postawił czajnik z wodą na gaz. – Raz blondynka, raz brunetka. Ścięła włosy, zafarbowała na czarno, a teraz blond perukę nosi, żeby wyglądać jak na licencji. Raz mnie objedzie jak łysą kobyłę, a raz słodzi: „Panie Staszku, gdyby nie pan, to ja bym przepadła z kretesem”. Może się trochę unormuje po menopauzie, a to jeszcze czas. Na razie to ją nosi w zależności od dni płodnych i niepłodnych, ale poza tym, że jak to baba, zawsze jest przed okresem albo w trakcie, to hormony pracują, poza tym równa babka. Mleka chcecie do kawy?

– Ja poproszę – zgłosiła się Kaśka, przygryzając wargę, by nie roześmiać się w głos z opisu detektyw Dominiczak, choć zwyczajowo zbeształaby starego mizogina.

– Sprawdzę tylko, czy dobre – powiedział, wyjmując kartonik z mlekiem z lodówki. Wypił spory łyk prosto z opakowania. Zagulgotał

kilkakrotnie, jakby używał płynu do płukania ust, po czym wypluł wszystko do zlewu.

– Chyba dobre, choć nie jestem pewien. Ja tam mleka nie piję, bo po nim sraczkę mam, dla gości trzymam.

– A często ktoś do pana przychodzi? – spytała, by w ten sposób ustalić datę ważności mleka.

– Marian wpada od czasu do czasu, ale on mleka nie pije.

– Jak pan nie jest pewien, to ja podziękuję – odparła, przymykając oczy, gdy Tomczak splunął kilkakrotnie jeszcze do zlewu i puścił wodę, by spłukać resztki śliny.

– No dobra, to o co by nie chodziło, to pani Matylda na pewno nie chciała, a jak chciała, to zupełnie niechcący, i ja na nią złego słowa nie dam powiedzieć – oświadczył, niepomny, że kilka minut wcześniej narzekał na jej wahania nastrojów spowodowane niewątpliwie cyklem miesięcznym kobiety, bo przecież innego powodu, dla którego jeździła po nim jak po łysej kobyle, być nie mogło.

– Staszek, skup się, człowieku. Rozmawialiśmy dziś rano o aktualnym zleceniu Matyldy. Pamiętasz? Byłem u ciebie.

– Pewno, że pamiętam, a co miałbym nie pamiętać?

– No, to rzuć jakimś szczegółem. Artur Dębski.

– No, Artur Dębski, ten architekt, zgadza się, i co z nim? – zapytał, sypiąc kawę do szklanek w metalowych koszyczkach, które Kaśka ostatni raz widziała, oglądając serial *Alternatywy 4*.

– Matylda dała mi wczoraj nazwiska czterech byłych kochanek Dębskiego.

– Tylko czterech? – zdziwił się. – Facet zmienia babki częściej niż ja gacie, ale nie wiem po co, bo wszystkie takie same.

– Gacie?

– Nie, kobitki. Wszystkie wyglądają jak spod jednej sztancy. Wiem, co mówię, bo pani Matylda też musiała się upodobnić, żeby udawać jedną z nich, tylko na moje oko to ona za kobieca na wieszaka. Choćby nie wiem jak ją upchnęli w obściskujące gacie, cyc to cyc i schować się go nie da. Pani komisarz nie wie, o czym mowa, bo sama płaska jak te

kobitki Dębskiego, ale ty Antek ten tego, co nie? – Mrugnął do niego znacząco.

Marecki dał jej znak oczami, żeby odpuściła. Tomczak to Tomczak i trzeba go akceptować takiego, jaki jest. Zacisnęła więc tylko usta i pociągnęła lekko nosem na znak wzburzenia, jednak zmilczała. Nie przyszli tu po to, by naprostować poglądy upierdliwego dziadygi. Najważniejsze, że w komendzie nie musiała wysłuchiwać tego typu uwag, które komisarz wygłaszał przy każdej okazji, kompletnie nieświadom, że część z nich można by uznać za molestowanie w miejscu pracy.

– Staszek, te cztery kobiety zaginęły – powtórzył Marecki po raz kolejny.

– To niedobrze – zmartwił się Tomczak. – A co mi do tego? Ja już na emeryturce. To trzeba zgłosić na psiarnię i niech szukają.

– Zaginięcia już zostały zgłoszone, ale muszę koniecznie znaleźć Matyldę. Telefon jest poza zasięgiem. Nie wiesz, gdzie ona może być?

– Może w biurze.

– Tam jej nie ma, sprawdzałem.

– Telefon, znaczy się – uściślił. – Mogła zostawić w biurze. Nie byłby to pierwszy raz.

– Pytam, czy wiesz, gdzie jest Matylda. – Antoni obiecał sobie, że nie da się wyprowadzić z równowagi, jednak stary komisarz ze zgreda zamieniał się w skretyniałego ramola. Może nie dotrzymać danego sobie słowa i zdrowo mu pocisnąć.

– Pojęcia nie mam, gdzie może teraz być. W domu sprawdzałeś?

– Tak, nie ma jej, mąż też nic nie wie.

– Dusza chłop, ale jakiś taki nedorobiony – powiadomił go Tomczak z wyższością. – Jak kibełek trzeba przetkać, to on nie wie od której strony, a jak raz się kurek urwał i woda się lała, mówię do niego, że żabki potrzebuje, a on do mnie, że dziękuje, ale nie pije. Facet klucza francuskiego na oczy nie widział.

– Matylda, Staszek, skup się. Miała jakieś plany na dziś?

– Wiem, że wieczorem idzie z Dębskim na bankiet, więc pewnie się szykuje. Ładna z niej kobita, ale widać za mało. Pewnie w tym butiku dla brzydul siedzi, żeby jej urodę poprawili, a potem pojedzie po ciuchy. Przecież w dzinsach nie pójdzie. Nie nasze progi na te nogi, pani Matyllda musi się dostosować, żeby nie odstawać, chociaż ja tam uważam, że nic jej nie brakuje.

– Świetnie. Dasz mi namiary? – Wreszcie jakiś konkret, ucieszył się Marecki.

– Może też być w tym salonie, co masują ludzi – Tomczak rozważał inne możliwości. – Ale adresu też nie pamiętam.

– Rany boskie, Staszek! – jęknął Marecki.

– Wszystkie zdjęcia są w biurze. Tam pewnie będzie jakiś adres. Musieliby my podjechać. Nie pamiętam... – Podrapał się zafrasowany po przydługich włosach. – Na pamięć to ja bym dojechał, ale jaki tam numer, to ja...

– Doskonale. Zbieraj się. Jedziemy do biura. Im szybciej znajdziemy Matyldę, tym lepiej będzie dla nas wszystkich. Klucze chyba masz?

– Sam nie wiem... – zawahał się nieoczekiwanie.

– Nie wiesz, czy masz klucze?!

– No mam, ale nie w tym rzeczowość. Pani Matyllda dość dużo o poufności mówi, więc ja sam nie wiem, czy tak mogę do jej biura iść i grzebać. Zakazała mi też mleć jęzorem bez potrzeby, więc może ja dziś za dużo ci powiedziałem, ale wzięłeś mnie z zaskoczenia bladym świtem i żem nie pokojarzył od razu. Antek, ty nie mów pani Matyldzie, że ode mnie usłyszałeś o Dębskim, co? Znowu mi uszu natrze. Albo wywali.

– Panie komisarzu – zabrała głos Kaśka – rzecz w tym, że Antek kazał dziś zwieźć na dołek Dębskiego, bo podejrzewa, że to on stoi za zaginięciami tych kobiet, jednak oficjalnie to my żadnej sprawy nie mamy. Prokurator się wściekł i kazał go wypuścić. Pani Dominiczak na pewno ma informacje, które uratowałyby tyłek Antoniego przed prokuratorским gniewem. Wie pan, jak jest. Obszurmukowi lepiej nie podpadać.

– To menda – zgodził się z nią Tomczak. – Ale zaraz, zaraz. – Wyłączył palący się pod czajnikiem gaz. – Jak te kobiety zginęły, to

myślisz, Antek, że pani Matylda też?

– Nie wiem, co myśleć. Na razie wiem tylko tyle, że nie mogę jej znaleźć.

Najchętniej skorzystałby z okazji i potwierdził, obawiał się jednak, że jak Staszek się zdenerwuje, to już wcale się z nim nie dogadają.

– To tak jakby definicja zaginięcia – zauważył zafrasowany Tomczak.
– Lepiej będzie, jak sam się tym zajmę.

Kaśka prychnęła pogardliwie. Kopniak wymierzony jej przez Antka w kość piszczelową skutecznie przeciwdziałał wzburzeniu Staszka, gdyż jęknęła z bólu i się rozkaszała.

– Alergia – jęknęła przepraszająco, gdy Tomczak spojrział na nią nieufnie.

– Akurat – prychnął wzgardliwie. – Chude to takie, że pewnie nic nie je, to i odporności żadnej. Złapała pewnie jakiegoś wirusa i teraz mi tu kicha i prycha, i rozsiewa.

– Przecież wszystkie bakterie wybił pan tym środkiem z kostnicy – wytknęła mu złośliwie. – Po co mi odporność w pańskim mieszkaniu?

– A może i racja, ja tam na alergiach się nie znam. Za moich czasów nikt o takich bzdetach nie słyszał, a teraz, z kim człowiek nie gada, to albo alergia, albo psychoterapia, albo chuj wie co. Kiedyś to walnęło się kielicha albo z gwinta i wszystkie choroby mijały jak ręką odjął, a jak coś na duszy człekowi nie grało, to wziął pałkę i szedł w miasto. Zaraz lżej się robiło, jak...

– Staszek, co ty za pierdoły opowiadasz – syknął Marecki. – Jeszcze Kaśka uwierzy, że z ciebie były zomowiec.

– Co za pierdolenie, Antek, jaki zomowiec? – zdziwił się Tomczak. – Normalna milicyjna robota była. Ja nie mówię, żeby po ulicy latać i lać kogo popadnie, ale jak się któremu należało, to dlaczego nie? Ci młodzi to teraz tak chowani, że spojrzysz krzywo i już lecą ze skargą, a najgorsze są kobitki. Za naszych czasów czyś ty, Antek, słyszał, żeby dziewczyny się napierdalały? A teraz to niby jakaś norma! Takie są skutki tego równopierdolenia.

– Równouprawnienia – poprawiła go odruchowo Katarzyna.

– Już ja wiem, co powiedziałem. Wy to sobie możecie nazywać, jak chcecie, ale ja swoje wiem. Stary jestem. Swoje przeżyłem.

– Staszek, nie masz nawet sześćdziesiątki na karku, ale faktycznie pieprzysz jak zesklerowaciały ramol. Zbieraj się, jedziemy do biura. Chcesz mieć Matyldę na sumieniu?

– Niech będzie – zgodził się niechętnie. – Ale sam przejrzę papiery, bo wy, jak by to powiedzieć – uśmiechnął się złośliwie – nie jesteście w prawie.

Mam gdzieś papiery, chciał warknąć Marecki, powstrzymał się jednak. Staszek wcale nie musiał z nimi gadać ani niczego pokazywać, ale sam nie ogarnie tematu, jak by powiedziała młodzież, przynajmniej ta z czasów Antoniego, bo tej współczesnej to nie rozumiał, więc spytał tylko:

– Staszek, wiesz, dla kogo pracuje Matylda?

– A co mam nie wiedzieć? Pewno, że wiem, ale to też poufne jest. Powiem, jak mi sąd nakaze, ni chuja wcześniej.

*

Karawan zatrzymał się na parkingu dla dostawców, za klubem. Z wnętrza wyłonił się mężczyzna słusznego wzrostu, tak szeroki w plecach, że mógłby nieść trumnę w pojedynkę, opierając ją o potężne ramię. Elegancki frak, który miał na sobie, melonik i białe rękawiczki nie współgrały z okrągłą jak księżyc w pełni twarzą, z nosem jak kartofel i małymi oczami. Miecio rozejrzał się wokół, czy nikt nie patrzy, uderzył pięścią w stalowe drzwi dwa razy, potem jeszcze kolejne dwa i na koniec kopnął je trzykrotnie.

– Hasło? – spytał głos zza drzwi.

– Czy tu mieszka ciocia Agnieszka? – wyrecytował starannie.

– Panna Agnieszka! – poprawił go głos.

– Ja tam nie wiem, czy panna, ale...

– Dobra, zamknij ryj, debilu, nawet nie potrafisz zapamiętać hasła – powiedział zrezygowany głos i drzwi otworzyły się przed Mieciem. Stał w nich barman z kijem bejsbolowym na ramieniu. – Włóż, zanim ktoś cię zobaczy!

– Dobra, dobra, ten amant był niepotrzebny. – Miecio był lekko urażony.

– Jaki amant?! – zdenerwował się Kryś. – Nie przystawiam się do ciebie, cwelu!

– Znowu coś źle powiedziałem – stwierdził Miecio. – Chodziło mi, że nie ma co mi przetykać. Ja nie jestem żaden debil, tylko paralityk!

– Kurwa – tamten pokręcił głową – gdyby szefo cię nie potrzebował, to ja bym ci ten paraliż zrobił w try miga.

– Pani Matylda mówi, że mój mózg pracuje inaczej, dlatego przekręcam wyrazy. To jakaś amnezja! – wkurzył się Miecio.

– Pierdołę, niech Czesław się z tobą męczy. – Kryś poddał się i poprowadził go krętym korytarzem do głównej sali.

Wzburzony Miecio miętosił w palcach czarny melonik, jednak posłusznie szedł za barmanem. W pomieszczeniu panował półmrok. Światła nad barem i podestem na środku sali nie rozjaśniały całego pomieszczenia, ale widać było wyraźnie stoliki i krzesła. Przy jednym z nich siedział jakiś facet i grał sam ze sobą w karty, przy barze starszy gość czytał książkę i notował coś na kartce. Z głośnika na kontuarze dobiegał śpiew.

– *Płonie! Płonie stodoła! Mówią, płonie stodoła, płonie aż strach!*

– O, Niemen, też go lubię – ucieszył się Miecio, gdy rozpoznał płynący z głośnika utwór. – Ale powinniście zainwestować w lepszy sprzęt. Strasznie wyje.

– *W swojej stodole zrobił bal, tańczyłem i ja! Płonie! Płonie stodoła! Płonie aż strach!* – darła się Matylda, nie bacząc, że nie pamięta połowy tekstu.

Nabrała tchu, by ryknąć z nowym wersem, gdy na wieku trumny coś zachrobotало.

Szczury! – pisnął głosik.

Jakie szczury? Prędzej szczurołapy – prychnął wzgardliwie głos.

– *Małgośka mówi mi! Małgośka...* – W tym momencie oślepiła ją jasność. Jasność tak jasna, że Matylda aż zaniemówiła z wrażenia.

To Bóg? – spytał niepewnie głosik.

– Siku! – wrzasnęła ile sił w płucach. – Bo nie powiem ani słowa!

Miecio siedział na wysokim stołku przy kontuarze, przyciskając chustkę do krwawiącego nosa, melonik położył na stołku. Obok barman przeliczał kolejne stówki, które kładł przed nim jegomość od książki i ten od kart.

– Mówiłem, że się nie poryczy – zarechotał, wkładając wygrane od kolegów pieniądze do kieszeni.

– Pani Matyllda? Nigdy w życiu – wymamrotał zboląły Miecio. – Wujek mówi, że to twardy rzęch do zgryzienia.

– Chyba orzech – poprawił go Czesław, zerkając z ukosa.

– To paralytyk. Dlatego przekręca słowa – wyjaśnił Kryś, któremu humor wybitnie dopisywał.

– Nie wiedziałem, że paraliż tak się objawia – zdziwił się Tadek.

– Może kilka szarych komórek mu sparaliżowało – zasugerował Kryś, stawiając na blacie szklaneczki i nalewając do każdej z nich odrobinę bursztynowego płynu.

– Ja nie mogę. Prowadzę karawan. Muszę odstawić trumnę, zanim Wujek się zorientuje. Nie wiem, jak się wytłumaczę z tego kapelusza. – Spojrzał smętnie na zagniecenia i ślady butów.

– Powiedz, że zgubiłeś. Wujek na pewno uwierzy – poradził mu Czesław.

– Tak myślicie, chłopaki? – spytał z nadzieją w głosie Miecio.

– Tobie na pewno – zakpił Tadek.

– Dzięki, chłopaki. – Miecio nie wyłapał drwiny. Z tym też sobie za bardzo nie radził. – Myślicie, że pani Matyllda mi daruje? Zawsze była dla mnie miła...

Z ulgą zapięła spodnie. Parcie na pęcherz przesłoniło wszystkie inne doznania, łącznie z paraliżującym strachem, który poczuła na widok kilku osiłeków pochylających się nad trumną. Oślepiąca jasnym światłem ledwo odnotowała, że znajduje się w piwnicy, która nijak nie przypominała prosektorium – może i dobrze, przynajmniej nikt jej nie

pokroi – ale nie mogła wykluczyć, że znajduje się w budynku, w którym ma powstać krematorium. Z tego, co wiedziała, mecenas Piasecki dopiero załatwiał pozwolenia na budowę, ale kto wie, czy Wujek się nie pospieszył i za chwilę będzie testowała nowy piec.

Widok Miecia stojącego nad trumną, z kapeluszem w dłoniach, doprowadził ją do szewskiej pasji, więc z okrzykiem: „Ja jestem King Bruce Lee Karate Mistrz!” wymierzyła mu z pozycji leżącej takiego kopniaka, że aż sama się zadziwiła swoją zręcznością.

Długo nie nacieszyła się podziwianiem własnej skuteczności, gdyż dwóch osiłków złapało ją pod ramiona i wyciągnęło z trumny jak szmacianą lalkę. Pech chciał, a może szczęście, że postawili ją tuż obok melonika Miecia, który ten upuścił obok trumny, a w który ze złośliwą satysfakcją wytarła nogi, nim mężczyźni zaciągnęli ją po schodach do jakiegoś pomieszczenia z rurą na środku i lśniącą kulą na suficie. Ku jej uldze wepchnęli ją do łazienki i wprawdzie zabrali torebkę, ale pozwolili, by Matyllda wysiusiała się w samotności.

Wszystko toczyło się tak szybko, że nie miała czasu się zastanowić, co jest grane, a leżenie w trumnie jakoś nie sprzyjało rozmyślaniom, więc nadal nie wiedziała, czym podpadła Wujkowi, że ten postanowił ją w ten sposób ukarać.

A może to nie Wujek? – zasugerował niepewnie głos.

Jak nie Wujek, to kto? – zdziwiła się Matyllda. Przecież to Miecio mnie zgarnął, a Miecio pracuje dla Wujka.

Czy Miecio jest taki godny zaufania? Pracuje dla Wujka, robi fuchy dla Ksawerego, a kto wie dla kogo jeszcze – podsunął głosik zupełnie poważnie, zupełnie jak nie on.

Zdaje się, że podświadomość była tak przejęta tarapatami, w które wpadła Matyllda, że żadnemu z głosów w jej głowie nie chciało się żartować.

Jeśli to nie Wujek, to już po nas, uznał dramatycznie głos.

Zaraz, zaraz, Matyllda odkręciła wodę i bardzo starannie namydliła ręce. Po pierwsze, nie po nas, tylko po mnie, a po drugie, ktoś chciał mnie nastraszyć, a nie zabić. To dobra wiadomość!

Zatem ktoś coś od nas chce! – ucieszył się głosik.

To akurat zła wiadomość, uznała.

Byle nie taniec na rurze, aż tak elastyczni nie jesteśmy, jęknął głos.

– Długo jeszcze?

Podskoczyła, mimo że nikt nie kopnął w drzwi, a sam głos brzmiał bardzo przyjaźnie i sympatycznie.

– Już wychodzę. – Opłukała starannie ręce, wytarła je w papierowy ręcznik i doceniając, że gość nie wlaźł z buciorami do kibelka, by patrzeć, jak sikała, otworzyła drzwi i stanęła oko w oko z porywaczem.

Beniamin Pocisk, zwany Mrówą, uśmiechnął się, odsłaniając rząd zębów tak bielusińkich, że pewnie zapłacił za nie więcej, niż kosztowała jej Duśka.

– Witam w moich skromnych progach i proszę o wybaczenie. Moi ludzie dość niefortunnie zrozumieli polecenie, stąd też te niedogodności.

– Super. Uprawdzili mnie idioci.

– To lepiej niż kosmici. Mogliby mieć lepsze pomysły niż pochowanie żywcem – zasugerował takim tonem, jakby chciał powiedzieć, że następnym razem wrzuci ją do dołu i zakopie.

Osobiście.

– Powiedziałam to głośno? – westchnęła, zamykając oczy.

Oj tak, przyznał ze współczuciem głos.

– Nic nie szkodzi. To o idiotach to akurat prawda. Miecio nie należy do najbystrzejszych. Twierdzi, że jest paralitykiem.

– Pewnie chodziło mu o parafazję – odpowiedziała niechętnie.

– Parafazję? – Uśmiech zniknął.

Pewnie gościu nie zna tego słowa i myśli, że go obrażasz, zachichotał ciut histerycznie głosik.

– To rodzaj zaburzenia mowy. Miecio używa podobnych brzmieniowo słów zamiast właściwych.

– Rozumiem. To ciekawe. I wiele wyjaśnia.

– Może i wyjaśnia, ale nie zmienia faktu, że jest idiotą – odparła.

– Panią jednak nam wskazał.

– Nam, czyli komu? – spytała niepewnie, nie wiedząc, czy chce wiedzieć, czy też nie chce wiedzieć, czy też może lepiej nie wiedzieć.

– Proszę wybaczyć. Nie przedstawiłem się. Beniamin Pocisk. Dla przyjaciół Mrówa.

– A ja jak mam się do pana zwracać, panie Pocisk?

– Liczę, że z czasem zostaniemy przyjaciółmi.

Niekoniecznie, pomyślała Matylda pośpiesznie.

– Ale nie jest to konieczne – mówił, jakby czytał jej w myślach. – Moi pracownicy mówią do mnie „szefie”, pani nie będzie dla mnie pracować, tylko współpracować, co oznacza, że będziemy partnerami. W interesach, rzecz jasna.

– Partnerami? Nie wiem, co Miecio panu powiedział, ale jestem prywatnym detektywem. I to nie najlepszym, jak widać na załączonym obrazku. Nie szukam też wspólnika – powiedziała w nadziei, że właśnie nie podpisała na siebie wyroku śmierci.

Trumna była już gotowa, grabarz też, choć bez kapelusza. Nic, tylko brać łopatę i dół kopać.

– Może usiądziemy – zaproponował Pocisk i zdecydowanym ruchem ręki wskazał jej drogę do sali z rurą i błyszczącą kulą.

– Kiepsko tańczę – rzuciła, przechodząc obok podestu, który jednoznacznie kojarzył jej się z tańczącymi rozneglizowanymi dziewczynami. – I mam rozstępy.

– Nie szkodzi. Nie o taki rodzaj współpracy mi chodzi. Czego się pani napije? – spytał, wskazując jej miejsce przy stoliku, z którego ewakuował się błyskawicznie gość z kartami.

– Wystarczy woda. Dziękuję.

– Bez obaw. Miecio panią odwiezie. Może coś mocniejszego?

Jednak odwiezie. Nie zakopie. Jupi! Głosik podskoczył szaleńczo, nawet głos odetchnął z ulgą.

– Lepiej nie. Alkohol źle na mnie działa. Rzygam jak kot – odpowiedziała zgodnie z prawdą, mając w pamięci superekstrabeemkę

Ksawerego Groma, którą zbeczczyła jakiś czas temu, czego nie wybaczył jej po dziś dzień.

– W takim razie woda z cytryną. Krystian! Woda dla pani! – ryknął Pocisk.

Matylda podskoczyła nerwowo, Miecio również nie wyglądał na zbyt pewnego siebie, w przeciwieństwie do ludzi Mrówy, którzy najwyraźniej byli przyzwyczajeni do tonu szefa. Barman tylko skinął głową na znak, że słyszał, i natychmiast sięgnął po szklanę.

– Plan jest taki, że musimy panią odstawić, nim ktoś zacznie pani szukać. Tego byśmy nie chcieli, zwłaszcza że ma pani kontakty w organach władzy i, ku mojemu ubolewaniu, akurat w tych, co nie dorabiają na boku.

– To pech – stwierdziła.

O, doigrasz się, Matylda, jęknął głos.

My się doigramy, poprawił głos równie zalękniony głosik, a może i bardziej, bo nawet kpić mu się nie chciało.

– Tak, to prawda, ale cóż, takie życie. Nie można mieć wszystkiego, co nie znaczy, że nie trzeba się starać. Czyż nie?

– Czyż tak – zgodziła się z nim Matylda, czekając z lękiem i zniecierpliwieniem, aż jej rozmówca przejdzie do sedna sprawy.

Informacja, że zostanie odstawiona z powrotem na miejsce, podziałała na nią pogrzejająco, choć zagrożenie nie minęło. Spojrzała na pozostałych mężczyzn w barze. Wysocy, dobrze zbudowani, jeden z nich starszy, tak po pięćdziesiątce, dwaj musieli już dobiegać czterdziestki. Każdy z nich pokryty tatuażami, ubrani niemal identycznie, w czarne koszulki polo i czarne dżinsy, czapki z daszkiem leżały na kontuarze. Miecio we fraku wyglądał, jakby urwał się z pogrzebu; z satysfakcją zauważyła jego zmaltretowany melonik i spuchnięty nos.

Beniamin Pocisk był spośród nich najmłodszy. Ledwo przekroczył trzydziestkę, w najlepszym razie mógł być jej równolatkiem. On jedyny posiadał też włosy. Na głowie. Bo pozostali mieli je głównie na przedramionach.

Elegancko ostrzyżony, z modnym zarostem, w szytym na miarę garniturze i lśniących butach z wylizanymi przez podwładnych

podeszwami, prezentował się nienagannie. Tak mógł wyglądać prezes banku albo szef wielkiej firmy, a nie jakiś podrzędny gangster. Czasy się zmieniają, stwierdziła. Gangusy są wśród nas, zakamuflowani w garniakach za kilka tysięcy, podczas gdy uczciwi ludzie muszą liczyć każdy grosz. Jego auto pewnie jest warte więcej niż moje mieszkanie, wliczając w to kredyt, pomyślała z ponurym rozbawieniem.

Tu nie ma z czego się śmiać, zganił ją głos.

Wpadłam z rąk jednego przestępcy w łapy drugiego, czyż to nie zabawne? – sprzeciwiła się.

– Niech pan wali prosto z mostu – stanowczo zażądała odpowiedzi. – Nie ma co bawić się w podchody. Zostałam porwana. Zastraszona. I fakt, że pan jest miły, nie zmieni sytuacji. Miejmy to już za sobą.

Żebyś mogła odmówić? Oszalałaś?! – Głos i głosik tym razem były całkiem zgodne i równie przestraszone.

Matylda przełknęła ślinę i spojrzała wyczekująco.

Być albo nie być, oto jest pytanie, zadeklamował wysokim tonem głosik.

*

Biuro Matyldy mieściło się w kamienicy w centrum miasta. Budynek wyglądał na świeżo odrestaurowany. Drewniane schody skrzypiały przy każdym kroku, ale wewnątrz nie emanowało starością. Eleganckie kute zdobienia na poręczach zachwyciły Katarzynę, podobnie jak drzwi do kolejnych lokali, kolorystyką i stylem dopasowane do charakteru kamienicy. Biuro nieruchomości. Kancelaria adwokacka. Gdzie Dominiczak do takiego lokalu? – zastanawiała się komisarz Mizera. Czynsz musiał być niebotyczny. Detektywi tyle nie zarabiają.

Odsunęła od siebie podejrzliwość. Przecież nie będzie przeglądać zeznań podatkowych Matyldy. Nie ten wydział. I brak podstaw.

Tomczak wspinał się po schodach, sapiąc i charcząc. Skutki wieloletniego palenia, pomyślała, siląc się na współczucie, ale nie dała rady. Nie lubiła go i już. Żadna rozedma ani nowotwór nie zmienią jej nastawienia do starego pierdziela, który podczas jazdy obraził ją tyle razy, że gdyby nadal pracowali razem, podałyby go do naczelnika o mobbing.

– Ta ona musi iść z nami? – gderał, stając przed drzwiami z tabliczką: „Matylda Dominiczak. Prywatny detektyw”. Wyjął klucze z kieszeni i spojrzał na Kaśkę z jawną niechęcią.

– Ta ona pomaga koledze z pracy, narażając się na kłopoty, więc ten on może sobie wreszcie daruje – wycedziła.

– Niech nie będzie taka mądra. Z kłopotów to tatulo adwokat wyciągnie ją za uszy.

– Staszek! – odezwał się komisarz Marecki. – Dałbyś już spokój. Kasia nam pomaga – upomniał Tomczaka.

– Żadne „nam”. Przecież ona nie lubi pani Matyldy.

– Ale ceni.

– Że co? Ona? – Spojrzał z niedowierzaniem na Mizerę. – Dogryza jej, jak tylko może.

– To prawda. Nie muszę jej lubić, żeby ją doceniać. Inaczej by mnie tu nie było – odparła tak mniej więcej zgodnie z prawdą, choć raczej mniej niż więcej.

– No dobra, niech jej będzie. – Klucz przekręcił się w zamku i Tomczak wszedł do środka. – Niech czekają, bo alarm muszę wyłączyć. Zaraz, zaraz, jak to było? – Podrapał się po zarośniętej brodzie, a po chwili namysłu wbił kilka cyfr.

– O! Gotowe – ucieszył się, gdy czerwone światełko zgasło, a w jego miejsce zapaliło się zielone. – Można wchodzić.

Szerokim gestem zaprosił ich do środka, po czym dodał groźnie:

– Tylko niczego nie dotykajcie. Będę patrzył wam na ręce.

– Staszek! – jęknął Antoni. – Czy ty sam siebie słyszysz?

– Przecież nie jestem głuchy, wiadomo, że słyszę, co mówię, a mówię, że jesteście tu bezprawnie i macie niczego nie ruszać bez pozwolenia. Sam zajrzę, gdzie trzeba, i dam wam do przejścia zdjęcia – oświadczył stanowczo, tym razem już nie jak zramolały dziad, ale glina z wieloletnim doświadczeniem. Zdecydowanie.

– Arkady Szumski umiera – poinformował ją krótko porywacz. – Pani o tym wie czy nie wie?

– Nie wie – odparła zgodnie z prawdą, rozważając w duchu, czy to prawda, czy tylko groźba.

– Nowotwór. Jak dożyje końca tego roku, będzie cud.

– OK... Ale co mi do tego? Mam mu oddać nerkę? Wątrobę? Szpik?

Do jasnej ciasnej, Matylda, zamknij twarz!

– Da pani nie jemu, tylko nam.

– Aha... A co dokładnie?

Pocisk mówił spokojnie, stanowczo i najwyraźniej puścił mimo uszu jej zgryźliwość. Chyba że trafiłam w dziesiątkę i okaże się, że coś chcą mi wyciąć!

– Pani wie, czym się zajmuje Szumski zwany Wujkiem?

– Słyszałam to i owo.

– Rozumie więc pani, że po jego śmierci powstanie czarna dziura, którą trzeba będzie zapełnić?

Hm, Arkady Szumski, specjalista od mediacji między przestępcami, pośrednik między grupami przestępczymi, gwarantujący bezpieczeństwo i uczciwość transakcji – jeśli można użyć tego słowa w odniesieniu do owych praktyk – specjalista od załatwiania spraw nierozwiązywalnych, szara eminencja półświatka nie ma następcy. Ma tylko Wioletkę, a Wioletka jest, cóż... Wioletka to Wioletka. Nikt nie potraktuje poważnie jego wypacykowanej siostrzenicy, która więcej czasu spędza w spa niż na, hm... robieniu czegokolwiek innego.

– Pan chce zastąpić Wujka po jego śmierci?

– Nie jestem przekonany, czy powinienem tak długo czekać. Po jego śmierci może być więcej pretendentów do tronu. Zamierzam ich ubiec.

– Aha... To logiczne, ale jak zamierza pan to zrobić? Jeśli zamierza pan kogoś stuknąć, nie chcę wiedzieć – zastrzegła szybko. – Nie będę brała udziału w przestępstwie.

– Słyszałem o pani. Wiem, że Wujek zmusza panią do współpracy. Ja nie zamierzam.

– Nie? – zdziwiła się.

Facet sam nie wie, co mówi, uznała. Już sam wstęp do przedłożenia jej oferty był jawnym przymusem. A teraz co? Mogę sobie po prostu wstać i iść?

– Nie, zamierzam dać pani marchewkę.

– Super, warzyw nigdy dość.

– Pani kpi?

– Nie, ale jak się zdenerwuję, to plotę, co mi ślina na język przyniesie. To taka wada, zaburzenie osobowości. To się leczy spokojnym trybem życia, ale moja praca jakoś temu nie służy i czasami mi się pogarsza. Pan rozumie, stres nasila objawy, ale jest to zupełnie nieszkodliwe – paplała, czując, że nie może przestać. – Nigdy nie mówię w tym stanie mądrych rzeczy i tak przykładowo, jak mnie już pan odda Wujkowi, a ten by chciał wiedzieć, gdzie byłam i co robiłam, to powiem panu szczerze, że wyjdzie mi tyle dygresji, że sam zapomni, o co mnie pytał, nim wreszcie sformułuję jakąś odpowiedź. Ważne, że nie jestem paralitykiem. Może będę. Kto wie. Strach paraliżuje i pewnego dnia może mi tak zostać na stałe. Nie dość, że pracuję z psychopatą, spokojnie, to nie o pana mi chodziło, tylko o seryjnego mordercę, pan nim nie jest, czyż nie? Oczywiście, że nie. Seryjni mordercy wolą pracować w pojedynkę. Więc, jak już mówiłam, mogę pracować dla seryjnego psychopatycznego mordercy. Pan wie, że oni nie ziewają? To straszne. Nie wiem, jak można nie ziewać. Przecież to zaraźliwe. Pan nie urodził się w listopadzie, prawda?

Zdumiony Mrówa pokręcił tylko głową w zaprzeczeniu.

– No widzi pan? Więc nie jest pan psychopatą. Dębski nim jest. Tak sądzę. Podejrzewam. Co do Wujka, nie mam pewności, ale tak właściwie to do czego pan dokładnie zmierza?

– Ja... – zawahał się. – Ale to pani teraz mówi.

– Wiem, i to jest straszne. Nie mogę przestać. Gdzie jest ta woda?

*

Tomczak przyglądał się spod oka Chudej Kaśce. Cały czas czuł do niej urazę, że wygryzła go ze stanowiska, choć tak po prawdzie sam odszedł na emeryturę, czując, że czas już ku temu najwyższy. Pojawienie się

komisarz Mizery nie miało z tym związku, ale ogólnie nie przepadał za tym młodym pokoleniem. On zaczynał od szlifowania chodników, jak to się mawiało, a ci młodzi to szkółki, popierdółki i już mają stopień, na który on latami pracował. Nie jej wina. Wszystko się zmienia. Doceniał, że do policji trafiają wykształceni ludzie, a nie ofiary losu, jak za jego czasów bywało, czasami jednak zawiść aż go skręcała.

– I czego tam grzebie przy tej szafie? Nie widzi, że zamknięta jest? – spytał gderliwie.

Kaśka podskoczyła jak oparzona. Była przekonana, że Tomczak nie patrzy w jej kierunku, zajęty przeglądaniem zdjęć na laptopie, ale widać, że nie spuszczał z niej oka. Schowała do kieszeni wytrych i odwróciła się do niego ze wzgardliwą miną.

– Myślałam, że otwarte.

– Zamknięte. Pani Matylda umowy tam trzyma i faktury. Nie dla psa kiełbasa.

– Czyli pan też nie ma klucza do szafki? – odgryzła się.

W tej szafce na pewno była umowa i dane zleceniodawcy, których Tomczak nie znał albo nie chciał im podać. Sam lokal – co musiała przyznać – wyglądał jak prawdziwe biuro detektywistyczne. Czarne meble, bardzo eleganckie w swej prostocie, ściany w szarym odcieniu, panele podłogowe w odcieniu brzozy, kilka tonacji ciemniejsze od ścian. Lokal miał też niezły metraż. Kuchnia. Sekretariat. Łazienka. Biuro Matyldy. I jeszcze jedno pomieszczenie, do którego drzwi były zamknięte, jak wyjaśnił Tomczak, nieużywane.

– Przestańcie. – Marecki spisał kolejny adres ze zdjęcia budynku, z którego wychodziła Matylda wyglądająca jak... nie ona.

Witryna z elegancką odzieżą biła po oczach. Tam dokonano metamorfozy, przez którą Dominiczak mogła zginąć. Kaśka, spoglądając nad jego ramieniem, musiała dojść do podobnego wniosku, bo spytała wprost:

– Możemy przegrać zdjęcia? Może kogoś na nich wypatrzymy. Kogoś, kto się powtarza i mógł obserwować Dominiczak. Na wypadek gdyby było coś na rzeczy.

– Niech wam będzie – zgodził się niechętnie Tomczak.

Sam powinien był je przejrzeć, tylko że oczy już nie te, głowa nie ta, a i uprawnienia żadne. Niech lepiej policja się tym zajmie, choćby nieoficjalnie.

– Staszek, jesteś pewien, że nic nam nie powiesz na temat zleceniodawcy? – spytał Marecki.

Ten tylko niemrawo wzruszył ramionami, pociągnął sinawym nosem, jakby miał katar sienny, i wyjął chustkę, by przetrzeć załzawione oczy. Wydmuchał nos i zmiąwszy kraciastą chustkę w kulkę, wcisnął do kieszeni spodni, skąd wyjął owinięty chusteczką higieniczną cukierek. Przydługim paznokciem zaczął wydłubywać z napoczętej krówki resztki papierka.

– Staszek?

– Wioletka jakaś tam. Znajdziesz ją w tym sklepie z ciuchami. Pewnie tam mieszka – odpowiedział, wkładając cukierka do ust, i po chwili mlasnął z zadowoleniem.

– Staszek, wiesz, że nie o to pytam. Matyllda mówiła, że nie chciała pracować dla gościa, który faktycznie jej to zlecił. Wiesz, o kogo chodziło?

– Antek, co mam ci powiedzieć? Nie wiem. Jak Boga kocham. – Uderzył się ręką w pierś.

Podejrzenia miał, ale umowy na oczy nie widział. Nie miał też pewności co do tego, gdzie podziewa się jego pracodawczyni, wolał więc powiedzieć mniej niż więcej, żeby nie narażać Matylldy na dodatkowe problemy. Znał takich jak Szumski. Lepiej mieć na pieńku z psiarnią niż z tym gnojem.

– A pośrednik?

– Jaki pośrednik? – zdziwił się.

– Wioletka jest byłą dziewczyną Dębskiego, ale nie zleceniodawcą. Zleceniodawca wynajął pośrednika, żeby wynajął Matylldę. Wiesz, kto to?

Pokręcił przecząco głową. Domyślał się, bo ślepy ani głuchy nie był, jednak adwokacina i tak zasłonił się paragrafami, więc Marecki niczego się nie dowie. Lepiej niech zacznie iść po nitce do kłębka, a nie ma to jak zacząć od Wioletki.

– Ale tak se myślę... – Urwał, chrząknął i wypluł na dłoń kawałek krówki z papierkiem.

Spojrzał na nią z niezadowoleniem i wyrzucił do kosza. Przynajmniej próbował. Kawałek mordoklejki przykleił mu się do ręki i za nic nie chciał odpaść. Po chwili namysłu mruknął:

– A chuj z tym. – I zlizął krówkę z ręki.

Kaśka nawet nie siliła się na odwrócenie wzroku. Z chorą fascynacją przyglądała się niechlujstwu Tomczaka.

– W jakim charakterze zatrudnia pana detektyw Dominiczak? – spytała z autentycznym zaciekawieniem.

– Najczęściej udaję bezdomnego. Na nich nikt nie zwraca uwagi, a nawet uzbierałem na piwko czy dwa. A po co pyta? Też chce dorobić po godzinach?

– Nie, niestety, wizerunkowo chyba nie dam rady – odparła ironicznie.

– A pewnie, że nie. Na starego dziada nikt nie spojrzy, to mogę się wtopić w otoczenie. Ale czasami pani Matyldzie potrzebny ktoś bardziej reprezentacyjny, więc może zapytać, czemu by nie.

– Hmm... – Czy stary zgred właśnie powiedział jej komplement?

– Szkoda, że wcześniej żeście się nie zgadały. Jakby cię trochę przystrzyc, dziewczyno, i przemalować, wyglądałabyś wypisz wymaluj jak te lafiryndy Dębskiego.

Jednak nie komplement, westchnęła w duchu, już nawet się nie obrażając. Jeśli spędzi z nim jeszcze godzinę, sama zacznie mówić o sobie Chuda Kaśka i zastanawiać się, dlaczego nie poświęca życia cerowaniu mężowskich skarpet.

– Pani Matylda, choć ją jakimiś paskami pościskali i co nieco jej nawet usunęli, nijak nie wyglądała jak wieszak.

– Co jej zrobili? Liposukcję? – zdumiała się Kaśka.

– Nie, depilację – odpowiedział, przełykając resztki cukierka, po czym wyjął osmarkaną chustkę z kieszeni, by przetrzeć wąsy i usta. – Ale kto wie, może i to, co mówi, też jej zrobili. Ja tam się nie znam na tym, co wy sobie robicie, żeby ładnie wyglądać. Może za moich czasów kobitki ładniejsze były albo co? Mydło im starczało i jeden krem. Nivea się

nazywał. A teraz? Jak napisane było na opakowaniu 50+, to ja myślał, że to wiek, a okazuje się, że filtr. Jak chciał kupić krem do golenia, to okazało się, że to nie krem, a jakiś żel, i nie zamiast, tylko po. Po jaki chuj mam smarować gębę, jak ją ogolę? Woda kolońska wystarczy.

– Staszek – wtrącił się zniecierpliwiony Marecki – zacząłeś coś mówić i nie skończyłeś.

– A o czym?

– Że tak sobie myślę... a potem zjadłeś chusteczkę higieniczną ze słowami „a chuj z tym”. „Tak se myślę...” i co dalej? – dopytywał się.

– A, to! Tak se myślę, żeby pogadać z Wioletką. To podobno jakiś jej krewny. Wujek czy stryjek, nie jestem pewien, ale Wioletka nazwisko pewnie zna, co nie? – Z dumą pociągnął nosem.

Naprowadził Antka na trop, nie wsypując Matyldy. Tak się to robi!

*

Matylda wychyliła duszkiem szklanekę wody i gestem poprosiła o kolejną. Nie pij tyle, upomniała się, jeśli znowu zamkną cię w trumnie, będziesz miała przechłapanie.

Parcie na pęcherz nie będzie wtedy twoim największym problemem, stwierdził głos.

Wypiła jeszcze kilka łyków. Odetchnęła głęboko, czując, jak jej tętno wraca do normy. Niestety, emocje nie do końca się wyciszyły, bo gdy tylko otworzyła usta, zaczął z nich płynąć potok słów.

– Już mi lepiej. Dziękuję. Jestem zwarta i gotowa. Pytanie brzmi do czego. Przystępstwa wolałabym nie popełniać. Przynajmniej nie takie, za które mogłabym trafić do więzienia. Albo zostać skazana. Stracę wtedy licencję detektywa, a zbyt wiele poświęciłam, by ją zdobyć, więc przyjmijmy, że jest dla mnie ważna. Po rozwodzie nie utrzymam się z pracy bibliotekarki, a pewnie innej bym nie dostała. Na temat pana Szumskiego właściwie to wiem niewiele, więc jako źródło informacji też się nie przydam. Nie chciałam dla niego pracować i dla pana też nie chcę, ale jestem świadoma swojej sytuacji niesprzyjającej odmowie, zwłaszcza że nie wygląda pan na człowieka, któremu odważyłabym się powiedzieć: NIE. Skąd to wiem? Chce pan zastąpić Wujka, więc sroce spod ogona pan nie wypadł. Ma pan z pewnością zaplecze i środki, by to

osiągnąć. Nie wiem, do czego miałabym się przydać, ale mogę przynajmniej wysłuchać pańskiej propozycji. Jestem więcej niż pewna, że za chwilę przekona się pan o mojej bezużyteczności do wykonania tej misji, jakakolwiek by ona była. Na szpiega się nie nadaję, o interesach Wujka nic nie wiem, domyślam się tylko, co planuje w związku z Dębskim, nie mam jednak nic na poparcie mojej hipotezy. Może wyjazd do Gdańska by coś wyjaśnił, ale nie wiem, w czym miałoby to panu pomóc. I skoro miałabym pracować dla pana incognito, to nie mogę przestać pracować dla Wujka, bo co miałabym mu teraz powiedzieć? Więc żeby być tajnym agentem w szeregach mafii, to musiałabym nadal dla niego rzetelnie pracować. Oczywiście nie ma żadnej mafii. – Mrugnęła do swego rozmówcy. – Nie wiem więc, co miałabym zrobić dla pana. Przecież się nie rozdwoję. I dlaczego właściwie skaptował pan Miecia? Nie bardzo się orientuję w hierarchii tej społeczności, ale na szczycie to on nie stoi. Niczego przydatnego pan się od niego nie dowie. Parafazja czy nie, geniuszem to on nie jest.

Na końcu języka miała już sugestię, że nie można ufać zdrajcy, bo jak zdradził jednego szefa, zdradzi i drugiego. Nie zamierzała jednak podpowiadać temu człowiekowi, co zrobić z Mieciem, bo za chwilę sama może się stać takim Mieciem, który kiepsko skończy w dole z wapnem i peruką zatknietą na zbitym z dwóch gałęzi krzyżu zamiast kapelusza. Ten będzie pływał w dole z wapnem wraz z Mieciem.

– Nie mam złudzeń co do Miecia, ale okazał się bardzo przydatny. Wskazał mi panią – powiedział Pocisk, uśmiechając się do niej łobuzersko. – Proszę darować sobie to przedstawienie. Nie nabierze mnie pani, Wujek nie zatrudnia byle kogo. Zresztą popytałem o panią. Ma pani na koncie kilka spektakularnych sukcesów. Niektórych pani nabrała, oboje wiemy jednak, że jest pani nieprzeciętnie inteligentna. Może robić pani z siebie wariatkę i histeryczkę, ale zapewniam, że to nie podziąła. Przejrzałem panią.

O kurde melek, jęknęła w duchu Matylda, przyglądając mu się z zaskoczeniem.

Przejrzał? On cię zdecydowanie przecenia! – zawył głos, rwąc włosy z głowy.

Mrówa uśmiechał się do niej jak kot, który pożarł kanarka i popił go śmietanką. Był tak przekonany o swojej błyskotliwości i przenikliwości,

że Matylda dla własnego bezpieczeństwa postanowiła nie wyprowadzać go z błędu.

– Niech będzie – zgodziła się z nonszalancją, postanawiając wziąć przykład z mecenasa Piaseckiego, który za podróż w trumnie na spotkanie z klientem dopisał sobie procent za uciążliwe warunki pracy. – W takim razie jedyne, co nam zostało, to ustalić stawkę i zakres zlecenia. O ile będzie ono możliwe do wykonania. Nie przyjmuję spraw niemożliwych do wykonania. To byłoby nieuczciwe w stosunku do klienta.

– Jestem więcej niż przekonany, że to praca dokładnie dla pani.

Jasne, to jedyna szansa, żebym stąd wyszła cała, a potem się zastanowię, jak się z tego wykpić, pomyślała.

– Jedno zlecenie – zastrzegła, starając się mówić jak prawdziwa kobieta interesu. – Nie chcę brać udziału w ciemnych interesach. Im mniej wiem, tym lepiej śpię.

– Nie zatrudniałbym kogoś z zewnątrz, gdybym nie potrzebował kogoś wewnątrz. Jak pani słusznie zauważyła, Miecio się do tego nie nadaje. Pani jest idealna. Szumski nie będzie niczego podejrzewał – zapewnił ją Pocisk.

Oby, pomyślała z rezygnacją. Wyobraziła sobie byłą pracodawczynię, Salomeę Gwint. Ta nie dałaby się zahukać, za to wystawiłaby słony rachunek za swoje usługi zaraz po tym, jak zamiotłaby Mrówą podłogę. W tym przypadku jedyny przykład, jaki mogła wziąć z dawnej szefowej, to sposób płatności. Uznała, że gotówka będzie najlepszym rozwiązaniem. Wolała nie mieć wśród swoich rozliczeń księgowych firmy krzak, spłodzonej przez łosia, żeby potem skarbowka ją nachodziła z jakimiś nieprawidłowościami rozliczeniowymi. Nierozliczenie też jest nieprawidłowością, ale jeśli skarbowka o tym nie wie, to nie przyjdzie.

– Płatność gotówką – oznajmiła.

– Oczywiście – zgodził się i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki grubą kopertę.

Matyldzie powieka nie drgnęła na ten widok. Facet był przygotowany. No bo niby dlaczego nie? Kto w takich okolicznościach by odmówił?

Zajrzała do wnętrza koperty. Gdy zobaczyła jej zawartość, nawet ręka jej nie zadrżała. I to nie dlatego, że była przyzwyczajona do widoku takich kwot. Najzwyczajniej w świecie skamieniała, gdy Mrówa powiedział:

– To zaliczka na poczet kosztów. Właściwe wynagrodzenie otrzyma pani po wykonaniu zadania.

– Czego pan oczekuje? – spytała bez ogródek jak prawdziwa kobieta interesu, ściskając kolana, by ukryć ich drżenie.

– Kontakty Szumskiego.

A zaraz po tym mam ci podarować gwiazdę śmierci? – spytała retorycznie Matylda, tym razem we własnej głowie. Skoro myśli, że jest mądra i skuteczna, nie będzie wyprowadzać go z błędu do czasu, aż wymyśli, co z nim zrobić. Albo ze sobą.

Przenieść się do alternatywnej rzeczywistości, w której Mrówa jest specjalistą od dezynsekcji? – zasugerował głosik.

– Wiem, że nie ma pani bezpośredniego dostępu, ale jestem pewien, że coś pani wymyśli.

Jasne, że tak, chcę żyć. Policja? Odpada. Co im powie?

A jakby tak napuścić na niego Wujka? To mogłaby być gwarancja wzajemnego zniszczenia.

Albo może znaleźć jakąś trzecią stronę, która pozamiata ich obu?

Matylda, nie znasz nikogo z półświatka.

Ksawery zna, podpowiedział głos.

– Miecio będzie pani oczami wewnątrz.

Uniosła lekko brew i uśmiechnęła się kpiąco.

– Oczywiście, mnie też będzie donosił. – Mrówa się roześmiał.

– Ma pan kogoś jeszcze w szeregach Wujka? Kogoś bardziej użytecznego?

– Ja nie, ale pani tak.

Tym razem nie udawała zdumienia.

– Ksawery Grom – podpowiedział jej usłużnie.

Nie zamierzała udawać, że nie wie, o kim mowa. Oczywiście, Miecio i jego długi język. Jakżeby inaczej.

– To dlaczego pan sam nie zatrudni Ksawerego?

– Jest lojalny – stwierdził krótko. – Chciałbym, by w przyszłości dla mnie pracował, ale jeśli teraz go kupię, nigdy mu nie zaufam. Pani jest z zewnątrz. Nikt się o niczym nie dowie.

Jasne, bo Miecio potrafi trzymać język za zębami.

– Miecikiem proszę się nie przejmować. Moja w tym głowa, żeby się nie wygadał.

– Utnie mu pan język?

– Obiecałem mu dobrą fuchę. Ma chłop dwie rodziny na utrzymaniu.

– A jedna nie wie o drugiej, czyli szantaż – mruknęła do siebie, po czym spojrzała czujnie na swego zleceniodawcę. – Panie Mrówka, nie sądzę, by nie znał pan osób, z którymi współpracuje Wujek. Tak naprawdę chodzi panu o materiał do szantażu, czyż nie? Jak inaczej nakłoniłby ich pan do współpracy, skoro pretendentów do tronu będzie więcej? Chce mieć pan haka na tych ludzi.

– Właśnie pani udowodniła, że nie myliłem się co do pani. Cwana z pani sztuka. A skoro tak sobie rozmawiamy, to kim jest Dębski i co ma wspólnego z Szumskim?

Westchnęła ciężko. Na ogół jak powiedziało się A, trzeba powiedzieć B.

– Artur Dębski. Architekt. Bardzo uzdolniony. Spotykał się z siostrzenicą Dębskiego.

– Chce się go pozbyć?

– Wręcz przeciwnie. Chce go nabyć, że się tak wyrażę.

– Wioletka nie może znaleźć sobie nowego faceta? – zakpił.

– To nie problem. Sądzę, że Wujkowi bardziej zależy na tym mariażu niż Wioletce. Zna ją pan? – spytała poniewczasie, uświadamiając sobie, że nie wymieniła jej imienia, jednak nie powinno jej dziwić, że Mrówa orientuje się w powiązaniach rodzinnych rywala.

– Wiem, kim jest. Nie poznałem jej osobiście.

– Dębski pochodzi z Gdańska. Jego rodzina i on są współwłaścicielami ziemi. Wujek kombinuje, jak dostać choćby jej część. To dobrze położony teren. Gdyby postawić tam ośrodek...

– Zbiłby miliony, ale to dalekowzroczne planowanie, a jemu coraz bliżej, by przenieść się na tamten świat. Może chce zabezpieczyć Wioletkę. Bez niego jedyne, co jej zostanie, to dzielnica czerwonych latarni.

– Wątpię, by o to chodziło. Dębski to psychopata. Podejrzewam, że stoi za zaginięciem czterech młodych kobiet. Wujek jest tego świadom, nie zostawiłby siostrzenicy w rękach psychola, nie mogąc jej ochronić. Jest pan pewien, że Szumski jest umierający? – spytała z powątpiewaniem.

Może Miecio coś ściemnia? I zamiast się poskarżyć, że Szumski nim poniewiera, powiedział „umiera”?

– Tak, opłacam jego lekarza.

– Dlatego jest umierający?

– Nie, umiera sam z siebie. Zapłaciłem tylko za informacje – odpowiedział bynajmniej nieurazony jej podejrzaniem. Wręcz przeciwnie. Zdaje się, że uznał jej sugestię za komplement.

– Hm... w takim razie moja teoria właśnie runęła w gruzach, chyba że... – Myśli kłębiły jej się w głowie jak rój szerszeni.

– Chyba że co? – podchwycił zaintrygowany.

– Chyba że Wujek ma kogoś, kto go zastąpi w interesach i przy okazji zaopiekuje się Wioletką.

– Grom?

Ksawery też przyszedł jej do głowy jako pierwszy na liście, ale pokręciła przecząco głową.

– Dlaczego nie?

– To musi być ktoś, kto się nie wychyla. Ktoś, kto pracuje w cieniu. Ktoś, kogo nikt nie zna.

Jak Carramba, szpieg z Krainy Deszczowców.

– Ktoś taki jak Wujek. Ksawery jest znany i w środowisku policyjnym, i w... w tym drugim, jak widać – dokończyła nieporadnie.

Mrówa bębnił palcami po stole, rozważając jej słowa.

– Nie znam nikogo w otoczeniu Wujka, kto by pasował – powiedział po dłuższej chwili.

Ani ja, pomyślała Matylda. Znam tylko Mieciów i Krzysiów, i tym podobnych wyrobników.

– Ale to bez znaczenia – uznał. – Jeśli zdobędzie pani dla mnie kontakty Szumskiego, nikt mi nie podskoczy.

Matylda pokręciła głową, zaprzeczając mu z pewnością siebie, której wcale nie czuła, lecz pomimo niesprzyjających okoliczności sprawa ją zaintrygowała.

– Dlaczego nie? – Koniecznie chciał wiedzieć, co mu umyka.

– Bo to, co ja mam dla pana zdobyć, tajemniczy następca tronu dostanie na złotej tacy od Wujka. Obaj będziecie w posiadaniu tych samych materiałów. Prędzej ktoś puknie was obu, niż ulegnie w takiej sytuacji szantażowi. Z drugiej strony Wujek legalizuje część interesów, zabezpiecza rodzinę, może nie będzie następcy? Zniszczy posiadane zaplecze, a potem niech się dzieje wola nieba.

– Pani nie jest świadoma zakresu jego działań. Tego nie da się tak po prostu zakończyć – stwierdził. – Są ludzie zależni od Wujka, część z nich zostanie z niczym, jeśli zrobi się próżnia. Śmierć Szumskiego nie ochroni jego rodziny przed atakiem. On musi zagwarantować ciągłość działalności. Nie można ot tak, po prostu odejść.

– On nie odchodzi, tylko umiera.

– Tym bardziej musi być przygotowany.

– Jeszcze kilka minut temu mówił pan o czarnej dziurze, jaka powstanie po śmierci Wujka. I o pretendentach, których pan zamierza ubiec. Skąd ta zmiana?

– Owszem, ale pani sugestia mnie przekonała. On kogoś ma, a pani się dowie kogo. Oczywiście, zapłacę dodatkowo za tę informację.

– Oczywiście – potwierdziła spokojnie, mimo że była o krok od hysterii.

Przez swoje nieposkromione gadulstwo wpakowała się w jeszcze większe bagno niż to, w którym przed chwilą była. Zamiast jednego zlecenia właśnie ma dwa. Od bandziora. Może niewłaściwie oceniała Salomeę, która zarzucała jej drobnomieszczańską mentalność i moralność pensjonarki. Sama pewnie przeszła tę samą drogę, jaką teraz zmuszona była przemierzyć Matyllda. Muszę ją przeprosić przy najbliższej okazji, pomyślała.

– Panie Mrówka, tak sobie właśnie pomyślałam, że gdyby pan ożenił się z Wioletką, upiekłby pan dwie pieczenie na jednym ogniu – palnęła bez zastanowienia, sama się dziwiąc, jakim torem pobiegły jej myśli, od byłej szefowej, która jeździła po niej jak po łysej kobyle, twierdząc, że robi to dla jej dobra, do Wioletki, która marzy o „smętarzu” dla zwierzków z jednorożcem srającym tęczą przy bramie.

– Moja żona nie byłaby zadowolona. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale podsunęła mi pani pewną myśl.

Spojrzała na niego przerażona.

– Spokojnie. Nikt nie zginie – roześmiał się głośno, jakby opowiedziała przedni dowcip. – Mówiła pani, że jak się nazywa ten gość od ziemi w Gdańsku?

– Artur Dębski.

Pokiwał głową, jakby miało mu to pomóc w zapamiętaniu nazwiska, i powiedział:

– Popytam o niego.

– Jutro jadę do Gdańska, żeby uzyskać informacje na jego temat – poinformowała go w ramach podjętej współpracy. Może jak rzuci mu okazję do zarobku, to będzie o tym pamiętał, gdy zawali sprawę Wujka?

– Dotyczące ziemi?

– Nie, chodzi o jego prywatne sprawy.

– Aha, te zaginione dziewczyny? Uważa pani, że je zabił?

– Niekoniecznie on, ale nie wykluczam. – Sama nie była pewna, po co mu to opowiada.

– Wujek chce mieć dowody, żeby go szantażować?

– Oczywiście, że nie. Nie przyjąłabym takiej sprawy! – oburzyła się. – Chodzi o życie Wioletki i te cztery zaginione dziewczyny. To tylko moje przemyślenia, które nie mają potwierdzenia w faktach.

– Jedzie pani do Gdańska, żeby potwierdzić swoje hipotezy.

– Nie. Jadę, by uzyskać informacje.

Nie dodała, że nie ma zielonego pojęcia, czy dziewczyny faktycznie zaginęły. Jej tylko nie udało się z nimi skontaktować, a każda z nich mogła po prostu zmienić numer telefonu, choćby z powodu prześladowcy. Rzekomego czy prawdziwego. Mogły też być wystarczająco przestraszone, by zmienić pracę, miejsce zamieszkania, numer telefonu, a nawet kolor włosów. Teorię o ich zaginięciu po prostu sobie wyobraziła, ale przecież nie powie temu facetowi, że sama wymyśliła scenariusz o seryjnym mordercy, który urodził się w listopadzie, jak na Skorpiona przystało, i do tego nie ziewa, gdy inni to robią w jego obecności.

– Zobaczę, dokąd mnie doprowadzą.

– Do zaginionych kobiet?

– To, że nie mogę ich znaleźć, nie oznacza, że zaginęły – wyjaśniła niechętnie. – Mogły po prostu zmienić numer telefonu. Mówiłam, że to tylko hipoteza. Nic więcej. Muszę ustalić fakty.

– Czyli Wujek niekoniecznie podejmie współpracę z tym Dębskim? Co dokładnie planuje w tej sprawie? Mógłbym go ubiec. – Uśmiechnął się i dodał wyraźnie zadowolony z siebie: – To odwróciłoby jego uwagę od pani poczynań, nie sądzi pani?

Matylda westchnęła.

– Ziemia należy do rodziny Dębskich. Trzeba by jeszcze zrobić jakiś rozdział własności czy coś w ten deseń, a Dębski nie wydaje się tym zainteresowany. Zdaje się, że Wioletka miała go przekonać, ale wszystko się rozkraczyło.

– Dlaczego Wujek tak się cacka z tym Dębskim? Czego mi pani nie mówi?

– Nie wiem dlaczego. Podejrzewam, że chodzi o jego talent. Dębski to wspaniały architekt. Geniusz. Psychopaci często tak mają. Podobno.

Wujek woli, żeby pracował dobrowolnie – odpowiedziała. – Ale to też tylko moje domysły.

– Pewnie słuszne – uznał. – No nic, geniusz nie geniusz, ziemię może sprzedać, gdyby go zachęcić. Albo zachęcić jego rodzinę.

– Wyparli się go – wyjaśniła. – Mają go w tak głębokim poważaniu, że pewnie zatańczyliby na jego grobie, jeśli tylko mieli ku temu sposobność. Właśnie dlatego jadę. Muszę się dowiedzieć, cóż takiego się stało i czy ma to coś wspólnego z aktualnymi wydarzeniami.

– Jak zamierza pani to zrobić?

– Jeszcze nie wiem. Będę improwizować – odparła zgodnie z prawdą.
– Coś jeszcze mogę dla pana zrobić, nim odejdę?

– Wie pani, która kancelaria ogarnia sprawy Wujka?

Nie miała pojęcia, co ją tknęło, ale tym razem skłamała bez zajäknienia:

– Niestety, nie wiem. Z tego, co mi wiadomo, korzysta z różnych, w myśl zasady „nie wie lewica, co czyni prawica”. Dziel i rządź. Sądzę, że gdyby korzystał z jednej kancelarii, adwokat połapałby się, że doradza między innymi, jak wyprać pieniądze, a w tym zakresie nie obowiązuje tajemnica adwokacka. Zdaje się, że prawnicy mają nawet obowiązek zgłosić takiego klienta. Nie orientuję się zbyt dokładnie w tej ich etyce.

– Miecio wspominał o niejakim Piaseckim. Podobno często korzysta z tego samego sposobu podróży, co pani.

Smerdolony Miecio! Zapomniała zupełnie, że pierwszą przejażdżkę odbyła wspólnie z mecenasem. Cisnęli się w tej samej trumnie, dzięki czemu uzyskała kilka porad rozwodowych i załapała się na ponowną pracę dla Wujka.

– Tylko legalne interesy ogarnia, z tego, co mi wiadomo, a zdaje się, że nie o to pan pytał, czyż nie? – Wybrnęła, przywołując na twarz uśmiech tak wymuszony, że obawiała się, iż przypomina paroksyzm bólu.

– Ma pani rację. Te nie interesują mnie zupełnie – przyznał. – Dowie się pani, kto reprezentuje Szumskiego?

– Zakładam, że ta informacja będzie w danych, które mam dla pana zdobyć. Panie Mrówka, czy to wszystko? Jeśli tak, na mnie już pora. –

Miała nadzieję, że nie mówi błagalnym tonem, tylko jak rzeczowa kobieta interesu. Po incydencie z trumną przyplątała jej się mała chryпка, więc może zamaskowała drżenie głosu.

– Jeszcze jedna sprawa.

– Tak?

– Mrówa. Nie Mrówka – poprawił ją z naciskiem. – Mrówka źle mi się kojarzy.

– Oczywiście. To przejęzyczenie. Przepraszam.

– Miecio panią odwiezie.

Matylda skrzywiła się niechętnie.

– Koniec z podróżami z Mieciami, panie Mrówa. Oczywiście jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Karawan odjeżdżający spod baru może wyglądać podejrzanie.

Tym razem nie miała wątpliwości, że zabrzmiało to jak błaganie, lecz nie da się po raz kolejny zamknąć w trumnie. Nie wtedy, gdy szoferem ma być Miecio. Kto wie, dokąd ją wywiezie i kto jeszcze mu zapłacił. Może czeka ją przejazdka po mieście, a może ten kretyn wystawił ją na aukcję.

– Taksówka? – zaproponował.

– Będzie w sam raz. – Odetchnęła z ulgą.

Przysłuchujący się rozmowie Miecio również, wnioskuje po jego minie. Po kopniaku, który mu wymierzyła Matylda, wolałby przez jakiś czas nie mieć z nią do czynienia. Nie wiadomo, co jeszcze mogłaby mu zrobić. Barman nie czekał na polecenie szefa. Na samo hasło „taksówka” zareagował jak dobrze wyszkolony pies i sięgnął po telefon, by ją zamówić.

– Panie Mrówa, jeszcze jedno. Jak mam się z panem kontaktować? Wolałabym nie robić tego przez Miecia. Na pewno coś przekreśli – powiedziała Matylda.

Wolałaby już nigdy więcej z nim się nie kontaktować, ale póki czegoś nie wymyśli, musi nie tylko tańczyć, jak jej grają, ale jeszcze przygrywać do kotleta, choć nie zna nut.

*

Wściekły Dębski wpadł do swojego gabinetu jak petarda, rzucił teczką o ścianę, jednym ruchem ręki zmiotł z biurka leżące tam dokumenty, ale dopiero gdy kopnął krzesło obrotowe tak mocno, że podjechało do ściany ze szkła i uderzyło w nią z hukiem, poczuł się ciut lepiej. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni dopadła go taka furia. Gdyby pod ręką była Matylda, wypchnąłby ją przez okno, najpierw jednak udusił, skopał zwłoki, a dopiero potem wyrzucił, patrząc z satysfakcją, jak jej bezwładne ciało rozbryzguje się na chodniku.

Poprawił włosy, odetchnął głęboko, rozpiął marynarkę i ruszył do wyjścia z gabinetu, by wezwać sekretarkę i kazać jej posprzątać ten chlew. Ta stała już przy otwartych drzwiach i patrzyła na niego oczami tak wielkimi, że aż zniekształcały ograniczoną botoksem mimikę. Widać musiał przedstawiać sobą niecodzienny widok.

– Proszę tu posprzątać, a następnie przynieść filiżankę kawy. Cynamon. Mleko sojowe. Dziękuję – wykrztusił z zaciśniętej ze złości krtani i trąciwszy skamieniałą kobietę ramieniem, wyszedł z biura.

Wsiadł do windy. Zjechał na dół, gdzie skierował się do biura ochrony. Spojrzał na plakietkę przytwierdzoną do piersi strażnika w wieku matuzalemowym, któremu bliżej już było na tamten świat niż na ten, i ku niechęci, a jednocześnie własnemu zadowoleniu, poczuł od mężczyzny woń tytoniu.

– Panie Marcinie, użyczy mi pan papierosa? Ten dzień ciężko mi się zaczął – powiedział tak uprzejmie, jak tylko zdołał, mając w pamięci całkiem świeżą scenę, gdy policja wyprowadzała go z budynku w obecności tegoż właśnie ochroniarza, który z rozdziawioną gębą gapił się jak cielę w malowane wrota.

Teraz bez słowa podał mu paczkę, a Dębski wyłowił z niej papierosa i włożył do ust, gestem pokazując, że prosi o zapalniczki. Ochroniarz wyjął z kieszeni zapalniczkę i podpalając papierosa, którym Dębski mocno się zaciągnął, powiedział:

– Tu nie można palić, proszę pana.

– Już wychodzę. Dziękuję – rzucił zdawkowo i nie poświęcając już więcej uwagi starszemu mężczyźnie, opuścił jego kanciapę i wyszedł z budynku tylnymi drzwiami.

Oparł się o ścianę i wystawił twarz do słońca, zaciągając się jeszcze kilkakrotnie. Gdy poczuł, że przestały w nim buzować gwałtowne emocje, wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do Dominiczak.

Nie odbierała. Poczekał na włączenie się poczty głosowej.

– Zwalniam panią – rzucił krótko, gdy tylko rozległ się dźwięk zwiastujący początek nagrywania.

Zgasił niedopałek papierosa i wybrał kolejny numer.

– Wioletka? Musimy porozmawiać. To pilne. Oddzwoń, proszę. – Tym razem jego głos brzmiał łagodnie, czule, uwodzicielsko, gdy nagrywał kolejną wiadomość. Potrzebował mocnych pleców, a zdaje się, że ta dziewczyna je miała.

*

Marecki i Chuda Kaśka rozsiedli się w biurze Matyldy, jakby byli u siebie w gabinecie. Jeszcze zaraz każą mu kawę przynosić i herbatę parzyć, złościł się Tomczak, nie mogąc się doczekać, aż wyjdą. Za nic nie mógł poskładać faktów w całość, potrzebował kogoś, kto jest w temacie, a tym kimś był Ksawery Grom. W ostateczności mógł namierzyć Szumskiego i wparować do niego z bronią, żądając informacji na temat Matyldy.

Tego jednak wolałby uniknąć. Wprawdzie za szefową poszedłby w dym, ale zadzierać z Szumskim? To akurat rzecz do przemyślenia, zwłaszcza że gość był zbyt cwany, żeby zniknąć Matyldę czy też zrobić z niej kościotrupka. Dębskiego też nie podejrzewał, bo nie miałby kiedy, skurczybyk, dobrać się do Matyldy, a do tego cwana z niego bestia.

Może na początek zagada z tym adwokacina, który wynajął Matyldę, a o którym Tomczak nie powiedział ani słowa koledze? Komisarzowi krew pulsowała w z rzadka wykorzystywanych komórkach mózgowych. Nie po to odszedł na zieloną trawkę, żeby teraz jakieś rozkminki robić. Powinien siedzieć na działeczce i piwko popijać. Rybki w kanale z Marianem, emerytowanym inspektorem, łowić. Na kolacyjkę usmażyć. Wódeczką popchnąć. Szefowa nie wymagała od niego myślenia, bo jak twierdziła: „Panie Staszku, pan za bardzo kombinuje”.

I miała rację. Za każdym razem, gdy nie słuchał poleceń, źle kończył. A to go staranowali autem, a to w bagażniczku przewieźli. Teraz sytuacja wymagała działania i będzie działał.

– Antoś, po papieroski skoczę, bo mi się skończyły, a wy tu nic nie przestawiajcie. Pani Matylda na pewno się zorientuje, a ja nie będę łągał w żywe oczy, że nie wiem, jak wiem, jasne? – zagroził, gniewnie łypiąc przekrwionym okiem na komisarz Mizereę, która w tym cywilnym wdzianku wyglądała jak nastolatka. Dżinsiki na chudej dupce, koszulka w drobną kratkę, na guziczki, kurteczka, żeby broń ukryć, duże sarnie oczka i blond włoski, buzia jak u laleczki. Tomczak dobrze wiedział, jak wygląda Szatan, nie z nim takie numery.

Gniewnie wzruszyła ramionami, doskonale wiedząc, że do niej te aluzje robi, była jednak zbyt zajęta przeglądaniem fotografii i szukaniem adresów czy też innych punktów zaczepienia, by mu odpowiedzieć. Antek też tylko mruknął coś niezrozumiale, nie odrywając wzroku od monitora.

– Czy on nie miał rzucić palenia? – spytała Antka, gdy Tomczak wyszedł z biura.

– Podobno, ale wiesz, jak z nim jest – mruknął tylko coś niedbale, wynotowując kolejny adres.

Tomczak wtargnął – bo inaczej nie można tego nazwać – do biura miernego adwokacyny, który wpakował Matyldę w szambo. Najchętniej machnąłby odznaką, ale na takich jak ten nigdy to nie działało.

– Ożeż w mordę! – sapnął na widok ogromnego biurka, zza którego wystawał młody mężczyzna w okularkach. Przerzucał papiery z kupki na kupkę, odmawiając jakieś zaklęcia, co zwykli czynić ci łachmaniarze w togach, wypuszczający na ulicę przestępców, których on łapał. – To prawdziwe drewno?

– Prosto z lasu – zapewnił go adwokat. – O co chodzi, panie Tomczak?

– Pan mnie zna? – zdziwił się komisarz. – Nie miałem przyjemności, jeśli się nie mylę. Pamięć mam dobrą, pamiętam każdą mendę, która mi podpadła.

– Nie miałem tej przyjemności – odpowiedział tamten kąśliwie. – W czym mogę panu pomóc?

– Podłogi też prosto z lasu? – spytał z głupia frant Tomczak, zapominając, po co tu przylazł.

Bogactwo uderzało go prosto w nos. Może nie odróżniał paneli od płytek, ale kasę zawsze zwęszył. Samo biurko było warte z kilkadziesiąt tysięcy.

– Osobiście rąbałem – zapewnił go Piasecki, nie zmieniając wyrazu twarzy. – To o co chodzi?

– Mogę zobaczyć łazienkę? Pewnie ma pan kibelik ze złota, a pisuar ze sreberka?

– Proszę się nie krępować. Sugeruję zajrzeć do toalety, gdy będzie pan już wychodził. Pani Dominiczak pana przysyła?

– Tak dokładnie to nie bardzo, bo zaginęła.

Ta informacja chyba poruszyła wreszcie mecenasa, bo jakby cień przemknął po jego twarzy.

– Kiedy rozmawiał z nią pan po raz ostatni?

– Rozmawiałem z nią wczoraj – odpowiedział prawnik.

– Czy coś wskazywało na zamiar zaginięcia?

Piasecki spojrzał na niego zza oprawek okularów, które pewnie kosztowały więcej, niż on dostawał emerytury.

– Nic mi nie wiadomo, by zaginieni mieli zamiar zaginać. Ciekawa teoria.

– Pan tu nie odwraca kota ogonem, tylko odpowiada. Już ja dobrze wiem, dla kogo pracuje pani Matylda.

– Przypominam, że pan również jako zatrudniony przez detektyw Dominiczak i jest zobowiązany do zachowania tajemnicy zawodowej.

– Ty mnie tu nie ucz przepisów, przez które zęby mi wypadły – warknął Tomczak. – Wiem, kiedy trzymać dziób na kłódkę, ale jak coś pani Matyldzie się stało przez tę sprawę, to ja tu wrócę i podpalę te leśne cacuszka, jak będzie trzeba.

– Podzwonię – obiecał Piasecki, bynajmniej nieprzejęty groźbą, wszakże zaginięcie Matyldy mogło nieść ze sobą daleko idące konsekwencje. Lepiej dla wszystkich, żeby odnalazła się cała i zdrowa, i w dobrym nastroju.

– No myślę. A z kibelka skorzystam. Dzięki.

Tomczak spojrział na niego ostrzegawczo i groźnie zarazem, co skutkowało jedynie ponownym uniesieniem brwi przez mecenasa i niczym więcej. Zdechła ryba ma więcej emocji, pomyślał komisarz, trzaskając drzwiami dla podkreślenia wagi swych słów, ale czego spodziewać się po ludziach, którzy na co dzień obcują z przestępcami? Muszą mieć jaja jak granaty, żeby im po nogawkach nie ciekło, jak bronią jakiegoś psychola.

I co takiemu zrobisz? Nic nie zrobisz, pomyślał markotnie. Humor poprawił mu się na widok eleganckiej łazienki. Wszystko lśniło i pachniało, muszla była bielusienka, a zamiast kurków sterczał tylko jakiś kran, z którego woda leciała sama z siebie, gdy podstawił pod niego rękę. Tak samo rzecz się miała z pojemnikiem na mydło. Na desce klozetowej był guziczek, a po naciśnięciu wysuwała się folia zabezpieczająca.

Strach było z tego wszystkiego korzystać, żeby nie popsuć. Tomczak jednak nie byłby sobą, gdyby tak po prostu wyszedł z pomieszczenia. Pociągnął nosem, charknął obrzydliwie i wypluł plwocinę wprost do umywalki.

I wyszedł, nie splukując.

*

Ksawery Grom, wysoki, dobrze zbudowany, gdyż dbał o formę, i zdaniem wielu kobiet bardzo przystojny, nigdy nie musiał płacić za seks. Kobiety same pchały mu się do łóżka, z czego jako wierny małżonek nie korzystał, a jako rozwodnik bardzo chętnie. Niestety, randkowanie nastęrczało zbyt wiele komplikacji i pytań.

- Gdzie byłeś?
- Co robiłeś?
- Gdzie jesteś, jak cię nie ma?
- Tęsknisz?

Seks za pieniądze był bezproblemowy. Zasady wystarczyło ustalić raz i każda ze stron była zadowolona. Kiedyś myślał, że tylko ofermy płacą za seks albo zboczeńcy, ale teraz, jako czterdziestoparoletni mężczyzna po przejściach, ceniący swój czas i spokój ducha, doceniał tę formę usług.

Dziewczyna wymknęła się bladym świtem, nie chcąc kawy, śniadanka, buziaczka ani zapewnień o dozgonnej miłości, a przynajmniej nie domagała się żadnych obietnic, że zadzwoni.

Bo nie dzwonił.

I nie odbierał telefonu.

Tym razem musiał.

I nie dlatego, że dzwoniła jakaś jego panienka. Miał kilkanaście nieodebranych połączeń od Piaseckiego.

– Grom – rzucił krótko.

– Wreszcie. – Adwokat odetchnął z ulgą. – Był u mnie Tomczak. Podobno pani Matylda zaginęła. Coś panu wiadomo w tym temacie?

– Nie – odparł krótko. – Poszukam jej.

– Doskonale.

Przez chwilę obaj milczeli, prawdopodobnie myśląc o tym samym.

Arkady Szumski potrafił zniknąć ludzi jak mało kto.

– Oddzwonię – rzucił jeszcze Ksawery, nim się rozłączył, nie czekając na odpowiedź.

Wybrał numer Matyldy, jednak zgłaszała się wyłącznie poczta głosowa.

– Oddzwon. To pilne – poleciał w nadziei, że nie wpakowała się w jakieś gówno, co w jej przypadku było możliwe, a limit szczęścia mogła już wyczerpać. – Jak się nie odezwiesz, to powyrywam ci skrzydełka i nie tylko – dodał jeszcze.

Kolejny telefon wykonał do Miecia. Ten również miał wyłączony aparat. A także pocztę głosową.

No to został Wujek. I Dębski. Po chwili namysłu postanowił zacząć od tego drugiego. Jeśli Szumski miał coś wspólnego ze zniknięciem Matyldy, nigdy się do tego nie przyzna. Powinien najpierw wykluczyć inne opcje, nim zdecyduje, co począć ze swoim pracodawcą, gdyby się okazało, że to on jest winien.

*

Matylda przejrzała zawartość torebki. Nic nie zginęło. Wypełniona monetami skarpeta – jest. Paralizator także.

Trzeba było go użyć, kiedy wyciągali mnie z trumny, pomyślała.

Jeden paralizator na czterech koleś? Pogięło cię, kobieto?

Fakt, przyznała rację głosowi. Walki trzeba wybierać rozsądnie, jeśli chce się je wygrać.

Portfel. Telefon. Butelka z wodą. Notatnik. Klucze. Peruka. Wszystko było na swoim miejscu. Nawet nie przejrżeli zawartości podczas rozmowy z Pociskiem, a wcześniej zlekceważyli torebkę, zostawiając ją w trumnie.

Wyjęła perukę i wcisnęła na głowę. Poprawiła opadające na ramiona włosy i przejrzała się w niewielkim lusterku, które nosiła w bocznej kieszonce.

– Po co pani peruka? – spytał Miecio niepewnie, gdyż Matylda stała niespełna metr od niego.

– Musiałam zmienić wizerunek do sprawy. Na co dzień muszę mieć włosy do licencji i prawa jazdy.

– Jest w tym sens – przyznał, odsuwając się poza zasięg rąk Matyldy, gdy ta zwróciła się w jego stronę.

Pocisk już wyszedł, pozostawiając ją ze swoimi ludźmi i Mieciem, którzy przyglądali jej się z zaciekawieniem. Ignorowała te spojrzenia, o ile się dało, nie da im tej satysfakcji i popłacze się dopiero w domu. Albo lepiej w biurze. Nikt jej nie będzie widział.

– Kiedy spotkamy się ponownie, nie znamy się.

– Ale jak to tak? – zdziwił się.

– Właśnie tak. Nie znamy się, panie Miecio.

– Przecież ja panią znam.

– Ma pan udawać.

– Nie da się. Wujek i Ksawery wiedzą, że się znamy, więc to będzie podejrzane. A pan Mrówa powiedział, że mam wykonywać pani polecenia, więc jak będzie się pani zalecać, jak nie będziemy się znać?

Wysiłek umysłowy malujący się na twarzy Miecia, zapakowanego w niepasujący do jego ogromnej postury frak, w innym wypadku pewnie by ją rozbawił. Nadal rozważała, czy nie przywalić mu z paralizatora, choćby dla chwilowej satysfakcji, więc popatrzyła na niego tak zimno, jak tylko zdołała, i odparła:

– Nie będę zalecać się do pana, tylko zlecać panu. To różnica. I doskonale wiem, że się znamy. Ma pan zachowywać się tak, jakby dziś nic się nie wydarzyło. Nie widzieliśmy się. Nie rozmawialiśmy. I niech pan mi schodzi z drogi, gdybyśmy się spotkali, bo na pewno wsypie pan nas oboje, rozumiemy się? Żadnego mrugania ani nic z tych rzeczy, jasne?

– Jasne, żadnego ruchania. Zrozumiałem. Słowo ducha! – obiecał, przykładając dwa palce do serca.

Super, zginę przez niego. Przez chwilę rozważała, czy nie poprosić o chwilowe zniknięcie Miecia, ale Ksawery pewnie by go szukał, Wujek by się zaniepokoił, a ona mogłaby nie wytrzymać tej presji i wypowiedziałaby się niewłaściwej osobie. Do tego gdyby Miecio zniknął na stałe, nie udźwignęłaby psychicznie takiego ciężaru.

Wcisnęła kopertę z pieniędzmi pod podszewkę torebki, żeby nie kusić losu.

– Zaczekam na taksówkę na zewnątrz – zwróciła się do barmana.

– Nie ma sprawy. Miecio wyjdzie z panią. Na niego też już czas.

– Miecio niech lepiej wymyśli jakąś wymówkę, jak Wujek będzie chciał wiedzieć, gdzie był, kiedy go nie było – mruknęła złośliwie, idąc obok swojego porywacza.

– O kurczaczek... – Miecio stanął i spojrzał na nią z przerażeniem. – Co mam powiedzieć? Że niby co robiłem? Wyjechałem z trumną z zakładu i nie było mnie parę godzin.

– Powiedz, że byłeś u jakiejś baby – poradził mu Kryś, otwierając drzwi wyjściowe na oścież.

Matylda błyskawicznie skorzystała z okazji, by ktoś nie zmienił zdania, i wyszła, ale Miecio bujał się, jakby dostał choroby sierocej w przejściu. Sądząc po rozpaczliwym wyrazie jego twarzy – myślał. Ewidentnie mu to szkodziło.

– A jak Wujek zapyta, u jakiej? To co mam powiedzieć?

– Że i tak nie zna – zarechotał Kryś.

– Kurde melek! – zaklęła rozeźlona Matylda. – Powiesz, Mieciu, że zabłądziłeś!

– Tego nikt nie przełknie. – Barman spojrzał na nich z powątpiewaniem.

– A jak zapyta, gdzie błądziłem? – dociekał Miecio, również nieprzekonany do tej wersji wydarzeń.

– Z zabłądzeniem chodzi właśnie o to, że się nie wie, gdzie się było. To definicja błędzenia, rozumiesz?

– No tak! Skąd mam wiedzieć, gdzie byłem, jak mnie tam nie było! O to chodzi, co nie? – Spojrzał z triumfem na Krysia.

Ten tylko prychnął wzgardliwie i stwierdził:

– Myliłem się. Uwierzy.

Drzwi zamknęły się za nimi ze skrzypnięciem nienaoliwionych zawiasów. W uszach Matyldy ów dźwięk brzmiał jak anielskie harfy.

– To, pani Matyldo, jeszcze jedno pytanko bym miał. Bo ja żem wzion ten karawan bez pytania i co mam powiedzieć, że czemu?

Super, Matylda, nie dość, że na imprezach rodzinnych wszyscy nieudacznicy wypłakują ci się w rękaw, to jeszcze musisz pocieszać bandziora, który cię uprowadził, zamknął w trumnie, pozwolił pogrzebać żywcem i, co najgorsze, sam wskazał cię tłustym paluchem innym bandziorom.

– Masz jakiś pogrzeb w tym tygodniu? – spytała, pomijając formę grzecznościową.

– Ale że jak? Własny?

– Nie, idioto. – Przestała silić się na uprzejmość. – Czy miałeś gdzieś zawieźć jakieś ciało do kościoła albo gdziekolwiek, gdzie się jeździ ze zwłokami? Legalnie! – zaznaczyła, szybko uświadamiając sobie, że pytanie dawało zbyt szeroki wachlarz możliwych odpowiedzi.

Miecio spojrzał na nią z rozżaleniem, ale nie było jej przykro, że nazwała go idiotą. Nic a nic.

– Jutro o dziewiątej jest pogrzeb w tym kościele, co...

– Nieważne. Powiesz, że pomyliłeś dni i pojechałeś tam zawieźć ciało, a po drodze zabłądziłeś.

– Ale ja nie zabrałem żadnego ciała!

– Powiesz, że zapomniałeś! – syknęła.

Pokiwał głową, wyraźnie starając się zapamiętać historyjkę.

– OK, niech będzie. Jak ktoś zapyta, gdzie byłem, to powiem, że się obłąkałem, a trupa zapomniałem wziąć. Dzięki, pani Matylde. I przepraszam za dziś... Tak jakoś wyszło, ale jakbym powiedział, dokąd jedziemy, toby pani nie pojechała, a do karawany to pani już przyzwyczajona, co nie?

Przed jej odpowiedzią uratowała Miecia taksówka, która właśnie się przy nich zatrzymała.

*

Ksawery wszedł do biura Dębskiego jak do siebie. Gdyby nie ściany ze szkła i wszechobecne oczy świadków, nie powstrzymałoby go potężnych rozmiarów biurko, za którym skrywał się architekt.

– Znowu pan? – spytał z jawną niechęcią Dębski.

– Szukam Matylidy – powiedział prosto z mostu Grom.

– Zwolniłem ją.

– Nie może pan. Nie pan ją zatrudnia.

– Nie chcę jej więcej widzieć na oczy.

– To też nie jest pańska decyzja. Pan Szumski na razie prosił. Nie chce pan, żeby zaczął wymagać.

Ksawery najchętniej potrzęsałby tym bezczelnym typem tak długo, aż wytrząsnąłby z niego tę bezczelność. Nigdy nie lubił rudych. Mężczyzn. Do rudych kobiet nic nie miał. Dębski utwierdzał go w przekonaniu, że słusznie.

– Wspaniale. Najpierw zgarnia mnie policja, bo ta Dominiczak coś im nagadała o zaginionych dziewczynach, a teraz pan tu wpada jak jakiś typ spod ciemnej gwiazdy i mi grozi. Niby dlaczego miałbym odpowiadać na pańskie pytania? – spytał z nieskrywaną złością.

– Policja? Pierwsze słyszę. – Ksawery nie zamierzał spuszczać z tonu, jednak działo się tu więcej, niżby się zdawało na pierwszy rzut oka.

– Wspaniale – powtórzył z przekąsem architekt. – Ta wasza detektyw jest nienormalna. Nie wiem, co nagadała policji, bo przesłuchiwali mnie dziś jak pospolitego przestępcę. Podobno cztery moje były kochanki zaginęły. I niby ja mam z tym coś wspólnego.

– Powiedział im pan o swoim prześladowcy?

– Mogłem wspomnieć, tylko jakie to ma znaczenie? Nie zgłaszałem nękania policji i nic im do tego.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego to tylko pańska sprawa?

– Nie muszę się tłumaczyć. To wy uparliście się na tę szopkę. Mam ważniejsze sprawy na głowie niż przejmowanie się kilkoma panienkami, które przechodzą z łóżka do łóżka za kolacją i wizytę w spa. Kto wie, przez ile rąk przeszły.

Grom przyglądał mu się badawczo. Dębski albo sam nękał te kobiety i być może odpowiadał za zniknięcie kilku z nich, albo wie, kim jest rzekomy prześladowca, i go kryje. W tym drugim przypadku musi to być jakaś bliska mu osoba.

– Kto pana przesłuchiwał?

– Marecki i jakaś policjantka. Nie pamiętam nazwiska.

– Komisarz Antoni Marecki?

– Zgadza się. Zna go pan?

– Tak trochę.

Znacznie lepiej znała go Matylda. Dębski mógł mieć rację, wydała go Mareckiemu. Tylko dlaczego? Na co wpadła? Jeśli chce wyprowadzić Wujka w pole, nie pomogą jej wszyscy święci i aniołowie. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Pukał nie pod ten adres.

– Dziękuję za informacje – powiedział oschle, wstając z krzesła. – Proszę zadzwonić, gdyby Matylda się z panem skontaktowała.

– Już powiedziałem. Mam to...

– Jeśli zaginęła, dzisiejsza wizyta na policji nie była pańską ostatnią. Lepiej, żeby pan ze mną współpracował, rozumiemy się?

Dębski zacisnął gniewnie usta, lecz skinął głową.

*

W trumnie leżała zaledwie trzy godziny. Znacznie krócej, niż jej się zdawało. Kosmetyczka już jej przepadła, nie ma sensu jechać do spa. Podała taksówkarzowi adres butiku, w którym Malwina i Wioletka zamienią ją w boginię, a przynajmniej zrobią wszystko, co możliwe, by ją choć przybliżyć do boskości, kładąc jej plastelinę na twarzy i przyklejając rzęsy. Tym razem nie da się wpakować w żadną wyszczuplającą bieliznę. Jest, jaka jest, i inna nie będzie, Wioletka musi to przyjąć do wiadomości.

Okoliczności nie sprzyjały dalszemu wykonywaniu zlecenia, gdy jedyne, o czym marzyła, to wanna z gorącą wodą, butelka wina i wypłakanie się, by dać upust emocjom. Żadna z tych rzeczy nie była w jej stylu, a jedyne, co mogła zrobić, to kontynuować rozpoczęte zadanie i w tym czasie rozważyć, jak wykpić się od zlecenia Mrówy, co na chwilę obecną nie wydawało się możliwe.

Pewnie będę musiała zdecydować, kogo boję się bardziej, pomyślała.

Włączyła telefon. Szereg nieodebranych połączeń. Kilka powiadomień z poczty głosowej. Dzwonił Tomczak, Marecki, Piasecki, Ksawery, Dębski. Dobijali się do niej ze spa, a i sama Wioletka zadzwoniła kilkanaście razy. Dzwonił nawet mąż. Jej własny.

Obchodziła ją tylko jedna osoba. Dwunastoletnia córka, która powinna lada moment kończyć lekcje. Dziewczynka na szczęście odebrała po pierwszym sygnale.

– Monisia, dziecko moje kochane, musisz się wyprowadzić – powiedziała spokojnie, wydając z siebie jednocześnie westchnienie ulgi na dźwięk jej głosu.

– Większość rodziców czeka przynajmniej do osiemnastki z pogonieniem dzieci z domu – zauważyło kąśliwie jej wyszczekane dziecko.

Nie wiem, po kim to ma. Pewnie spędza za dużo czasu z moją matką, uznała Matylda, postanawiając tym razem darować sobie uwagi

wychowawcze.

– Kochanie, nie na zawsze, tylko na trochę. Będę zajęta bardziej niż zwykle, więc przeniesiesz się do dziadków. Komisarz Tomczak cię tam odwiedzie. Nie ruszaj się z domu, dopóki po ciebie nie przyjedzie – poleciła córce.

Dziewczynka westchnęła z wyraźnym niezadowoleniem, ale odpowiedziała posłusznie:

– Dobrze, mamó. Mogę zabrać kota?

– Nawet powinnaś. Ojciec na pewno go nie nakarmi, a ja mogę nie mieć czasu.

– Tata wie o mojej przeprowadzce?

– Nie, ale zaraz mu powiem.

Nie dodała, że Roman może nawet nie zauważyć nieobecności córki w domu. Jedyne, co by odnotował, to brak prądu i internetu. Być może Monika jeszcze ma złudzenia, że ojciec rozpoznałby jej zwłoki, gdyby zaginęła i odnalazła się w kostnicy. Ona już nie miała.

*

Marecki i Mizera zostawili taki bałagan w biurze, że nigdy się z tego nie wytłumaczy przed panią Matyldą. Trąby powietrzne nie szaleją wewnątrz lokali z nieotwieralnymi oknami, a tylko to wyjaśniałoby porzrzucone i porozkładane zdjęcia. Poza trzęsieniem ziemi żadne inne zjawisko przyrody, które mógłby winić za bałagan, nie przychodziło mu do głowy.

– Trudno, wezmę to na klatę – zdecydował, mówiąc głośno sam do siebie, co ostatnimi czasy zdarzało mu się zdecydowanie zbyt często. Samotność uderzała mu do głowy. Miał mały epizod z umawianiem się z kobietą w ostatnich latach, ale ostatecznie uznał ten eksperyment za nieudany. Człowiek nawet nie mógł pierdnąć we własnym mieszkaniu, żeby zaraz go od oblecha nie wyzwali.

– Nawet laptopa nie wyłączyli – zżymał się, siadając w fotelu szefowej. – Jak mnie pani Matylda wytarga za uszy, to mi jeden włoszek na jajach nie zostanie!

*

Kolejny telefon wykonała do Piaseckiego.

– Witam, panie mecenasie. Co jest tak pilnego, że prosi pan o jak najszybszy kontakt? – spytała, nie przedstawiając się.

W końcu powinien mieć zapisany jej numer, a skoro jej szukał, powinien był się spodziewać, że w końcu się odnajdzie.

– Chciałem się tylko upewnić, że pani żyje i pracuje – odpowiedział z sarkazmem.

– To, że nie zgłaszam się co minutę, nie oznacza, że nie pracuję albo że padłam trupem, chyba że wie pan coś, o czym ja nie wiem? – pytająco zawiesiła głos.

– O czym na przykład miałbym wiedzieć?

– Skąd mam wiedzieć? To pan do mnie wydzwaniał, jakby piekło się panu paliło pod stopami.

– Będzie pani uprzejma zadzwonić do swojego podwładnego. Poszukiwał pani w moim biurze i zdewastował mi łazienkę. Jeśli zrobi to jeszcze raz, potrączę to pani z wynagrodzenia.

– Co znowu zrobił?

– Napłuł.

– A, to nie tak źle. Oczywiście, zapłacę za sprzątaczkę – zapewniła. – I dziękuję za informację.

– Proszę się nie rozłączać! Co pani miała na myśli, pytając, co znowu zrobił?! Czy to znaczy, że jeszcze coś tu zrobił?!

Mówił do siebie. Matylda przerwała połączenie.

– Dobra, następny będzie Tomczak, zanim zrobi coś gorszego, na co mnie nie będzie stać – zdecydowała, postanawiając zignorować telefony ze spa.

To nie ona regulowała rachunki, więc niech wystawią fakturę, komu tam trzeba. Jej noga i tak już więcej tam nie postanie. Prywatnie nie było jej stać na ich usługi, a płacić za coś, co może sama sobie zrobić za darmo, totalnie bez sensu.

– Panie Staszku! Co pan nawyprawiał? – zapytała, gdy tylko usłyszała gderliwe:

– Czego tu?

– Pani Matyllda! – zawołał z ulgą i z poczuciem winy zarazem. – Żyje pani!

– Pewnie, że żyję. Dlaczego miałyby być inaczej? Coś pan wie? Wystawili mnie na aukcji, kto mnie pierwszy stuknie, i ściga mnie snajper? – zakpiła, by pokryć łgarstwo.

– Ja tam swoje wiem. Jak się człowiek zadaje z takimi różnymi, to różnie to może być, ale powiem pani, że jakem usłyszał pani głos, to aż zem odetchnął. Już myślałem, że będę musiał osobiście fatygować się do tej osoby non gracia, a powiem pani, że żaden z nas nie wyszedłby z tego żywy, bo ani on by mnie nie puścił, ani ja jemu nie odpuścił.

– Nie mam pojęcia, o kim pan mówi. O Dębskim? – zdziwiła się.

– E tam, taki Dębski, takich jak on to ja na śniadanie zjadałem. O Szumskim mówię! Ten adwokacina nieźle panią wmanewrował, ale Mareckiego napuściłem tylko na Dębskiego. Jak przez niego trafi do Szumskiego, to ani moja wina, ani pani.

– Zaraz, zaraz, co pan zrobił? – zdenerwowała się Matyllda.

– No wpadł mi dziś na chatę z Mierną Kaśką, gadał coś o zaginionych dziewczynach, i że pani też zaginęła, a że nikt nie miał z panią kontaktu, a mąż nawet nie wiedział, że pani zaginęła, to my się mocno zestrachali. I powiedziałem im o Dębskim. Źle zrobiłem?

Tak dokładnie to najpierw powiedział, a dopiero potem wjechali mu na chatę, szukając Matylldy, ale wołał nie wchodzić w szczegóły. Dotarło do niego, że nie powinien chlapać jęzorem bez pozwolenia.

Westchnęła. Wczoraj nie podała Mareckiemu żadnych nazwisk, zastanawiając się, jak to zrobić, żeby nie stracić licencji, gdyby ktoś na nią doniósł, a Tomczak podał mu wszystko na tacy. Dobrze, że choć miał dość rozumu, by nie wyklepać, dla kogo faktycznie ona pracuje.

– Panie Staszku, ale o tym, dla kogo pracuję, pan nie powiedział? – upewniła się jeszcze.

– Nie, no skąd! Za kogo mnie pani uważa? Do Wioletki ich wysłałem.

Kurde melek! Przecież Marecki raz-dwa odkryje, że to siostrzenica Szumskiego! Doda dwa do dwóch i wyjdzie mu pięć, a ona straci

potencjalne źródło informacji!

– Halo? Jest tam pani?

– Tak, jestem. Mógłby pan powtórzyć tę część o zaginionych dziewczynach?

– No te nazwiska, co mu pani podała. Te kobiety zagięły. Oficjalnie. Akta są i w ogóle. Antoś nawet zgarnął Dębskiego dziś na dołek, ale Oszczymurek dostał szału i go pogonił, a ryżą mendę puścił z przeprosinami.

Hm, czyli miałam rację z tymi zaginięciami, pomyślała. Pytanie, czy miałam też rację co do Dębskiego.

– OK, dziękuję za informację.

– Ależ nie ma za co – odparł szarmancko w nadziei, że uniknął ochrzanu, który Matyllda co jakiś czas mu sprawiała, jakby nacieranie mu uszu stanowiło jej osobistą rozrywkę.

– Poproszę pana jeszcze, żeby podjechał pan po Monikę i zawiózł ją do dziadków, a potem ma pan wolne na resztę dnia – powiedziała, nie mając jeszcze żadnego planu działania, ale czując, że lepiej dla wszystkich, żeby Tomczak nie pałętał się pod nogami.

Jeśli Grom jej nie pomoże, jedyne, co jej pozostanie, to porozmawiać od serca z Mareckim. Żadna z tych opcji nie była dobra, ale lepszego wyjścia nie miała.

– A co z bankietem? Miałem robić zdjęcia – przypomniał markotnie Tomczak. – Zwalnia mnie pani?

– Co? Ależ skąd. No tak, bankiet, jasne. Przecież właśnie jadę się przebrać na bankiet.

Nie, ten dzień zdecydowanie przerasta jej możliwości intelektualno-emocjonalne.

– Pani Matylldo, gdzie pani przepadła? – spytał z zaciekawieniem.

– Zostałam porwana i zakopana żywcem, panie Staszku.

– Jak pani nie chce mówić, to nie, ale wariata niech pani ze mnie nie robi – obruszył się. – Nie chce pani, żebym pytał, to nie będę pytał. Zawiozę tego pani dzieciaka do szanownej mamusi i tatusia, a potem

jadę pod firmę Dębskiego robić, co mi każą, jak jakiś wyrobnik, bo przecież do prawdziwej roboty to ja się ponoć już nie nadaję – stwierdził obrażony i rozłączył się.

– Super – mruknęła. – Nie było mnie przez kilka godzin, a w tym czasie rozpełtała się gównoburza.

Na liście do oddzwonienia zostali jej tylko Roman, Marecki, Dębski i Ksawery.

*

Miecio na widok Groma zachłysnął się powietrzem, wybałuszył oczy i nieoczekiwanie dla wszystkich potężnie kichnął, co uratowało go przed pytaniami o tę dziwną reakcję na widok jednego ze swoich szefów.

Na co dzień pracował jako grabarz w firmie Wujka, robił dla Ksawerego fuchy w charakterze ochroniarza, nie miał więc problemów z lojalnością, bo był lojalny tam, gdzie lepiej płacili. Podpaść jednak nie zamierzał nikomu. Trumien w jego rozmiarze w zakładzie pogrzebowym było do wyboru, do koloru.

– Na zdrowie – burknął Ksawery. – Wujek na miejscu?

– Nie wiem. Dopiero przyjechałem – odparł zgodnie z prawdą Miecio.

Nie dodał, że by nie rzucić się w oczy, zamierzał schować się w chłodni, gdzie w lodówkach leżały przygotowywane do pochówku ciała.

– Widziałeś Matyldę? – spytał.

– Ale że dziś czy w ogóle? – zapytał spłoszony.

Znów uratowało go potworne kichnięcie.

– To chyba elegia – powiedział przepaszająco.

– Widziałeś dziś Matyldę? – ponowił pytanie Grom, przyglądając mu się podejrzliwie. Miecio coś kręcił.

– A powinienem? – zapytał tamten żałośnie.

– Wujek kazał ją tu dziś przewieźć?

– Wujek nie.

– A kto?

– Jak nie Wujek, to ja nie wiem kto, bo jestem obłąkany i trupa będę mieć dopiero jutro.

Grom zdębiał. Nie zrozumiał ani słowa z tego bełkotu.

– Miecio, człowieku, weź się skup. Co ty pleciesz?! – ryknął ze złością, gdy odzyskał panowanie nad sobą. A dokładniej nad werbalnym wyrażaniem emocji, bo panowanie nad sobą to właśnie tracił.

– Ksawery! Dobrze, że jesteś! – Wujek, którego nadejścia nie spostrzegł, klepnął go przyjaźnie w plecy. – Musimy pogadać o Matyldzie.

– Coś się jej stało? – Starał się, by to nie zabrzmiało groźnie, ale to on wpakował ją w znajomość z Szumskim i mimo jego starań Wujek nie chciał wypuścić jej z rąk. Jeśli coś jej się stało, była to tylko i wyłącznie jego wina.

– A co się miało stać? Skąd ten pomysł? – zdziwił się szef.

– Zapodziała się gdzieś – odpowiedział już spokojniej, zerkając jednak na Miecicia podejrzliwie. Gnojek coś kręcił.

– Ta kobieta ma więcej żywotów niż kot i łązi własnymi ścieżkami. Nie próbuj za nią nadążyć, bo nie zdołasz. – Wujek zerknął na Miecicia, który stał tuż obok z oczami wybałuszonymi jak martwa ryba i robił przedziwne miny. – Wioletka tylko dzwoniła, że Dębski strasznie się na nią wkurzył i nie chce z nią pracować, ale za to zaprosił ją na bankiet, bo ją kocha i żyć bez niej nie może. Chciałbym wiedzieć, co odkryła, że gościa szlag trafił. Może da się to jakoś pociągnąć i wykorzystać, żeby go przycisnąć.

– Nie było jej tu?

– Nie – zaprzeczył Wujek, lekko zaskoczony napastliwością w głosie swego podwładnego.

– Ten tu coś kręci. – Grom wskazał głową na Miecicia.

Obaj spojrzeli na niego podejrzliwie, a Wujek nawet złowieszczo. Miecicio zabalgotał coś niepewnie i wbił wzrok w wyłożoną płytkami podłogę, by nie patrzeć na żadnego z szefów.

Arkady Szumski był niewysokim, wychudzonym łysolkiem po pięćdziesiątce, którego zdmuchnąłby jednym ruchem ręki, ale potrafił

znikać ludzi jak mało kto, za to nikt nie odważyłby się zniknąć jego.

Ksawery Grom, potężnie zbudowany, wysportowany, były policjant, aktualnie właściciel agencji ochroniarskiej, znał sztuki walki, których nazw Miecio nie potrafił wymówić, i na pewno miał przy sobie co najmniej z dwa pistolety i nóż z ząbkowanym ostrzem.

Mrówa z kolei znany był ze swoich metod przesłuchań, które nawróciłyby islamskiego terrorystę nawet na feminizm.

Paradoksalnie jednak Miecio najbardziej bał się teścia. Tatuś kochał go jak swojego, a on odwdzięczał mu się miłością szczeniaka do pana, który od czasu do czasu podrapał go za uchem. Złamałby serce tatusiowi, gdyby ten się dowiedział, że dorobił rogi jego córce i zmajstrował na boku bliźnięta. Nie mógł pozwolić, by do tego doszło.

– Jestem błędzący bez trupa – oświadczył z determinacją, która zdumiała nawet jego samego.

– Mieciu, co ty pierdolisz? – zapytał łagodnie Szumski. – Pojechało cię już do końca? Myślisz, że masz jakieś indiańskie korzenie?

– Jestem będący bez... – zająknął się, po czym ogromnym wysiłkiem woli powiedział powoli i wyraźnie: – Pomyliłem terminy. Pojechałem na ten pogrzeb, co ma być jutro, i zabłądziłem, jak wracałem. Sorki, szefie, oddam za paliwo.

Grom spojrzał z niedowierzaniem na Wujka, który westchnął głęboko i powiedział ze znużeniem:

– Takie są skutki zatrudniania debili. Schowałeś ciało z powrotem do lodówki?

– Nie, zapomniałem trupa – wyrecytował dokładnie tak, jak nauczyła go dziś Matylda.

– Jak to zapomniałeś trupa?! – wrzasnął histerycznie Wujek. – Zostawiłeś go na cmentarzu?! Na stacji paliw?! Gdzie jest trup?!

– W lodówce, proszę szefa. Zapomniałem go zabrać z lodówki! – Wystraszony Miecio cofnął się przed furią szefa.

– Pojechałeś z pustą trumną?!

– No to chyba lepiej, niż miałyby się zepsuć po drodze, jak błądziłem, co nie? – Spojrzał błagalnie na Groma, szukając u niego pomocy.

– Ty to słyszysz, Ksawery? Sam już nie wiem, co byłoby gorsze, czy gdyby pojechał w terminie i bez ciała, czy żeby pojechał przed terminem i z ciałem!

– Ja się obłąkałem, panie szefo. Pan wie, że ja za panem to w dym bym poszedł i w ogóle. Nigdy bym zębów nie podniósł na rękę, która żywi. Pan wie... – jąkał się przestraszony.

– Spadaj, Miecio – polecił mu Ksawery.

– Panie szefo, ja jutro ten pogrzeb gratis puknę, co nie? Tak dla równego wyrachunku, co nie?

– Spadaj, Miecio, zanim mnie szlag trafi – polecił mu zmęczonym głosem Wujek. – Ja się zapierdolę, Ksawciu. To nie na moje nerwy. Wywał go na zбитy pysk.

– Za długo dla Wujka pracuje, żeby go się pozbyć. Nie wiadomo, dokąd pójdzie – mruknął zniechęcony Grom.

– Daj go do kopania grobów. Tego nie zawali.

– Chyba że wykopie w poprzek – zażartował Ksawery, mimo że nie było mu do śmiechu.

Nadal nie wiedział, gdzie jest Matylda.

*

Chuda jak patyk młoda kobieta z odstającymi we wszystkich możliwych miejscach kośćmi, również w miejscu, gdzie powinny znajdować się piersi, a zamiast tego były łopatki, rzuciła jej się na szyję z dzikim okrzykiem.

Matylda czuła wciskające się w jej ciało kości. Przysięgłaby, że doskonale wyczuwa całą obręcz żebrową, mostek Wioletki, kości miednicy wbijające się napastliwie, a gdy również oddała uścisk, miała pod palcami każdą chrząstkę kręgosłupa.

– Pani jest wspaniała, pani Matyldo! Wspaniała! – piszczała Wioletka, nie wypuszczając jej z objęć i podskakując dziwnie na niebotycznie wysokich obcasach, jakby tam, w górze, poskąpili jej wzrostu i musiała go sobie sztucznie dodać.

Za nią stały Renatka, właścicielka butiku z odzieżą dla otyłych inaczej, i Malwinka, specjalistka od masek pośmiertnych, wykonywanych na

żywych, jak Matylda nazywała w myślach wizazystkę. Sama padła jej ofiarą. Była gotowa użyć rozpuszczalnika, by odkleić z twarzy gumowaty, ciągnący się makijaż. Rzęsy na szczęście odpadły same. Nigdy więcej, zdecydowała, wzdrygając się. To było gorsze niż ta trumna z kocim żwirkiem na wieku.

– Dziękuję. Doceniam. Ale o co chodzi? – Udało jej się wreszcie wyrwać z objęć Wioletki.

– Jak to o co? – Młoda kobieta spojrzała na nią z takim zdumieniem, jakby Matylda powiedziała jej, że ma za grube uszy i potrzebna im liposukcja. – Arti do mnie wrócił!

– O! – Ta wiadomość istotnie ją zaskoczyła. – Kiedy?

– Dziś! Tak go pani wkurzyła, że postanowił przestać się kryć z naszą miłością i stawić czoło całemu światu! Czyż to nie romantyczne?! – zapiszczała wniebowzięta. – Ciasteczko? – zaproponowała Matyldzie, podsuwając talerzyk, który zmaterializował się w jej ręku nie wiadomo skąd i kiedy. – Są przepyszne! Osobiście wahałam! – zapewniła ją.

– Nie jadła ich pani? – Matylda spojrzała na nią podejrzliwie.

– Oczywiście, że nie! Dziś jest bankiet! Renatka ma dla mnie superekstrasukienkę. Nie chcę, żeby brzuch mi odstawał.

Matylda z powątpiewaniem spojrzała na miejsce, w którym powinien być brzuch. Coś tam było. Pępek na pewno, każdy go ma. Ale czy coś więcej? Niekoniecznie.

– Nie wydaje mi się, żeby to pani groziło – mruknęła, zastanawiając się, o co tu, u licha, chodzi?! Czyżby Wujek wycofał się ze zlecenia po wmieszanu się Mareckiego do sprawy?

– Pani jest taka miła – rozpromieniła się Wioletka, poprawiając ciemne, krótkie włosy, okalające twarz.

Dokładnie takie same, jakie musiała sobie sprawić Matylda, by upodobnić się do typu urody preferowanego przez Dębskiego, i udawać jego dziewczynę, a następnie wypłoszyć z czeluści piekieł prześladowcę i złapać go na gorącym uczynku.

Ogolę głowę, to włosy mi szybciej odrosną, pomyślała zniechęcona. Co za piekielny dzień.

– Pani się nie gniewa, że Arti panią zwolnił? To z miłości – zapewniła ją Wioletka, wciskając jej w drugą rękę filiżankę kawy.

– Arti nie może mnie zwolnić, bo nie on mnie zatrudnia – odpowiedziała Matylda, opadając na dziwaczny i niewygodny fotel, za to z pewnością bardzo modny i bardzo drogi, jak wszystko, co znajdowało się w butiku Renatki dla kobiet o rozmiarze XXSMINUS.

– Ojej, faktycznie, nie pomyślałam o tym. I co teraz będzie?

– Nic – mruknęła. – Nadal będę prowadzić sprawę, tylko postaram się nie rzucać Artiemu w oczy.

– Wiedziałam, że pani się nie podda. Złapie pani tego stalkera, prawda?

– Kogoś na pewno – stwierdziła Matylda.

– Zawsze mówiłam, że jak komuś Bóg poskąpi urody, to odda zawiązką gdzie indziej. Mówiłam tak, Malwinko? – zwróciła się do wizażystki, która z zapalem potwierdziła.

– Dziękuję – powiedziała Matylda.

Chyba, dodała w myślach. Wioletka do perfekcji opanowała sztukę nazywania jej brzydulą bez używania słowa na B.

– Trzeba powiadomić Wujka. Będzie pani potrzebna ochrona – powiedziała Matylda, do której dotarło, że już nie musi się wciskać w żadną kieckę z wątpliwej jakości szwami, które pękały, gdy tylko nabrała powietrza.

Ani nie będzie nosić butów na kilkunastocentymetrowej szpilce, w których można paradować wyłącznie w łóżku, trzymając nogi wysoko w górze.

Ani Malwina jej nie dopadnie i nie przyklei niczego do twarzy.

A najpiękniejsze w tym wszystkim było, że może jechać z Ksawerym do Gdańska choćby dziś.

Oczywiście plan i tak zostanie przeprowadzony, a Tomczak dopilnuje jego wykonania.

Zawali jak nic, uznał głos.

Ochroniarz go widział, jak komisarz kopał auto Miecia, lepiej nie pchać go pod oko kamery, poparł go głosik.

Czyli groźby będę musiała podzucić sama, stwierdziła z westchnieniem. A może nie? W roli pijaka był bezbłędny. Powinien dać radę...

– Pani Wioletko, życzę wszystkiego najlepszego. Proszę nie dać się zastraszyć. Na pewno znajdziemy autora gróźb – powiedziała.

Ciasteczko było niezbyt smaczne, jednak żołądek domagał się pożywienia, więc przełknęła je niemal bez gryzienia. Popiła łykiem kawy – bo tylko tyle było w mikrofilizance. Po chwili wahania przesyłała zawartość talerza do torebki.

– To na później – burknęła nieuprzejmie, udając, że nie widzi szoku w oczach kobiet, bo oklejone gumą twarze nie wyrażały niczego.

– Ona jest taka... męska – szepnęła z podziwem Wioletka do koleżanek. – Prawdziwa feministka. Przeciera szlak dla takich kobiet jak my.

Matylda udała, że nie dosłyszała kolejnego wątpliwej jakości komplementu, i wyszła. Jeśli umiejętność wymiany żarówki świadczy o tym, że jest feministką, to pewnie tak jest, ale skąd pomysł, że feministki są męskie? Jak tak dalej pójdzie, zacznie z Tomczakiem popijać piwko, wcinać smakującą mułem rybę i narzekać, jak to babom się w głowach przewraca.

*

Kaśka przeglądała w telefonie część zdjęć, które przesyłała sobie z komputera detektyw Dominiczak. Powiedzieć, że nagięła prawo, to jakby nic nie powiedzieć, ale skoro wraz z Mareckim właśnie podpadała przełożonym dla Matyldy, jak tamta się do niej doczepi, to Katarzyna osobiście zrobi jej krzywdę.

– Co właściwie wiemy? – spytała, próbując złożyć strzępy informacji w logiczną całość.

– Tak dokładnie to nic – stwierdził po chwili namysłu kolega.

– Szkoda, że na to nie wpadłeś, zanim kazałeś przywlec do nas Dębskiego – wytknęła mu, choć obiecała sobie, że więcej tego nie zrobi.

Nie dziś. Jutro będzie nowy dzień i nowe przytyki.

– Odpuść, dobra? Ciebie nikt nie będzie się czepiał, a mnie tak od razu za to nie ukarzą.

– Chyba że Dębski zgłosi oficjalną skargę.

– Wątpię – uciął. – Dla niego lepiej, żebyśmy o nim zapomnieli. Pewnie liczy, że Obszmurek zdusi wszystko w zarodku, a jak zgłosi sprawę, trzeba będzie ją zbadać.

– Ładnie to sobie obmyśliłeś – pochwaliła go. – Szkoda tylko, że to pobożne życzenia.

– No dobrze. Co właściwie wiemy... Cztery kobiety zagięły.

– Zgadza się. Dorota Wartecka, Magdalena Pieprzyk, Dominika Stróżek, Marta Gajda – wymieniła podane im przez Dominiczak nazwiska.

– Wszystkie spotykały się z Dębskim.

– Tak twierdzi twoja pani detektyw – zauważyła kąśliwie Mizera, która miała dość czasu na przemyślenia przy milczącym koledze.

Niestety, prócz wniosku, że wpadli na ślad psychola, nasuwał się jeszcze jeden – że Matylda wsadziła ich na minę, bo poza domysłami niczego nie mają.

– Właśnie – przytaknął machinalnie, po czym najwyraźniej dotarło do niego, co sugeruje partnerka, bo spojrzał na nią z ukosa brązowymi oczami, w których malowało się zdumienie. – A niech to! – zaklął z cicha. – Masz rację. Jak nie da nam twardych dowodów, Dębski może śmiało składać skargę. Nie mam nic na swoją obronę, chyba że...

– Chyba że powiesz staremu, skąd masz cynk, i Matylda straci licencję.

– O kur... – Obiecał sobie, że w przeciwieństwie do wielu ze swoich kolegów po fachu nie będzie sobie gęby wulgaryzmami brudził. Trudno było mu dotrzymać danego słowa. Zwłaszcza w takich okolicznościach.

– Musimy ją znaleźć – stwierdziła Kaśka. – I to wcześniej niż natychmiast. Tak skoncentrowałeś się na tym, by dopaść Dębskiego, że zapomniałeś zupełnie, i ja też, że bez Matyldy leżysz jak świnia i kwiczysz.

– A znalazłaś może na zdjęciach coś bardziej przydatnego? – zapytał zgryźliwie.

Sam wiedział, że przegiął. To chyba jakaś kobieca przypadłość – wytykanie bez końca na różne sposoby tego samego błędu. Jego matka była dokładnie taka sama.

– E! E! – zająknęła się, dźgając powietrze palcem.

Spojrzał we wskazanym kierunku i zobaczył znikającą za rogiem jednej z kamienic Matyldę. Ten kaczy chód rozpoznalby zawsze i wszędzie.

– Łap ją! – zahamował gwałtownie, wjeżdżając na chodnik.

Kaśce nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wystrzeliła ze służbowego auta jak z procy, przeskoczyła murek jak sarenka i pognała brukowaną ulicą za znikającą w zaułku kobiecą sylwetką.

Matylda przerzuciła przepastną torbę przez ramię i pospiesznie przezuwając ciasteczka, maszerowała skrótem na znajdujący się nieopodal postój taksówek. Musi jakoś dotrzeć do biura. Po drodze odsłuchiwała wiadomości. Dębski faktycznie ją zwolnił. Jakby mógł, prychnęła wzgardliwie. Nie on decyduje. Piasecki zostawił jej wiadomość z prośbą o kontakt, lecz już się z nim porozumiała. Marecki żądał, by natychmiast oddzwoniła. Ksawery koniecznie chciał wiedzieć, gdzie jest, i nawet użył jakiejś groźby pod adresem tylnej części jej ciała, jeśli wpakowała się w kłopoty. Za to wiadomość od męża biła wszystkie inne na głowę.

– Matylda, policja cię szuka. Podobno zaginęłaś. Mówią, że jak się nie znajdziesz, to będę musiał zgłosić zaginięcie. Nie jestem zadowolony. Mam plany.

– A kto jest? – powiedziała sama do siebie po odsłuchaniu wiadomości. Mąż jako jedyny wydawał się zupełnie nieprzejęty jej zniknięciem, co więcej – uważał zaginięcie za okoliczność rujnującą mu życie, sądząc po pretensji w jego głosie.

Weszła w zaułek za restauracją, gdzie w równych rzędach stało kilka kontenerów wypełnionych śmieciami. Przeciskała się właśnie przez wąski przesmyk między nimi, by następnie wejść na dziedziniec kamienicy i wyjść z drugiej strony, gdy ktoś złapał ją za ramię, wykrzykując jej imię.

Wydarzenia dzisiejszego dnia nadszarpaneły jej nerwy do tego stopnia, że bezmyślnie wrzasnęła. Następnie wyprowadziła przepastną torebką

cios, który chybił celu, i w przypływie rozpaczy rzuciła w napastnika nadgryzionym ciastkiem.

Kaśka ze zdumieniem spojrzała na okruchy, które przyłgnęły do jej koszuli. Któryś wpadł za niewielki dekolt, czuła też jakąś maź na policzku. Spojrzała z odrazą na detektyw Dominiczak.

– To pani – wyjąkała z ulgą Matylda, rozpoznając w napastniku komisarz Katarzynę Mizere, policjantkę, która zastąpiła Tomczaka jako partnerka Mareckiego. Musiała mieć nerwy w strzępach, skoro wzięła wysoką blondynkę za bandziora, ale tylu ich dziś spotkała, że miała prawo do omyłki.

– Szukamy pani od rana – wycedziła Katarzyna, wyciągając chusteczkę higieniczną z opakowania. Otarła nią twarz. Przyklejony do chusteczki wilgotny skrawek wyglądał jak kawałek żurawiny.

– Miałam właśnie dzwonić do pana komisarza, ale nie zdążyłam jeszcze odsłuchać wszystkich wiadomości, gdy mnie pani napadła.

– Wołałam panią. Nie słyszała pani?

Matylda przecząco pokręciła głową. Co za smerdolony dzień, choć to zwyczajny piątek, nawet nie trzynastego, a ona musiała rzucić ciastkiem właśnie w Mizerną. Tylko Obszczymurek nienawidzi mnie bardziej niż ta kobieta, pomyślała zmęczona i zniechęcona.

– Antek zaparkował na chodniku. Chodźmy – poleciła Kaśka.

– Teraz nie mogę. Muszę...

– Mam to w dupie – tamta przerwała jej niegrzecznie. – Pójdzie pani ze mną, choćbym miała panią pozbawić przytomności. Przez panią Antek może zostać w najlepszym razie zdegradowany, a w najgorszym dostać dyscyplinarkę.

– Jak to przeze mnie? – zdziwiła się Matylda.

– Bez żadnych dowodów, na podstawie informacji od pani, które nie mają żadnego uzasadnienia, kazał zatrzymać Dębskiego. Nagiał przepisy, a jakby tego było mało, Obszmurek i Dębski to kumple. Mam mówić dalej?

Matylda zamknęła oczy. Czy ten dzień może być jeszcze gorszy? Musi ratować siebie. Ratować Mareckiego. Rozwikłać węzeł gordyjski,

a nawet dwa.

– Słyszysz mnie pani?

– Tak, słyszę.

– No więc? – ponagliła ją Katarzyna. – Mam błagać? Jeśli to pomoże, to ja mogę, ale jak nie pomoże, to ostrzegam, że dobiore się pani do dupy. Jeśli Antek beknie, to pani też. Zrobię, co trzeba, żeby pozabawić panią licencji i...

– I po co te groźby? – Matylda skrzywiła się z niechęcią.

Nie lubiła nowej partnerki Mareckiego, z wzajemnością, jak widać. Prywatni detektywi wielokrotnie współpracowali z policją i nikt im z tego tytułu afrontów nie czynił.

– Cokolwiek się pani wydaje, że wie, nie zламаłam tajemnicy zawodowej, ale życzę powodzenia w udowodnieniu, że było inaczej.

Gdy te słowa wydostały się z jej ust, Matylda była zdumiona nie mniej niż pani komisarz. Od czasu jąkania się przed niesławną Salomeą Gwint i wymiotowania ze strachu na buty Ksawerego nie minęło wiele dni, ale w tym czasie kilkakrotnie była porywana, grożono jej śmiercią, a nie dalej jak dziś omal nie została pochowana żywcem. Co taka Mizerota mogła jej zrobić? Pogrozić palcem?

– Dam wam wszystko, co mogę, ale nie mam tego wiele. To raczej hipotezy – poinformowała policjantkę.

Gdyby wzrok mógł zabijać, leżałaby trupem, ale nie tacy ją straszili, więc się tym nie przejęła.

– Ale będziecie mieli od czego zacząć – dodała, zorientowawszy się, że nadal są w zaułku, a wokół żywego ducha.

Może komisarz Mizera by jej nie zamordowała, ale poturbować mogła. Wątpiła, by dała radę się obronić przed wyszkoloną policjantką, a do tego pewnie Mizera z przyjemnością zakułaby ją w kajdanki za napaść na funkcjonariusza na służbie. Po służbie pewnie też nie można na nich napadać, ale może chociaż kara byłaby niższa.

– Muszę tylko zadzwonić – powiedziała. – Mąż mnie szuka i nie wie, że się znalazłam, choć nie byłam zaginiona.

– A gdzie właściwie pani się podziewała? – spytała zaciekawiona Katarzyna, gdy Matylda posłusznie dreptała przy jej boku.

– W czyścícu, jak sádzę. Tam nie ma zasięgu.

– OK, nie chce pani mówić, to nie.

– Tam naprawdę nie ma zasięgu. – Wbrew sytuacji poczuła rozbawienie. Kto by pomyślał, że pewnego dnia będą ją śmieszyć takie rzeczy.

Marecki powitał ją z ulgą. Akurat w stosunku do niego miała lekkie wyrzuty sumienia, że musi go okłamywać. Częściowo. Nie zasłużył sobie na to. Powie mu prawdę, dopiero jak wyczerpie wszystkie inne ewentualności.

– Dokąd? – zapytał. – Nie możemy jechać do nas. Lepiej, żeby nikt pani na policji nie widział.

– Do biura – powiedziała, rozsiadając się wygodnie na tylnym siedzeniu. – Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał i podzielę się z wami zdobytymi materiałami.

– Skradzionymi, chciała pani powiedzieć.

– Bynajmniej. Wszystkie informacje otrzymałam dobrowolnie od kilku osób. Czasami wystarczy poprosić, a nie zastraszać – odcięła się.

Marecki spojrział z wyrzutem na Kaškę. Zrozumiał, do czego piła Matylda.

– No co? – Jego partnerka wzruszyła ramionami. – Po dobroci się nie dało.

– Panie komisarzu – Matylda zapięła pas i sięgnęła do torebki po kolejne ciastko, które w całości wcisnęła do ust, przeżuła i połknęła, po czym wyjęła jeszcze butelkę wody, popiła i dopiero kontynuowała: – Pan Staszek powiedział mi, że te dziewczyny faktycznie zaginęły.

– Zgadza się – potwierdził Antoni, włączając syrenę i kolorowe światełka. W tych korkach nie dotrze na miejsce przed końcem służby.

– I zgarnął pan Dębskiego na dołek.

– To też się zgadza.

– To raczej w moim stylu niż pańskim.

– Co takiego?

– Działanie bez zastanowienia. Najpierw strzelam, potem myślę. Dlatego nie starałam się o pozwolenie na broń. W najlepszym wypadku postrzeliłabym siebie, w najgorszym sąsiada.

– Widać mi się udziela – mruknął.

Następna, pomyślał. Sama strzela gafę za gafą, a jak człowiekowi raz się noga powinie, to zaraz kolejny dołek kopie.

– Niech pani powie, co wie – polecił.

Chyba co możesz, uściślił głosik.

Nie klep za dużo, poparł go głos. Chłapiasz zwykle jęzorem bez opamiętania.

– Od czego by tu zacząć... – grała na zwłokę, próbując posegregować na szybko informacje, oddzielić to, co wie, od tego, co jej się wydaje, i to, co może się przydać komisarzowi Mareckiemu, a jej samej nie zaszkodzi.

– Za dużo pani kombinuje – stwierdził, widząc jej twarz we wstecznym lusterku.

Znał już tę minę. Matylda przeprowadzała jakiś skomplikowany proces myślowy, dyskutując ze swoimi wielorakimi osobowościami. Obliczała coś na palcach i bezgłośnie poruszając ustami, porozumiewała się na przemian z niewidzialnymi istotami, które siedziały na jej ramionach. Gdyby to była kreskówka, na jednym ramieniu siedziałby diabełek, na drugim aniołek, a nad jej głową unosiłby się dymiący wulkan, znamionujący wysiłek umysłowy.

– Najlepiej od początku – zażądała Kaśka. – Kim jest pani klient?

– Tego nie mogę powiedzieć. To informacja poufna.

– To niech pani używa pseudonimu, jeśli trzeba, ale Dębski twierdzi, że pani nie zatrudniał. Zrobił to jakiś krewny jednej z jego dziewczyn, zgadza się?

– Tak dokładnie to nie bardzo – odpowiedziała po chwili namysłu.

– Skłamał?

– Właściwie to niekoniecznie.

– Ja pierdolę – zaklęła Kaśka. – Ty coś z tego rozumiesz? – zwróciła się do prowadzącego samochód kolegi.

Antek przebrnął przez tę rozmowę wczorajszego dnia. Był pewien, że w jego ciemnych włosach pojawiło się kilka siwych pasemek, i nie wiązał tego z wiekiem średnim, w który jakiś czas temu wszedł, kończąc czterdzieści lat, lecz ze znajomością z Matyldą. Był więcej niż pewien, że każde spotkanie z detektyw Dominiczak przyprawia go o kolejne siwki na głowie, co i tak jest lepsze niż łysienie.

– Pani Matyldo, może pani wyjaśni koleżance kwestie pani wynajęcia, tak jak mnie wczoraj? – zaproponował. – To rzuci nam trochę światła na sprawę.

Kaśka wyczuła kpinę, Matylda niekoniecznie, bo skinęła głową na zgodę.

– Mój klient to A – zaczęła i urwała.

– OK. Nazwijmy go A – pospieszała ją Mizera. – A wynajął panią, żeby właściwie co?

– Zaczniemy może lepiej od D. Inaczej do niczego nie dojdziemy.

– Dobrze. Niech będzie. D to pani klient. I co z tym?

– Nie, A to mój klient – poprawiła ją Matylda.

– Więc kim jest D?

– Obiektem sprawy.

– Czyli D to Dębski?

– Zgadza się.

– Nie mogła pani użyć nazwiska?!

– Właściwie to mogłam. I tak wiemy już, że chodzi o niego. Niepotrzebnie to komplikuję. Przepraszam.

– Więc A wynajął panią w sprawie D. Co miała pani zrobić?

– D prawdopodobnie jest prześladowany, ale obiektami zastraszania są jego kolejne dziewczyny, a nie on sam. To tak, jakby ktoś kochał się w nim na zabój i nie chciał, by Dębski związał się z kimś innym. Ten ktoś sam się nie ujawnił, tylko odstrasza jego kolejne panienki.

– Ten A chciał chronić swoją krewną?

– Ona nie jest jego krewną.

– To kim jest?

– Jest krewną B.

– A kim jest B?

– B jest klientem A.

– Więc A wynajął panią dla B?

Marecki spojrzał na Kaśkę z podziwem. On tego wczoraj tak szybko nie ogarnął.

– Zgadza się.

– Dlaczego B sam pani nie wynajął?

– Bo C nie lubi B.

– A C to kto?

– To ja.

– No dobra. Dziewczyna jest krewną B, który jest klientem A. A wynajął panią, żeby dla B ustaliła pani, o co chodzi z D. Zgadza się?

– Lepiej bym tego nie ujęła.

– Ale bezpośrednim klientem jest A?

– Tak.

– Więc właściwie nie ma przeszkód, by wyjawiała pani, kim jest B.

Cwana bestia, mruknął z uznaniem głos w głowie Matyldy.

Nie daj jej się! Kłam! – zapiszczał głosik.

– A również jest zobowiązany do zachowania tajemnicy – odpowiedziała po chwili namysłu.

– Ale C wie, kim jest B, więc tajemnica już została ujawniona.

– Nie, bo tajemnica A rozciąga się na zatrudniane przez A osoby, czyli na C, więc C też jest zobowiązana do zachowania wszystkich uzyskanych informacji.

– Aha... Więc A to jakiś prawnik? – spytała.

– Skąd pani wie? To znaczy dlaczego tak pani sądzi? – zdumiała się Matylda.

– To oczywiste. Wynajął panią ktoś zobowiązany do zachowania tajemnicy, czyli adwokat albo inny detektyw. Strzeliłam w to, co bardziej prawdopodobne, i trafiłam, ale to nieważne. Ciekawi mnie jedno. Skoro tak pani przestrzega tajemnicy zawodowej, to po co mówiła pani o D, skoro nie ma żadnych dowodów przeciwko niemu? Równie dobrze może pani naruszyć tajemnicę zawodową do końca. Nikt się nie dowie. Ma pani moje słowo.

Aha, a dopiero co cię straszyla! Nie daj się! Nie daj się! – skandował głosik.

– Bo A puści mnie z torbami, jeśli się wygadam.

Do tego B lepiej nie podpadać. Bankructwo byłoby miłą wizją w porównaniu z tym, co by ze mną zrobił, pomyślała.

– I nie wydaje mi się, bym zdradziła tajemnicę zawodową. Miałam się dowiedzieć, kto jest prześladowcą. Zaginięcia nie są powiązane z prześladowcą, bo moim zdaniem on nie istnieje albo jest to ktoś, kogo Dębski zna i go kryje, gdyż działania tej osoby są mu na rękę. Zaginięcia dziewczyn mogłyby pójść na konto rzekomego stalkera.

– Dlaczego uważa pani, że to on za nimi stoi?

Nie odpowiadaj, błagał ją w myślach Marecki. Żadnych teorii o listopadowych mordercach! Ani o ziewaniu!

– Intuicja – odparła krótko.

– OK. – Katarzyna pokiwała głową. – Rozumiem.

– Naprawdę? – zdziwiła się Matylda.

– Jasne. Intuicja to nic innego, moim zdaniem, jak inteligencja emocjonalna. Dostrzegamy rzeczy, które pozostają poza sferą logiki, ale podświadomość działa i odczytuje emocje. To jak swego rodzaju wewnętrzny radar.

– Naprawdę? – Marecki był równie zaskoczony słowami koleżanki, co Matylda.

– Tak to widzę – odrzekła Kaśka. – Nie masz czasami wrażenia, że ktoś łże ci bezczelnie prosto w oczy, choć nie masz się do czego

doczepić?

– Ej, ja wcale nie kłamię – zaprotestowała Matylda.

– Nie mam pani na myśli. Takich głupot nikt by nie wymyślił, więc mówi pani prawdę, co nie znaczy, że ma pani rację.

– Może i nie, ale jeśli prześladowca istnieje i od lat prześladowa Dębskiego, to dlaczego on nigdy nic z tym nie zrobił? Co więcej, bardzo ładnie żegna swoje dziewczyny, obiecując im, że sam się tym zajmie, jednak nie zgłasza gróźb, tylko puka następnego klona. A ja wiem, kim jest oryginał. To żona jego brata – obwieściła triumfalnie Matylda.

– Stuka panienki wyglądające jak jego bratowa? – Kaśka musiała przyznać, że ta informacja ją zaskoczyła. I nawet lekko rozbawiła. Co w rodzinie, to nie zginie, pomyślała.

– To nie wszystko. Natalia, tak ma na imię jego bratowa, najpierw była jego dziewczyną. Teraz jest żoną jego brata. To byłby dobry powód, by odciąć się od rodziny, ale to oni odcięli się od niego, a nie odwrotnie. Coś jeszcze musiało się wydarzyć, muszę się dowiedzieć co, a zaginione dziewczyny nie są przedmiotem mojej sprawy, tylko waszej, więc nie naruszyłam tajemnicy zawodowej, bo na ich temat nic w umowie nie było.

– Pokrętnie rozumowanie – przyznała Mizera.

Jej ojciec adwokat byłby dumny z takiej klientki jak Matylda. Mieliby sporo wspólnych tematów do obgadania, między innymi jak zrobić z ludzi idiotów i nie dostać w mordę. Oboje wydawali się specjalistami w tej dziedzinie. Jeszcze kilkanaście minut wcześniej była wściekła na Dominiczak, a teraz niemal czuła wdzięczność za każdy strzęp informacji.

– Tylko pozornie.

Matylda nie zamierzała zdradzać, że tak naprawdę chodzi o to, jak wmanewrować Dębskiego, żeby się wzbogacić na jego ziemi, wykorzystać jego zdolności, a potem się go pozbyć. Rozpatrując sprawę z tego punktu widzenia – jeśli uzyskane przez nią informacje doprowadzą Dębskiego do więzienia – działała na szkodę klienta. Oczywiście w umowie nie było ani słowa o potajemnych szachrajstwach Wujka, więc teoretycznie o nich nie wiedziała, praktycznie jednak mogła podejrzewać. Wprawdzie Piasecki coś tam wpisał na temat działania na

szkodę, lecz na jego szkodę nie działała, a jeśli nawet, to powinien był doprecyzować ten punkt. Nikomu w myślach nie czyta.

Wpisał niedbalstwo i zaniedbanie, przypomniał jej głos.

Działam celowo i świadomie, na pewno nie niedbale.

O umyślności też coś było, dopowiedział.

Oj tam, oj tam, jak oko nie widzi, ucho nie słyszy, to żal dupy nie ściska, odparowała.

– Jego ostatnia panienska to Wioletka z butiku? – spytała Mizera.

– Skąd pani wie?

– Tomczak się wygadał.

– No jasne... – westchnęła Matylda.

Przecież ci o tym mówił! – przypomniał jej głosik.

– Spokojnie, nie będziemy jej na razie niepokoić.

– Dziękuję.

– Widzi pani? Jak pani do nas jak do ludzi, to my do pani też.

Matylda spojrzała na nią krzywo, ale nie odpowiedziała. Przecież nadal nic konkretnego im nie dała.

– Dlatego gdyby dała nam pani coś, co pozwoliłoby dojść do Dębskiego jak po nitce do kłębka, moglibyśmy powiązać go z zaginięciami i wszcząć oficjalne śledztwo. Tego Obszmurek nie mógłby zamieść pod dywan. Uratowałyby pani Antka, a jednocześnie nie naruszyła tajemnicy.

Kaśka kusiła jak szatan, machając jej przed nosem jabłkiem w postaci kariery Mareckiego. Nie dodała nic o wygnaniu z rajcu.

Tak się kończą konszachty z diabłem, ostrzegł ją głos.

– Taki mam plan, pani komisarz – odpowiedziała. – Tylko że ja zaczynałam od Dębskiego i nie wiem, jak odwrócić sytuację, żebyście doszli do niego z innej strony.

– Dojdziemy i do tego – zapewniła ją Mizera. – Im więcej nam pani powie, tym łatwiej będzie znaleźć wyjście z sytuacji.

– Kaśka, odpuść – upomniął ją Antek i wyłączył silnik.

Zajęte rozmową nie zauważyły, kiedy dotarli na miejsce. Marecki zaparkował za kamienicą, w której Matylda wynajmowała lokal, na parkingu dla najemców i klientów. Nie był ani jednym, ani drugim, nie był tu nawet służbowo, ale sam sobie mandatu nie będzie pisał.

– Przecież nic takiego nie powiedziałam – obruszyła się jego koleżanka.

– Wiem, że mnie urabia, nie jestem głupia – oświadczyła Matylda. – Ale ma rację.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo – odpowiedziała uprzejmie.

Marecki odniósł wrażenie, że dwie nieprzepadające za sobą kobiety zawarły jakieś przedziwne porozumienie, którego kanwą była niechęć do Artura Dębskiego.

– Ktoś siedział w moim fotelu.

Spojrzała podejrzliwie na siedzących naprzeciw jej biurka policjantów. Ani jedno, ani drugie nie zmieniło wyrazu twarzy. Lustrowała ich jeszcze przez chwilę, po czym odpuściła. Zmiana wysokości fotela pasowała do nich obojga. Tomczak nie dość, że wpuścił ich do biura, to jeszcze udostępnił laptop.

– Już ja sobie z nim pogadam – mruknęła do siebie. Gdy oboje jednocześnie się zawahali, skrzywiła się, ale kontynuowała spokojnie: – Wiem, że grzebaliście mi w kompie, ale nie ma sprawy. Mój własny jest schowany pod kluczem. Ten służy tylko do szusowania po necie i przeglądania zdjęć. Nic tu nie ma, więc możecie się przyznać. A następnym razem zmieńcie wysokość fotela na poprzednią, żebym się nie zorientowała. Więc co już macie?

– Zdjęcia – przyznał się Marecki. – Staszek dał nam tylko te, które mogły nas doprowadzić do dziewczyny i do salonu piękności. Bywała pani w tych miejscach, a szukaliśmy pani, bo sądziliśmy, że pani zaginęła.

– Skąd ten pomysł? – spytała, choć doceniła starania komisarza.

– Dała mi pani namiary na cztery kobiety, które mogły paść ofiarą seryjnego mordercy, a potem zapadła się pod ziemię. Co miałem myśleć?

Mógł tak myśleć, pomyślała Matylda, czując wdzięczność, że ktoś jednak zauważył jej zniknięcie i wszczął raban, bo wnioskuje z odsłuchanej wiadomości, mąż niekoniecznie.

Rycerz na białym koniu nosi flanelową koszulę. Jakie czasy, takie rycerstwo, uznała.

– No dobrze. Pani komisarz podsunęła mi myśl, jak zacząć od dupy strony – powiedziała.

– Co proszę? Że niby pomysł jest gówniany? – Nić porozumienia, dopiero co nawiązana, właśnie mocno się napięła, grożąc pęknięciem.

– Wręcz przeciwnie. Bardzo dobry. Dam wam spis dziewczyn, które padły ofiarą zastraszania i...

– Już to pani zrobiła... – wszedł jej w słowo Marecki.

– Nie, dałam panu tylko te, których nie mogłam namierzyć – przerwała mu. – Kobiet było znacznie więcej. Jeśli nakłonicie je do zgłoszenia sprawy o nękanie, nazwisko Dębskiego pojawi się od razu. Będziecie mogli go przesłuchać.

Chwilę później drukarka wypluła listę z nazwiskami, którą Kaśka skrętnie przejęła. Antoni podpadł, lepiej więc, żeby ona się tym zajęła. Jeśli to Marecki będzie brnął w sprawę, Oszcymurek może nawet nie skierować aktu oskarżenia do sądu, zarzucając mu stronnictwo. Ona też jest stronnictwa w tym przypadku, ale prokurator nie musi tego wiedzieć.

HANNA PAKUŁA, II–IV 2009

JOANNA DOMINIAK, VI–VIII 2009

DOROTA WARTECKA X, IX 2009 – XII 2009

BEATA ŁABADZKA, II–IV 2010

ANNA MAKULSKA, VI–VIII 2010

MAGDALENA PIEPRZYK X, IX–XI 2010

SANDRA DOBRA, I–III 2011

WERONIKA BARANOWSKA, IV–VI 2011

EWA KUBIAK, VI–VIII 2011

DOMINIKA STRÓŻEK X, X–XI 2011

MARIOLA URBANEK, XII 2011 – I 2012

MARTA GAJDA X, II 2012

WIOLETTA KACZMAREK, III–V 2012.

– Krótkie znajomości, trwające nie dłużej niż dwa, trzy miesiące – mówiła Matylda. – To lista kobiet, którym opłacał spa. Sporo w nie inwestował, by wyglądały, jak chciał. Po każdym zerwaniu zaraz pojawiała się następna dziewczyna. Rozmawiałam z nimi, każdą z nich namierzył w centrum handlowym. Część z nich tam pracowała, część robiła zakupy.

– Strefa polowania – rzuciła Kaśka, porównując daty.

– Też tak sędzę – zgodziła się z nią. – Wybierał kobiety, które sylwetką pasowały do jego ideału, a resztę załatwiała wizażystka i fryzjerka. Każda z wybranek padła ofiarą zastraszenia, choć zaginęły tylko te cztery, przy których nazwiskach są krzyżyki. Nie wiedziałam, że zaginęły. Wiedziałam tylko tyle, że numery telefonów, które uzyskałam w spa, są nieaktywne. Pozostałe kobiety wypowiadały się o Dębskim w samych superlatywach, więc nie mówcie o nim jak o podejrzanym.

– To zrozumiałe – przytaknął Marecki.

– Jak wyglądało to nękanie? – spytała z zaciekawieniem Kaśka.

– Głuche telefony, karteczki z groźbami w stylu ZDYCHAJ, SZMATO, ON JEST TYLKO MÓJ albo NIKOMU GO NIE ODDAM, UMRZESZ. Dębski rozstawał się z dziewczynami, rzekomo chcąc je chronić przed szaloną ekskochanką.

– Może mówił prawdę – zasugerował Marecki, choć sądząc po spojrzeniach, którymi obrzuciły go obie kobiety, żadna z nich w to nie wierzyła. Obie uparły się, że to seryjny morderca.

– Obiecywał każdej, że sam się tym zajmie, a rozstanie zapewni im bezpieczeństwo – referowała dalej Matylda. – Twierdził, że ktoś go nęka, nie pozwalając mu wejść w żaden związek. Po rozstaniu nękanie ustawało. Kobiety, z którymi rozmawiałam, nie dostały po rozstaniu ani jednej groźby więcej.

– Te kobiety czekały, aż Dębski się do nich odezwie?

– O to nie pytałam. Tak naiwne chyba nie były.

– Daty zaginięć nie pokrywają się z datami rozstań – zauważyła Mizera.

– Jak bardzo się nie pokrywają? – spytał Marecki.

– Bardzo. Pół roku.

– To za dużo, żeby go jednoznacznie z nimi powiązać. Dlaczego miałyby czekać tyle czasu, by je skrzywdzić?

– Właśnie dlatego – stwierdziła Matylda. – Cztery zaginięcia i ani razu nie padło jego nazwisko, czyż nie? Może chciały do niego wrócić, a on sobie nie życzył, skąd mam wiedzieć? Facet jest sprytny, ale macie więcej możliwości niż ja, by wydobyć z niego prawdę. Poza tym niech pani nie zapomina, pani komisarz, że ja właściwie mam obowiązek powiadomić o przestępstwie lub usiłowaniu jego dokonania jak każdy inny obywatel, a jako detektyw, gdy jest już prowadzona sprawa karna, wręcz muszę powiadomić o swoim udziale, więc kiedy tylko dacie radę to ogarnąć, będę mogła legalnie współpracować. Aktualnie nie posiadam informacji o przestępstwie poza rzekomym stalkingiem, tylko że nękanie jest ścigane na wniosek, a nie z urzędu, więc zasadniczo nic nie muszę – jak sądzę, dodała w myślach – ale kiedy tylko taka sprawa do was trafi, stanie się tocząca sprawą karną i wówczas...

– Jest pani świadoma, że wtedy będzie pani pracować w porozumieniu z nami i skończy się samowolka? – spytał Marecki.

– Ja tylko zbieram informacje – oświadczyła stanowczo. – Nawet nie mam pewności, że doszło do nękania, a tym bardziej do zabójstwa. Nie posiadam bezpośrednich informacji dotyczących zaginięcia tych kobiet ani niczego poza moimi domysłami. Równie dobrze mogłabym wpaść do Archiwum X, wskazując swoje typy zabójców w oparciu o horoskop.

– Pani domysły na ogół są słuszne, bez względu na poziom ich absurdu – mruknęła pod nosem Kaśka, tak że usłyszał ją tylko Antek.

Jeśli Matylda też usłyszała, nie dała nic po sobie poznać.

– Dlatego nie widzieliśmy się – powiedziała stanowczo, wstając i dając tym samym do zrozumienia policjantom, że na nich już pora.

Mizera nie kryła zaskoczenia postawą Matyldy. Kobieta zmienną jest, jak mawiał poeta, ale Dominiczak kręciła się jak ruletka i nie wiadomo

było, czy będzie czarne, czy czerwone. Włosy jasnej peruki opadały jej częściowo na prawą stronę twarzy, z lewej wystawał czarny odrost, do piersi przyciskała wielką workowatą torbę. Katarzynie przypomniła się bajka, czytana jej w dzieciństwie przez babcię, o czarodziejskim worku, z którego czarnoksiężnik wyciągał dokładnie to, czego w danym momencie potrzebował. Miała własny i usiłowała wyjąć z niego kucyka z różową kokardą, ale nie działało. Tytułu bajki nie pamiętała, przysięgłaby jednak, że worek na rysunku wyglądał dokładnie tak samo.

– Co pani ma w tej torebce? Czyjaś głowę? – zakpiła.

– Ciastka. Jestem głodna. Mogę pomóc w czymś jeszcze, nie narażając się na utratę pracy, licencji, wolności i życia osobistego? – odparowała cierpko.

Jakbyś jakieś miała, zachichotał głosik.

– Dziękuję. Będziemy w kontakcie – rzucił zdawkowo Marecki. – Spadamy, Kaśka, mamy robotę.

– Chwila, chwila, nie tak szybko – powstrzymała go koleżanka. – Pani Matyldo, czy wie pani jeszcze coś, co mogłoby nam się przydać? Nieoficjalnie. Tylko dla naszej wiedzy?

Oczywiście, że tak. Sporo rzeczy, zakpił głosik.

– Na chwilę obecną nic, czym można by powiązać Dębskiego bezpośrednio z zaginięciami, ale jak czegoś się dowiem, dam wam znać. Nieoficjalnie – obiecała.

A ta rozmowa niby jest oficjalna? Ta Mizera coś kręci, ostrzegał głos.

– Wybieram się do Gdańska, bo facet stamtąd pochodzi, zamierzam dowiedzieć się czegoś więcej, już to mówiłam. Czy nie mówiłam? Jak nie mówiłam, to właśnie mówię. A teraz pozwolicie, że zadzwonię do męża i poinformuję go, że wcale nie zaginęłam, bo nadal tego nie zrobiłam.

– Jesteśmy już po służbie. Cud, że nikt nas nie ściga za auto. Spadamy – ponaglił Kaśkę Marecki. – Dziękuję, pani Matyldo.

– Niby za co? To ona wsadziła cię na minę, a więc wypadaloby, żeby cię z niej zdjęła.

– Sam na nią wlażem, a ty się zdecyduj, bo powiewasz jak chorągiewka na wietrze – zirytował się. – Raz się do niej łasisz, raz obrazasz.

– Bo nie mogę się zdecydować – syknęła rozeźlona, że zwrócił jej uwagę w obecności detektyw Dominiczak. – Sprawą zajmiemy się w poniedziałek. Mamy dwa dni wolnego – powiedziała głośno na użytek przysłuchującej się Matyldy, próbując dać jej w ten sposób do zrozumienia, że czeka na dodatkowe informacje w weekend.

– Ty masz. Ja zamierzam poświęcić dwa dni na przekonanie którejś z tych kobiet do zgłoszenia się do nas. I musimy wymyślić, skąd mamy ich nazwiska, bo przecież nie od Matyldy.

– Możemy wysłać je sobie pocztą – zaproponowała Kaśka. – Albo teoretycznie dostać od jednego z informatorów, co ty na to?

– Odpada, trzeba byłoby sporządzić protokół. Poza tym bez zgłoszenia tych kobiet albo Dębskiego sama lista nam nic nie da. Musimy je przekonać do samodzielnego zgłoszenia przestępstwa. Inaczej się nie da – stwierdził autorytarnie Marecki.

Coś jeszcze tłumaczył, ale Matylda nie dosłyszała, bo w końcu raczyli łaskawie wyjść. Sprawdziła, czy szafka z dokumentami jest nienaruszona, i z ulgą wrzuciła tam ciężącą jej w torebce kopertę z pieniędzmi otrzymanymi od Mrówki. Nie może ich zaksięgować, bo niby jak? Użyje ich na pokrycie kosztów gotówkowych albo zwykłe zakupy w markecie. Z tego nikt jej nie rozliczy, a jej dziecko będzie miało co jeść.

– Dobra, Roman, nie zapomnij o Romanie – powiedziała do siebie, wybierając numer Tomczaka.

*

– Znam tylko jedną kobietę bardziej wyszczekaną od ciebie – powiedział gderliwie do siedzącej tuż obok dziewczynki.

– Za to ja nie znam nikogo, kto marudziłby więcej niż pan – odgryzła się tuląca rudego kota Monika.

Miała dokładnie ten sam butny wyraz twarzy, co jej matka, była tak samo pyskata, uparta i nieustępliwa. Nie dość, że zmusiła go do

wczołgania się pod łóżko, żeby złapał jej kota, to jeszcze jebany sierściuch go podrapał.

– Ojciec powinien przełożyć cię przez kolano i wrzepić kilka pasów.

– Bicie dzieci jest karalne, nie słyszał pan? Poza tym przemoc to wyraz bezsilności. Gdy braknie argumentów, ludzie uciekają się do użycia siły, jakby to mogło rozwiązać problem.

– Niektóre dawało się tak rozwiązać – wymamrotał z lekka zawstydzony.

Ale co taka gówniara może wiedzieć o życiu? Nawet kota sama nie potrafi złapać, a co dopiero opierającego się przed aresztowaniem przestępcę! Niepomny, że dwunastolatka raczej nie gania za przestępcami, a zasadniczo nawet nie powinna, zżymał się w duchu na nowoczesne wychowanie dzieci. Za dużo im wolno, ot co. Gdyby on tak pyskował ojcu, przez tydzień nie usiadłby na taborecie.

– Dzwoni twoja matka. Już ja jej wszystko powiem – zagroził, odbierając połączenie. – Witam, pani Matyldo. Melduję, że wiozę ten diabelski pomiot do babci i zaraz parkuję.

– Rozmawia pan podczas jazdy?! – zganiała go Matylda.

– E, no co pani... Sama pani zadzwoniła, to jak miałem nie odebrać? Skąd pani wie, że nie korzystam z tego zestawu, co mi pani kazała? – spłoszył się.

– Bo słyszę. Panie Staszku, jak pan odwiezie Monikę, to proszę do mnie zadzwonić. Coś jeszcze pan dla mnie zrobi – poleciała.

– Oczywiście, pani Matyldo. Pani wie, że ja dla pani...

– Tylko proszę nie objadać mojej matki! – dodała.

– No gdzież bym śmiał! Co pani opowiada! – oburzył się.

– Wspomniał pan może Romanowi, że już się znalazłam?

– Komu?

– Mojemu mężowi!

– A, jemu... – załapał w końcu Tomczak, udając, że nie widzi ironicznego uśmiešku na twarzy dziewczynki. – Jakoś nie pomyślałem, żeby mu powiedzieć.

– Trudno, sama zadzwonię. – Matylda westchnęła.

– No i dobrze, ja tam się nie nadaję do rozwiązywania małżeńskich sporów – burknął, gdy Matylda się rozłączyła.

– Pan wie, że moi rodzice się rozwodzą? – spytała zaintrygowana rozmową Monika.

– Nie, nie wiem, a ty skąd wiesz?

– Mama mi powiedziała.

– A ojciec wie?

– Powinien, choć nie jestem pewna, czy pamięta. Co to znaczy, że mama się znalazła? – dociekała.

Spojrzał na nią krzywo i powiedział oschle:

– Jak będziesz podsłuchiwać, to będziesz mieć uszy jak słoń.

– Jasne, bo mam trzy latka, żeby w to uwierzyć. To powie mi pan czy nie?

– Pani Matylda miała przez kilka godzin wyłączony telefon i afera się zrobiła, że niby zaginęła, ale już się znalazła, i pierwsze, co zrobiła, to zjechała mnie za długi język – wyjaśnił.

– Przeklina pan – zwróciła mu uwagę Monika.

Jasnowłosa dziewczynka z tymi dużymi niebieskimi oczami wyglądała jak aniołek, szkoda, że zamiast skrzydełek i aureolki miała widły i ostry język.

– Przepraszam, więcej nie będę – burknął zirytowany.

Jebać to! – pomyślał. Nie jestem pierdoloną niańką! Nawet własnymi wnukami się nie zajmuję, a muszę niańczyć cudzego dzieciaka! Rzucam tę robotę! Na to się nie pisałem, kurwa jego mać!

Kilkanaście minut później z rozanielonym uśmiechem i okruchami na wąsach pożerał jeszcze ciepłe ciasto drożdżowe z truskawkami.

– Zapakować panu do domu, panie Staszku? – zaproponowała Maria Ćwiczek, matka Matyldy i babcia diabelskiego pomiotu.

– Gdyby była pani tak miła, to całowałbym po rączkach – zapewnił uroczyście komisarz Tomczak. – Jest przepyszne. Jak pani pozwoli, to ja

się przy najbliższej okazji jakąś rybką zrewanżuję. Gdy tylko pani Matylda mnie złuzuje, to złapię jakiegoś szczupaczka.

– Nie ma potrzeby. – Machnęła ręką, wyciągając z szafki plastikowy pojemnik i folię aluminiową. – To podziękowanie za naszą Monię, że pan tak pomaga.

– To sama przyjemność – zapewnił ją uroczyście. – Monika to urocza dziewczynka, zupełnie jak jej matka i babcia, rzecz jasna.

– Co pan opowiada! – Maria roześmiała się, odkrawając spory kawał ciasta z blachy.

Tomczak patrzył łakomie, jak wkłada mu go do pojemnika i pakuje całość w folię.

– Samą prawdę mówię, pani Jadwigo, samą prawdę. To bardzo rezolutna dziewczynka, nie tak jak te gówniary, co włóczą się po centrach handlowych – perorował.

– A pierożka na kolację by pan nie chciał?

– A co miałbym nie chcieć? A z czym, jeśli można zapytać?

– Z kapustą i grzybkami.

– O, to ja bardzo chętnie. Jak mają się zmarnować, to wie pani, ja chętnie. – Łakomstwo sprawiło, że plątał mu się język. – I jakby co, to ja małą panienkę do szkoły mogę wozić, żeby tylko grafik przypasował. Od pani ma dalej, a pani Matylda zajęta, więc ja bym mógł nawet wcześniej podjechać – przypochlebiał się, mając przed oczami wizję jajeczniczki na masełku, ze świeżym szczypioreczkiem. Przecież jakby tak wcześniej przyjechał, to o suchym pysku przy stole nie będzie siedział, co nie? Na pewno go czymś poczęstują.

– Nie ma potrzeby, panie Staszku. Mąż się tym zajmie, a poza tym już koniec roku szkolnego. Ale niech mi pan powie, tak między nami. Ten rozwód to już postanowiony?

Usiadła naprzeciwko i spojrzała na niego oczami Matyldy.

Kobiety w tej rodzinie były do siebie tak podobne, że aż strach.

– No... – zawahał się. – Tak dokładnie to ja nie wiem. Pani Matylda takich rzeczy mi nie opowiada, ale rozwód to nie taka straszna rzecz, pani Jadwigo. Sam mam jeden za sobą, więc wiem, co mówię.

– Panie Staszku, ja tam trzymam kciuki za ten rozwód jak za kupon lotka – zapewniła go solennie. – Roman to dobry chłop, ale nie dla mojej Matyldy. To babka z ikrą, ma to po mnie. A on to taki... Informatyk.

– Co racja, to racja – przytaknął. – A ta kruszonka, co opadła z placka, to ja bym ją może... – Nie dokończył, gdy zadzwonił telefon. – O kurwa! Miałem dzwonić do szefowej i zapomniałem! Ale mnie zjebie! Przepraszam, pani Jadwigo, muszę lecieć, nie godzi się słuchać, jak będzie mnie objeżdżać jak łysą kobyłę. I przepraszam za język. – Złapał pudełko z ciastem, strzelił obcasami jak na defiladzie i przebiegł truchcikiem obok Moniki, która przyglądała mu się z nieodgadnioną miną.

– Babciu, kiedy mu powiesz, że jesteś Maria, a nie Jadwiga? – spytała wnuczka.

– Mówiłam tyle razy, że już mi się nie chce tego powtarzać. Nie wiem, jak Matylda z nim wytrzymuje – westchnęła. – Chyba z litości go trzyma.

– Mama mówi, że w menela to nikt nie potrafi tak się wcielić jak komisarz Tomczak.

– Co racja, to racja – przyznała Maria. – Ale powiedz mi, Moniczko, pamiętałaś o tej kamerce, co cię prosiłam, żebyś przywiozła?

– Tak, babciu. Mam w plecaku. Kogo będziemy podglądać? – zapytała rozpromieniona dziewczynka.

– Żadne podglądać. Takie rzeczy to robi twoja matka i jej jeszcze za to płacą. My użyjemy kamery w zbożnym celu.

– A co to za cel?

– Ta nowa sąsiadka, co się wprowadziła po lewej, ma tak ukwiecony balkon, że pewnie dostanie pierwszą nagrodę, a za nic nie chce powiedzieć, czym podlewa! Musimy to wyczaić! Czy to nawóz kupny, czy własnoręcznie robiony! Bez walki się nie poddam!

– Pani Matyldo! Pani wie, że pani matce to się nie odmawia! – usprawiedliwiał się Tomczak. – Jak mnie napadła w wejściu, to ja nie wiedziałem, czy po schodach zbiegać, czy przez poręcz skakać! Ja jestem za stary na takie akcje! Pani wie, że ja przed byle kim portkami nie trzęsę! Sama pani wie, że jak ja myślał, że coś pani grozi, to żem

napadł tego osiłka, co mnie potem w bagażniczku przewiózł, ale ja, niepomny na grożące mi niebezpieczeństwo, w ogień bym poszedł, ale przed mamusią to trzeba od razu kapitulować. Od razu! Sama pani wie, bo to w końcu pani matka, a nie moja! Powinna pani wiedzieć lepiej! I jeszcze te pytania! Ja nie wiedziałem, gdzie mam oczy podziąć!

– Jakie pytania? – zdziwiła się Matylda, którą przemowa Tomczaka wytrąciła z równowagi. Na tyle jednak знаła własną matkę, by wiedzieć, że komisarz nie ściemnia. Jak mama złapie kogoś w szpony, to nie puści.

– Jakie pytania, pyta pani... – Stracił na moment rezon. – No o rozwód się pytała!

– Czyj?

– No jak czyj! Przecież nie mój! Pani się rozwodzi podobno, ale co ja miałem rzec, jak ja nic nie wiem? Zawsze o wszystkim dowiaduję się ostatni!

– Przecież mama świetnie wie o rozwodzie, bo nie raz mnie do niego namawiała, dlaczego więc maglowała pana?

Tomczak coś kręci, uznała. Pewnie sam się wepchnął, wyżarł, co było w lodówce, wylizał garnki na kuchence i jeszcze coś na drogę wyłudził.

– To rzeczywiście dziwne – przyznał. – A może... Bo wie pani... Pani Jadwisia to fest babeczka jest i takie pyszne ciasto zrobiła i kawusię, a potem ten rozwód... Może ona takie podchody robiła, żeby sprawdzić, czy ja jestem wolny?

– Tak, to na pewno o to chodziło. Mama się w panu potajemnie kocha – zakpiła Matylda. – Niech pan się lepiej skupi, bo nie będę dwa razy powtarzać. Dębski idzie na bankiet z Wioletką. Poza obserwacją coś pan dla mnie zrobi!

– Dla pani wszystko! – zapewnił zadowolony, że wybrnął z kabały.

– Tylko niech pan znowu nie da się złapać – ostrzegła, nim wyłuszczyła mu swój plan.

Tomczak kiwał głową, słuchając poleceń.

– Podrzuci pan wydrukowane groźby za wycieraczkę, ale najpierw musi się pan upewnić, że nie złapie pana kamera, rozumie pan? A jak się nie da, to nie wiem, niech pan się przebierze i udaje pijanego, że niby

pan się zatoczył, jasne? A potem usiądzie pan w samochodzie i będzie czekał, aż tamci wyjdą, i zamiast zdjęcia nagra mi pan Dębskiego. Muszę widzieć jego twarz, gdy znajdą te groźby, jasne? Jego reakcja powie nam wszystko!

– Wszystko jasne. Groźby. Nagranie. Kamery. Uważać. Nie dać się złapać – wyrecytował posłusznie niekoniecznie we właściwej kolejności.

– Bardzo dobrze – pochwaliła go.

– Skąd mam wziąć groźby? Pani wie, że ja ze sprzętem to nie bardzo...
– zafrasował się.

– Już są gotowe. Znajdzie je pan na biurku. Proszę użyć rękawiczek i nie zostawiać odcisków palców, jasne?

– Niejasne.

– Co jest niejasne?

– Dlaczego mam nie zostawiać odcisków. Mam popełnić przestępstwo?
– spytał zbulwersowany.

– Oczywiście, że nie. To coś w rodzaju prowokacji, tylko po co kusić los i się podkładać? Da pan radę czy nie?

Jeśli odmówi, sama to zrobię, zdecydowała.

Może nawet powinnaś, zasugerował głosik.

Jak można coś spaprać, to Tomczak to spaprze, poparł głos.

I to na więcej sposobów niż jeden, dodał głosik.

– Niech będzie. A te groźby to karalne?

– Właściwie to nie. – Spojrzała na leżący w obwolucie wydruk.

ON JEST TYLKO MÓJ.

Trudno by było uznać te słowa za groźbę.

– To raczej deklaracja uczucia – stwierdziła.

– Niech będzie – zgodził się. – Skoro tak, pójdę jak w dym. Będę jak nińdza i Jackie Chin w jednym.

To nas uspokoił, zadrwił głosik.

Zignorowała wyjąca w głowie syrenę alarmową. Sprawę Dębskiego musi ogarnąć w weekend, by móc od poniedziałku zająć się Mrówką. Wujkowi da materiał na Dębskiego, żeby jej zapłacili pozostałe wynagrodzenie, i niech Szumski sam się martwi, żeby psychol nie zaciukał Wioletki, nim Marecki go zamknie i wyrzuci klucz, a ona będzie miała czas na zajęcie się półświatkiem.

Będę jak Wonder Woman w *My Little Pony*. Pokoloruję świat.

– Dziękuję panu. Proszę dać znać, jak zakończy pan misję...

– Tak jest. – Tomczak się rozłączył.

W głowie mu wrzało od natłoku myśli. Spojrzał na zapakowany w plastikowy pojemnik placek, owinięty w folię aluminiową, by zachował jak najdłużej miłe ciepło. Hmm, pomyślał. Właściwie dlaczego by nie? Przecie nic mi nie brakuje, uznał. Taki mały flircik to nic złego, co nie? On mrugnie oczkiem, ona da mu kawałek placuszka, ojcu Matyldy żony przecie nie ubędzie, a on nie będzie do niczego zobowiązany.

Ty masz łeb, Staszek, pochwalił sam siebie, wyciągając ze schowka nienapoczęte jeszcze opakowanie krówek. Nic nie możesz stracić, a za to ile zyskać!

*

Ulga, którą poczuł Ksawery, widząc na wyświetlaczu imię Matyldy, omal nie zwała go z nóg. Nic dziwnego, że powitał ją gorąco.

– Zamorduję cię, jak tylko cię dorwę! – ryknął do telefonu zamiast: „Witaj. Miło cię słyszeć. Cieszę się, że nic ci nie jest”.

– Za co? – zdziwiła się Matylda.

– Za nieodbieranie telefonu!!!

– Byłam poza zasięgiem.

– To się oddzwania!!!

– Właśnie to robię – odparła zaskoczona jego wybuchem.

Czyżby wiedział coś, o czym ona nie wie? A może wiedział więcej niż powinien, bo Miecio się wygadał i leży w jakimś dole, a Wujek właśnie puścił za nią psy gończe?

– Gdzie byłaś?! – zażądał odpowiedzi.

– Pracowałam.

– Gdzie?

– W zaświatach.

– Jaja sobie robisz?!

– Ogarnij się, człowieku – upomniała go.

Tego dnia nie miała cierpliwości do kolejnych wymówek.

– Proszę? – zdumiał się.

Matylda była coraz bardziej bezczelna. Jak tak dalej pójdzie, zamieni się w niesławną Salomeę Gwint, zacznie kłąć jak szewc, chłać wódę z gwinta i sypiać z kim popadnie.

– Już lepiej – pochwaliła go. – Wioletka idzie na bankiet z Dębskim.

– Wiem, dzwoniła do Wujka. Robię za ochronę.

– To znajdź zastępstwo. Najlepiej niezbyt ogarnięte, żeby nie zwinęli mi pana Staszka. Planuję prowokację.

– Będzie ciężko. Nie narażę siostrzenicy Wujka. Jeśli coś jej się stanie, nie ochronię cię. Co ja mówię, nie ochronię nawet siebie – stwierdził z goryczą.

– Nie mówię, żeby ją narażać, tylko w odpowiedniej chwili odwrócić wzrok. Potem niech jej pilnują. Tomczak zostawi groźby na szybie auta. Chcę zobaczyć, jak Dębski zareaguje. Trochę się zdziwi, jeśli do tej pory to on sam je podrzucał.

– To na pewno, ale nie wiem, czy to dobry pomysł. Z tego, co wiem, Dębski cię zwolnił.

– Jakby mógł – prychnęła wzgardliwie.

– Wujek chce cię zobaczyć.

– Ups... – mruknęła. – Chodzi o dzisiejszy incydent Dębskiego z policją?

– Dokładnie. Nie jest zachwycony. – Ksawery przeszedł do chłodni i ściszym głosem dodał: – Wymyśl coś dobrego, zanim tu dotrzesz. Zapewniłem go, że nie miałaś z tym nic wspólnego.

– Mam kłamać? – spytała z głupia frant, bo oczywiste było, że nie przyzna się gangsterowi do współpracy z policją.

– Naprawdę o to pytasz? Oczywiście, że masz kłamać. Zwał to na kogoś innego, choćby na Tomczaka.

– Oszalałeś? Żeby Wujek go zniknął?

– Wujek nie tyka gliniarzy, nawet tych byłych. Wścieknie się i każe to jakoś odkręcić i tyle!

– Nie da się.

– Jak się nie da? Musi się dać!

– Przemyśle to – odpowiedziała buntowniczo, bo nie tylko nie zamierzała niczego odkręcać, ale zamierzała zrobić znacznie więcej. Dokręcić śrubę, komu się da.

– Ty nie masz myśleć, masz tu przyjechać!

– Straszny z ciebie buc – powiedziała z niechęcią. – I pomyśleć, że miałam o tobie sny erotyczne. Moja podświadomość jest spaczona. Jadę do tej waszej trupiarni!

– Co miałaś? – spytał oszołomiony, jednak w telefonie panowała głucha cisza.

Jego rozmówczyni rozłączyła się, jak ostatnimi czasy miała w zwyczaju. I pomyśleć, że gdy ją poznał, była nieopierzoną, świeżo upieczoną panią detektyw, bujającą w obłokach i wygłaszającą peany o moralności. Salomea wynajęła go do chronienia Matyldy, ale tak naprawdę to świat potrzebował ochrony przed nią. Była jak Jaś Fasola, upuszczający zapalną lont poprowadzony do arsenału i odjeżdżający z zadowolonym uśmiechem za horyzont, podczas gdy w tyle za nim płonął już cały świat.

*

Inspektor Grabik prywatnie był kiedyś ojczymem Mareckiego, co nie uchroniło teraz Antka przed ostrym językiem naczelnika.

– Co ty odpierdalasz, Antoni! Pojebało cię?! Chcesz srać pod siebie, to sraj, ale ty nafajdałeś na mój stołek!

Żwawy łysolek w za dużych okularach dobiegał sześćdziesiątki, pomimo to podskakiwał za swoim biurkiem, jakby mu ubyło ze dwadzieścia lat lub więcej.

– Ty wiesz, ilu czyha na mój stołek?! Wiesz?! Oczywiście, że nie wiesz, bo masz to w dupie! A ty, Mizera, czego nic nie mówisz?!

– Bo pan naczelnik o nic nie pyta – odpowiedziała niepewnie, zerkając na partnera.

Grabik nie faworyzował Mareckiego mimo jakichś powiązań rodzinnych, objeżdżał go tak samo jak każdego innego funkcjonariusza, ale czego teraz chciał od niej? Żeby kryła partnera? Czy żeby na niego doniosła?

– Patrzcie ją, jaka mądrała! Mieliście być moimi gwiazdami! Dostawaliście najtrudniejsze sprawy! Zaufałem wam!!!

Zdecydowanie nie oczekiwał donosu, zatem właściwie czego? Ten opierdol był jakiś taki mętny i nie trzymał się kupy.

– I nie macie mi nic do powiedzenia?!

– Dziękuję?

– Kurwa! Mizera! Ty mi tu takimi tekstami nie rzucaj! – ryknął naczelnik, waląc wściekle pięścią w stół.

– Przepraszam?

– A ty, Marecki, doigrałeś się! Już ja cię przeciągnę pod kilem! – wrzeszczał jak opętany, aż drobinki śliny rozpryskiwały się dookoła. – Siadać mi tu i mówić jak na spowiedzi, bo konsekwencje i tak was nie ominą!!!

Zasapany opadł na krzesło i otarł pot z czoła.

– Kurwa, za stary jestem na ogarnianie tego pierdolnika.

– Panie naczelniku, komisarz Mizera nie miała pojęcia o moich poczynaniach... – zaczął Marecki.

– Nie pierdol. Nie zawsze pracowałem za biurkiem. Oczywiście, że wiedziała i jeszcze kryła ci dupę, a jakby tego było mało, zamiast się pokajać, pojechaliście w miasto dalej mącić. Dobrze wiem, jak działacie. Jebany Obszczymurek może pocałować się w dupę, a i mnie przy okazji

też może cmoknąć – mówił już spokojnie Grabik, jakby przed chwilą nie zrównał ich godności osobistej z piwniczną posadzką. – O co chodzi z tym Dębskim?

– Podejrzewamy, że ma coś wspólnego z zaginięciem czterech kobiet.

– Co na niego macie?

– Nic – odpowiedziała zgodnie z prawdą Katarzyna.

– Co możecie na niego mieć?

– Jeśli zastraszone kobiety się zgłoszą, uda nam się go powiązać z zaginięciami i przesłuchać. Na początek jako świadka, ale od czegoś trzeba zacząć, a Obszmurek nie będzie mógł się do niczego przyczepić. To formalista – mówiła.

– Gdybyście ogarnęli to, jak trzeba, nie byłoby afery. Na ile jesteście pewni, że gość ma coś za uszami?

– Pół na pół – odpowiedział Marecki.

– Dlaczego nie było oficjalnego zgłoszenia?

– Bo dostałem anonimowy cynk.

– Od kogo?

– Od anonima.

– Nie wkurwiał mnie, Antek – sapnął Grabik.

– Nie zamierzałem, ale nie mogę powiedzieć. Dlatego nie było oficjalnego zgłoszenia, a ja nawaliłem. Naprawię to.

– Ty nic nie naprawisz, tylko pójdiesz na bezpłatny urlop. Musisz zniknąć na jakiś czas sprzed oczu tego gryzipiórka – oznajmił naczelnik, spoglądając znacząco na Mizerę. – Pani komisarz poprowadzi sprawę, jak tylko uda się ją oficjalnie zarejestrować. Rozumiemy się?

– Tak jest, panie naczelniku – odpowiedziała służbiście.

Podejrzewała, że odsuną Mareckiego od śledztwa, ale nie spodziewała się, że ona dostanie zielone światło od naczelnika. Czyżby ta awantura była pod publiczność?

– Łukasz...

– Żaden Łukasz. Dla ciebie naczelnik Grabik – przerwał ze złością Mareckiemu. – Wierzę wam, jak mówicie, że gość jest ten teges nie halo, ale bez dowodów to możecie mu co najwyżej kołysankę pod oknem zagwizdać, jasne?

– Tak jest.

– Ty mi tu nie przytakuj, bo dobrze wiem, że ten urlop cię nie powstrzyma, ale nie chcę cię widzieć w pracy przez dwa tygodnie. A jak w sprawie przewinie się twoje nazwisko, osobiście cię udupię, jasne? Mizera, dasz radę na poniedziałek znaleźć poszkodowaną...

Skinęła tylko głową, lecz nie zdążyła potwierdzić, gdy naczelnik dokończył pytanie:

– ...która zezna przeciw Dębskiemu?

Marecki i Kaśka wymienili spojrzenia.

– O co chodzi? Nie macie namiarów na poszkodowane?

– Mamy, ale nie tylko kobiety są ofiarami. Dębski również. Teoretycznie – odpowiedziała Mizera.

– No kurwa, jakim cudem? – jęknął Grabik i wbił wzrok w sufit, jakby właśnie z tej strony miał nadejść jakiś cud.

Znając swoje szczęście, spadłby mu na głowę wraz z sufitem.

– Groźby, które otrzymywały kobiety, były sformułowane w taki sposób, że dokładnie nie wiadomo, kto jest pokrzywdzony. ON JEST TYLKO MÓJ tak na przykład – powiedział Marecki.

– Kurwa! – zaklął ponownie naczelnik. – To kto kogo straszy?!

– Teorie są dwie. Albo naprawdę jest jakiś prześladowca, albo... – Komisarz Mizera urwała.

– Albo co? – ponaglił ją.

– Albo go nie ma i to Dębski nim jest – dokończyła niepewnie.

– Tak czy siak, panie naczelniku, żadna z tych kobiet nie postrzega go jako prześladowcy. Są przekonane, że to on jest ofiarą – wyjaśnił Marecki.

– Stalking i groźby karalne nie są ścigane z urzędu, więc Dębski nie musiał niczego zgłaszać – uściśliła Kaśka, jakby szef tego nie wiedział.

– To jaki macie plan? Bo jakiś macie? – spytał Grabik, wycierając okulary.

– Jak mówiłam, musimy nakłonić którąś z kobiet do zgłoszenia, by móc ruszyć z miejsca. Dębski może wówczas wystąpić w charakterze pokrzywdzonego albo świadka, jednak najważniejsze, że będzie można go przesłuchać, przycisnąć i podejrzewać. Oficjalnie – powiedziała Mizera. – Wiem, panie naczelniku, że to grubymi nićmi szyte, ale jeśli mamy choć cień podejrzenia, że Dębski zabił te kobiety, musimy to sprawdzić.

– Musimy go tylko powiązać z zaginionymi – dopowiedział Marecki.

– Jak to zrobicie? Przecież nie będą zeznawać.

– Coś wymyślimy – zapewniła go Kaśka.

– Właściwie to ja wiem jak. Anonim dostał te nazwiska z salonu piękności, z którego korzystały wszystkie dziewczyny Dębskiego. Na jego rachunek. On płacił, ale klientki były zapisywane na wizyty z imienia i nazwiska.

– Oficjalnie tego nie wiemy? – upewniał się Grabik.

– Nie, jednak na pewno powie nam o tym któraś z kochanek Dębskiego.

– Masło maślane – uznał naczelnik. – Mam w dupie, jak to zrobicie, sprawa ma wyglądać tak, że mucha nie siada, jasne? A to znaczy, że żadna z tych kobiet nie może zeznać, że któreś z was namówiło ją do składania zeznań, jasne? – I nim którekolwiek zdążyło potwierdzić, ryknął ile sił w płucach: – Marecki! Wypierdaliasz na urlop i żebym cię tu nie widział w tym czasie! A ty, Mizera, mam cię na oku! I won mi stąd! Oboje!

*

Matylda po raz pierwszy przyjechała sama do Domu Pogrzebowego Ostatnia Droga, a nie w trumnie, przewożona przez Miecia jak bagaż na pace. Musiała przyznać, że Szumski się postarał. Pięknie odrestaurowany budynek nie wyglądał jak przedsionek piekła, wręcz przeciwnie, robił wrażenie dostojnego miejsca spoczynku. Do tej pory oglądała go tylko z wewnątrz.

Cmentarz to miejsce spoczynku. To jest przechowalnia, uściślił głos.

Może faktycznie Wujek umiera? – pomyślała, ignorując głos. Dom pogrzebowy był nie tyle jaką inwestycją. Ludzie umierali i umierać będą. Nie słyszała jeszcze, by któryś zbankrutował. W razie potrzeby Szumski gotów sam zadbać o klientelę, pomyślała w przypływie wisielczego humoru, który tego dnia ratował ją przed histerią. Nie była pewna, jak długo utrzyma się w tym stanie, musiała więc być na tyle zajęta, by nie dać się ponieść emocjom.

Ostatnio zwiedziła chłodnię, magazyn trumien i miejsce, w którym szykowali zwłoki do pochówku. Nawet zmusili ją do zrobienia makijażu jakiejś biednej staruszce, bo firmowa makijażystka gdzieś im się zawieruszyła.

– Wreszcie – odetchnął Ksawery, widząc, że Matyllda jest cała, zdrowa i, nie licząc przekrzywionej peruki, nienaruszona. – Popraw włosy – polecił, nie dając jej szans na reakcję na jego własną reakcję. Był podenerwowany po rozmowie z Wujkiem. Staremu puszczały nerwy, co nie było niczym niezwykłym w tych okolicznościach. Niemniej Matyldzie mogło dostać się rykoszetem i nie pomoże jej to, że Szumski ją lubił. Ksawery będzie musiał ją ratować, podpadając staremu gangsterowi.

– Muszę zgolić tę fryzurę dla Dębskiego – westchnęła. – Odrosty będą wyglądały koszmarnie. Łysinę zakryję peruką albo chustką, ale przynajmniej nie będę kisila skóry głowy.

– Matyllda, to nie jest twój największy problem – powiedział z naciskiem.

Chciał dodać coś jeszcze, ale do poczekalni dla klientów wparował Miecio. Stał jak wryty, zamrugał do Matyldy jednym okiem, z paniką w oczach spojrzał na Groma i ni z tego, ni z owego ogłosił:

– Jestem kabłąk.

I wyszedł.

– Super – mruknęła.

Mam szczęście, że to idiota z parafazją, pomyślała. Pod wpływem stresu zaburzenie najwyraźniej się nasila, uniemożliwiając mu wyjawienie prawdy. Oby to szczęście nadal mi dopisywało.

– Dziwnie się dziś zachowuje – poinformował ją Ksawery.

– Bardziej niż zwykle? – spytała z powątpiewaniem. – Kilka dni temu spalił lokówką włosy martwej kobiecie.

– OK, przekonałaś mnie – mruknął, przyglądając jej się uważnie.

Wyglądała na zmęczoną, znękaną i do tego miała lekką chrypkę.

– Łapie cię grypa? W czerwcu?

– Grypa jest całoroczna, więc możliwe, ale obstawiałabym raczej, że to skutek śpiewu.

– Śpiewasz?

– Już nie – ucięła krótko. – Mam kiepski głos.

Zdjęła blond perukę, strzepnęła ją i wcisnęła do torebki. Przeczesła palcami krótkie włosy i stwierdziła:

– Ciepło tu. Gdzie Wujek? W chłodni?

Nie wydawała się przejęta spotkaniem z Szumskim, więc albo ma dobrą wymówkę, albo totalnie nie wie, o co chodzi.

– Idziemy? – ponagliła go, przyglądając mu się z zaskoczeniem.

Zachowywał się zupełnie jak nie on. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, niemal rzucił ją na kolana, gdy stanął w drzwiach gabinetu Salomei Gwint. Wzrost metr dziewięćdziesiąt, brunet z szarozielonymi oczami, mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi, wyrazistymi ustami, gładko ogolony, włosy modnie ścięte. Dżinsy uwypuklały umięśnione nogi, ciemny dopasowany golf opinał szeroką klatkę piersiową. Pod pachą kabura z bronią. Wszedł nonszalanckim, rozkołysanym krokiem zawodowego modela, z przewieszoną przez ramię marynarką. Wielu mężczyzn ubierało się podobnie, ale żaden z nich nie mógł równać się z Ksawerym Gromem.

Pomyślała wówczas, że ma przywidzenia. Tacy mężczyźni istnieją tylko w książkach o wilkołakach. A potem przedstawił się głosem silnym, dudniącym, zarazem tak aksamitnym, aż zrobiło jej się gorąco w... właściwie wszędzie.

Teraz wyglądał jak tania imitacja tamtego twardziela. Zmęczony, wyblakły, zdenerwowany. Nie emanował tą pewnością siebie, która sprawiała, że miękły jej kolana.

Może Salomea miała rację, pomyślał głosik, gdy zakazała jej z nim rozmawiać, by facet nie zgłupiał.

Ksawery Grom zgłupiał.

Jedyne, co pozostało niezmienione, to umięśnione ciało i eleganckie wdzianko. I pewnie spluwa pod pachą, pomyślała, pocieszając się, że Mrówka bardzo chciał z nim pracować. Tak bardzo, że był gotów czekać na niego, zamiast go przekupić czy zastraszyć.

Może jest przepracowany, nieśmiało zasugerował głosik.

Fakt, wygląda na zestresowanego, przyznał głos.

O, a teraz popatrzył na nią jak na dziwadło i tak po prostu sobie poszedł.

Pewnie znowu gadałaś do ramienia, stwierdził głosik.

Wujek siedział przy metalowym stole i popijał herbatę, na spodeczku leżało ciasteczko z kawałkami czekolady. Matylda przełknęła ślinę. Ciastko na pewno ma w sobie białą mąkę, cukier i maselko, a kto wie, może nawet syrop glukozowo-fruktozowy. Jest niezdrowe i przepyszne.

Nie powinien go jeść, pomyślała z naganą.

Umiera. Ciastko już mu nie zaszkodzi, zauważył rozsądnie głosik.

Zachnęła się w duchu. Już miała na końcu języka ciętą ripostę, gdy Ksawery trącił ją łokciem.

– Dzień dobry – przywitała się spokojnie. – Chciał mnie pan widzieć, więc jestem. O co chodzi?

Grom uśmiechnął się lekko pod nosem. Oczywiście Matylda nie byłaby sobą, gdyby choć raz posłuchała instynktu samozachowawczego.

– Dębski wylądował dziś na dołku. Chcę wiedzieć dlaczego – odpowiedział Szumski, poprawiając krawat.

Jak na umarlaka wyglądał elegancko jak zawsze. Szary garnitur, wrzosowa koszula, krawat w kolorze fuksji. W tej kolorystyce odbijała się jego poźółkła cera, na co wcześniej nie zwróciła uwagi.

Tylko nie mów „nie wiem, ale się dowiem”, pomyślał Ksawery. Nie wiedział, czy Matylda go usłyszała, czy może jakiś instynkt

wyczuwający zagrożenie jednak zadziałał, bo odpowiedziała zupełnie normalnie:

– Moim zdaniem zabił przynajmniej cztery kobiety.

– I to był powód, dla którego pani na niego doniosła? Trzeba było przyjść z tym do mnie.

– Nie doniosłam, tylko poprosiłam zaprzyjaźnionego policjanta o znalezienie adresów kilku kobiet. Proszę sobie wyobrazić, jak się zdziwiłam, gdy się okazało, że wszystkie figurują w systemie jako zaginione.

– Niedobrze – zmartwił się Szumski.

– Bardzo niedobrze – zgodziła się z nim. – Wioletce pęknie serce.

– Nie wpadajmy w babskie histerie. Jak nie ten, to inny, Wioletka szybko się pocieszy, ale czy znalazła pani jakieś dowody wiążące Dębskiego z tymi zaginięciami?

– Niestety, nie.

– Zatem to tylko pani podejrzenia.

– Zgadza się.

– Mógł je zabić, ale niekoniecznie musiał. Mógł to zrobić prześladowca.

– Moim zdaniem nie ma prześladowcy, a Dębski to świr – wyjaśniła najbardziej zrozumiale, jak tylko było to możliwe. – Nie liczyłabym na mariaż rodzinny.

– To się jeszcze okaże. – Szumski z namysłem upił łyk herbaty. Widać było, że coś rozważał.

Oczywiście, że rozważał. Dla kogoś takiego jak on morderca w rodzinie to nic zaskakującego. Mogła tylko się domyślać, z jakimi ludźmi Wujek przestaje. Swego czasu Ksawery zapewniał ją, że Szumski jest ceniony w swoim środowisku ze względu na honorowe zasady, którymi się kieruje. Osobiście podchodziła do tego sceptycznie.

– Policja nie ma żadnych dowodów i śmiem wątpić, by je zdobyła. Zawsze może pan zatrudnić Piaseckiego do jego obrony. I przy okazji zmusić Dębskiego, by odsprzedał grunt za przysłowiowe grojdy.

Spaprana opinia nie pomoże mu w znalezieniu miejsca na rynku, więc będzie wdzięczny za ochłapy, które mu pan rzuci za projekt, jeśli...

Dożyje pan do tego czasu, chciała powiedzieć, ale przełknęła ślinę i dokończyła ze swadą:

– Jeśli oczywiście nadal będzie pan zainteresowany współpracą z nim. Nie zdziwiłabym się, gdyby jego rodzina odkupiła tę ziemię od pana z powrotem za lichwiarską cenę.

– Dlaczego tak pani sądzi? – spytał zaintrygowany.

– Ten teren jest w ich rękach od lat. Nie dość, że nic z nim nie robią, to do tego jeszcze nie podzielili współwłasności na części przypadające każdemu. Z tego, co mi wiadomo, zaoferował pan naprawdę dobrą cenę, a nikt jej nawet nie rozważył. Spuścili pana propozycję w toalecie. Jeśli kupi pan udziały Dębskiego i zacznie się domagać wyodrębnienia własności, zakładam, że w ich interesie będzie odzyskanie gruntu. Nie wiem, czy mają tam pogrzebane trupy, czy złoża gazu, ale może nie warto narażać Wioletki na ten związek.

Zwłaszcza gdy już się pan przekreśli, a ona zostanie bez ochrony.

– Płacę pani za informacje. To moja sprawa, co z nimi zrobię. Więcej proszę policji nie pomagać – oświadczył kategorycznie z nutką pogroźki w głosie, który nie umknął Gromowi.

– Nie mogę tego obiecać – odparła zgodnie z prawdą.

Pogrożka najwyraźniej umknęła Matyldzie, uznał Grom.

– Mówimy o morderstwie. Jeśli wpadną mi w ręce jakieś dowody, mam obowiązek je dostarczyć policji. Mogę za to obiecać, że nie będę ich szukać. Zajmę się wyłącznie ustalaniem powiązań rodzinnych i uzyskaniem informacji, które pozwolą panu wywrzeć nacisk na Dębskiego. Bo o to tak naprawdę chodzi, czyż nie? A kto wie? Może wpadnę na coś, co pozwoli przycisnąć ich wszystkich? – zasugerowała, nie wiedząc, skąd się wziął ten pomysł.

To musiał być jakiś szatański podszept. Nie wierzyła w działanie ani nawet istnienie sił nadprzyrodzonych, ale dzisiejsze rozważania ateistyczno-filozoficzne niemal ją nawróciły na wiarę w zaświaty. Do etapu kierownictwa w tychże zaświatach jeszcze nie doszła, ale kilka godzin dłużej w trumnie i kto wie, do kogo zaczęłaby się modlić,

zwłaszcza że repertuar wokalny jej się kończył. Nigdy nie miała pamięci do tekstów.

Wujek przyglądał jej się wzrokiem bazyliuszka. Gadzie oczy nie wyrażały żadnych emocji. Matylda spokojnie zniosła jego spojrzenie. Dzisiejsze wydarzenia coś w niej odblokowały. Jestem twardzielką, pomyślała z lekkim drzeniem kolan.

– Niech będzie – zgodził się niechętnie. – Ale potrzebuję tych informacji natychmiast. Kiedy pani wyjeżdża do Gdańska?

– Ksawery i ja planowaliśmy wyjazd w sobotę, jednak w zaistniałych okolicznościach mogę wyjechać jeszcze dziś.

– Ma pani na myśli taką okoliczność jak to, że Dębski panią zwolnił? – Na twarzy starszego mężczyzny pojawił się kpiący uśmiešek.

– Jakby mógł. – Matylda niepewnie odwzajemniła uśmiech.

– Szkoda – powiedział nagle Wujek. – Wielka szkoda.

– Szkoda czego? – Nie zrozumiała.

– Że nie chce pani dla mnie pracować na stałe. Ale nie szkodzi. To już nie problem – westchnął i znowu upił łyk herbaty.

Ksawery spojrzał na niego wymownie. Matyldzie nie umknęła wymiana tych spojrzeń. Pocisk miał rację, pomyślała z ponurą satysfakcją. Stary umiera. To rozwiązałoby moje problemy z półświatkiem na zawsze, gdyby nie smerdolony Miecio, który wskazał mnie Mrówce!

Co to w ogóle za ksywka? Mrówka?

Mrówa, poprawił ją głos.

Mrówa czy Mrówka, jakbym miała na imię Benjamin, to wybrałabym coś o mocnym brzmieniu, jak choćby... na przykład... czy ja wiem...

Destrojer? – podpowiedział ironicznie głosik.

To znacznie lepsze niż Mrówa czy Wujek. Ciekawe, jak mówią na Ksawerego.

Grom dostrzegł, że znów gdzieś odpłynęła myślami. Kombinuje, pomyślał. Kombinuje, jak mi Bóg miły! Ta kobieta z wiekiem robi się coraz bardziej nieobliczalna!

– Matylda, o której możesz wyjechać? – przerwał milczenie, bo Szumski również zaczął przyglądać się bacznie zawieszanej między przestrzenią a czasem Matyldzie.

– Właściwie to jestem już spakowana – odrzekła. – Rzeczy mam w bagażniku, więc możemy jechać choćby zaraz.

– Doskonale.

Wujek nie wyglądał na uszczęśliwionego, ale czy mogła go za to winić?

– W takim razie z niecierpliwością czekam na informacje.

– Świetnie, będziemy w kontakcie – powiedziała i odwracając się, wpadła wprost na Miecia, który niósł przed sobą ogromny wieniec.

Oślonił się nim jak tarczą i niepewnie spojrzał na całą trójkę. Sądząc po jego wzroku, najbardziej bał się Matyldy. Ksawery nawet to rozumiał. Czasami sam jej się bał.

Gdy nie bał się o nią.

Czas skończyć z tą profesją, pomyślał. I zacząć pracować tylko uczciwie dla uczciwych ludzi.

– Ksawery, zapomniałbym – zatrzymał ich jeszcze głos Wujka. – Zajmij się w końcu Mieciem. On nadal się tu kręci!

– Ale co szefo mówi? Jak zająć? Mną? Przecież ja nic nigdy, nie jestem kapłan. Przysięgam na głowę moich nienazartych dzieci! – Język mu się plątał, oczy wypełniły łzami. – Szef wie, że ja szefa to nigdy bym nie okopał! – zapewniał, waląc się ukrytą w białej rękawiczce ogromną pięścią.

– Człowieku, w tym stanie nie można cię na oczy klientom pokazać! – zagrział Wujek.

– Więc szefo nie chce mnie wypukać? – Miecio odetchnął z ulgą tak wyraźną, że Matyldzie prawie zrobiło się go żal. Prawie!

– Nie jesteś w moim typie, Miecio. – Wujek z ubolewaniem pokręcił głową. – Grom, niech odda frak i rękawiczki, a za melonik mu potrączę. Pani sobie wyobrazi – zwrócił się do Matyldy – że ten idiota najpierw na nim usiadł, potem na niego nadepnął i jeszcze rozwalił sobie gębę, chuj wie o co. Pewnie o własną pięść, zważywszy na dzisiejszy poziom jego

zidiocenia! Niech ubiera zwłoki, kopie doły albo co, ale ludziom ma się na oczy nie pokazywać, bo mi wszystkich klientów wystraszy!

– Może ma wstrząs mózgu? – zasugerowała Matylda, usiłując ratować biedaka, nim ten ją wkopie.

– Spadaj, Miecio. Masz wolny weekend. W poniedziałek z samego rana stawisz się w pracy. Do tej pory wymyślę, co z tobą zrobić – polecił mu Ksawery. Mógłby przysiąc, że Miecio puszcza oko do Matyldy. A może to tylko tik nerwowy. – I żadnych bab! – huknął za nim, gdyż Mieciowi nie trzeba było powtarzać dwa razy.

Odwrócił się na pięcie i wypadł z chłodni jak wyścigowy koń z boks startowego. Jak na tak ogromnego mężczyznę poruszał się zadziwiająco zwinnie.

– Co z tym? – Matylda wskazała na porzucony przez niego wieniec.

– Zajmie się tym któryś z chłopaków – odpowiedział Wujek. – Jedźcie już. Czekam na złe wieści. Złe dla Dębskich, rzecz jasna.

Dla nich na pewno, pomyślała ponuro.

– Muszę panią przeprosić, pani Matyldo. Nie doceniłem pani.

– Wręcz przeciwnie. Przecież inaczej by mnie Wujek nie zatrudnił.

– Owszem, ale trzeba było powiedzieć pani prosto z mostu, w czym rzecz. Pewnie już dawno by to pani ogarnęła.

– Szkoda, że nie powiedziałeś mi tego. – Grom poczuł się urażony.

Mimo że znał drugie dno historii, którą szef sprzedał Matyldzie, Wujek mógł go skierować do właściwej sprawy, zamiast kazać jej pomagać w sprawie Artura Dębskiego, bo Wioletka nieszczęśliwie się zakochała.

– Chciałem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Szczęśliwa Wioletka i geniusz w rodzinie. Jak człowiek tak długo obraca się wśród idiotów, to ceni walory umysłu. Wioletka byłaby zabezpieczona.

– A cmentarzyk za miastem to mało?

– Fanaberia – zbagatelizował. – Ale miejsce dobre. Nada się.

Nie powiedział, do czego dobre ani do czego się nada, lecz mogła się domyślić. Własne krematorium? Może im podrzucić hasło reklamowe.

ZNIKANIE LUDZI NIGDY NIE BYŁO PROSTSZE!

– Nic nie szkodzi, jeśli Dębski to drań. Przyciśnie się gościa i tyle.

– A jeśli nie mam racji i to nie on jest mordercą? – spytała.

– Wtedy spróbujemy delikatnie, bo wolę, żeby pracował dobrowolnie, a nie pod przymusem, ale te zaginione kobiety zmuszają mnie do przyspieszenia sprawy i przedwczesnego odkrycia kart, czego bardzo nie lubię. Niestety, czas goni nas wszystkich.

Matylda ociągała się z wyjściem w nadziei, że Wujek powie coś jeszcze. Coś, co potwierdziłoby jednoznacznie, że jedną nogą jest już na drugim świecie, a posiłki jada w chłodni, bo przyzwyczajają się do temperatury panującej w szufladach na zwłoki. Ale Szumski wyjął z kieszeni czarny notes, poślinił końcówkę ołówka i coś sobie zapisał, ignorując ich obecność.

– Co z tobą? – syknął Ksawery, wyprowadzając ją za łokieć.

Właściwie wywłókł ją z chłodni.

– Nic. Nie masz wrażenia, że Wujek źle wygląda?

– W tym trupim oświeceniu każdy źle wygląda. Co z tobą? – powtórzył pytanie, puszczając ją w końcu, choć miał ochotę potrząsnąć nią tak mocno, aż spadłaby jej ta kiepska peruka. – Wujek nie pozwoli zamknąć Dębskiego, choćby ten był seryjnym mordercą. – Zaciśnął gniewnie wargi.

– Oczywiście, że nie – powiedziała ponuro, interpretując po swojemu i niewątpliwie trafnie jego niewerbalną odpowiedź.

– Jeśli Dębski jest winien, osobiście dopilnuję, żeby trafił do paki, choć nie stanie się to ani dziś, ani jutro. Obiecuję. – Posłał jej swój słynny uśmiech zawadiaki, ale albo coś mu nie wyszło, albo te sny erotyczne z nim w roli głównej to była jakaś totalna podpucha. Byłaby do tego zdolna. Czasami wyłaził z niej wredny babiszon.

– Niech ci będzie – zgodziła się. – Powiedzmy, że ci wierzę.

– Na litość boską! Gdzie się podziała ta słodka dziewczyna, którą spotkałem u Salci?!

– Poznała ciebie – burknęła, ale w głowie zapaliła jej się lampka. Powstrzymała uśmiech triumfu. Wpadła na pomysł może nie doskonały, lecz na pewno skuteczny. – Naprawdę możesz jechać już dziś?

– Tak, zawsze jestem spakowany. Prowadzę działalność, która wymusza na mnie częste pobyty poza domem, spanie w hotelach czy w samochodzie, więc lepiej mieć przy sobie zapas czystej bielizny i szczoteczkę do zębów. W domu wiedzą, że wyjeżdżasz?

– Tak, Monika jest u moich rodziców.

– A Roman?

– Właśnie! Roman! Znowu o nim zapomniałam! Muszę zadzwonić! – zawołała. – I jeszcze jedno! Muszę coś załatwić! Spotkamy się pod moim biurem!

– O której? – krzyknął za nią, gdyż, jak to miała w zwyczaju, zniknęła mu już z oczu.

Jej ochrona była najtrudniejszym zleceniem w jego karierze. I nie dlatego, że grozili jej kosmici dysponujący potężną bronią, ale przypilnowanie, by nie zniknęła mu z oczu, było niemal niemożliwe.

– Zadzwonię!!! – odkrzyknęła, nie odwracając się nawet, by na niego spojrzeć.

*

– I co teraz? – spytała szeptem Mizera, gdy opuścili gabinet naczelnika. – Jak mam namówić te kobiety do zgłoszenia, skoro nie mogę im się pokazać na oczy?

– Nie wszystko naraz. – Marecki nie przejął się zakazem. Nie ma problemu, którego nie da się rozwiązać. – Ustalmy najpierw ich adresy, a potem pomyślimy, jak do nich uderzyć, OK?

– Chcesz skorzystać z systemu? – Ledwo za nim nadążała, choć to ona była bardziej wysportowana.

Antek przeskakiwał po kilka stopni, by jak najszybciej znaleźć się przy komputerze. Grabik gotów zablokować mu dostęp do sprzętu.

– Oszalałeś? Wiesz, że jak sprawdzą, to wyjdzie, że szukałeś namiarów na te kobiety przed wszczęciem śledztwa. Nie możesz tego zrobić! – zawołała, zamykając za nimi drzwi biura, by nikt ich nie podsłuchał. – Ale ja bym...

Miała rację. Niech to diabli!

- Skoro ja nie mogę, to ty też nie – stwierdził zdecydowanym tonem.
- Więc jak to zrobimy? – zapytała zniecierpliwiona. – Może ktoś z kumpli by...
- Nie możemy nikogo prosić o taką przysługę. – Przerwał jej stanowczo.
- Nikogo od nas, ale chyba mam pomysł.
- Jaki?
- Hasło Tomczaka jest jeszcze aktywne?
- To jest ten twój pomysł? Już dawno zablokowane. Znasz zasady! Biorę to na siebie – zdecydował, siadając przy komputerze.
- Nie możesz, bo uwalisz sprawę!
- Na razie nie ma sprawy!
- I nie będzie, jak nie ogarniemy tego w jakiś rozważny sposób! Odejdź od komputera!

Antoni nie wiedział, jak do tego doszło, ale najpierw zaczęli sobie wyrywać klawiaturę, a potem się szamotać i w pewnej chwili stracił równowagę, i wylądował na podłodze, a Kaśka na nim.

- Przepraszam! – pisnął czyjś głosik i drzwi zamknęły się z hukiem.

Żadne z nich nie widziało, kto wszedł i zastał ich w tej dwuznacznej sytuacji.

– Świetnie, jeszcze tego nam brakowało. Plotek! Ten nowy kryminalny teraz na pewno nie zaprosi mnie na randkę! – Wbiła mu złośliwie łokieć w brzuch, gdy przekręcała się na bok, by z godnością wstać.

– A może wręcz przeciwnie? Wszyscy myślą, że wolisz kobiety – odpowiedział, nadal klęcząc, gdyż coś mu strzeliło w plecach i promieniowało aż do biodra.

- Dlaczego? – zdziwiła się.

– Nie flirtujesz z facetami, za to chętnie chodzisz z dziewczynami na ploteczki.

– Antek, nie dziwię się, że co poniektórzy mają kiepską wykrywalność z takimi umiejętnościami wnioskania, ale ty też?

– Mnie to po prostu nie obchodzi. Przypuszczałem, że wiesz.

Raz kozie śmierć, pomyślał i podciągając się o parapet, wstał.

– Świetnie, będzie szybciej, jak zaproszę go sama – stwierdziła. – Dobra. Jesteśmy cywilami. Jak zdobyć adresy?

– Pojęcia nie mam – odparł zdziwiony. – Nigdy się nie zastanawiałem, jak normalni ludzie zdobywają informacje.

– Poprosimy kogoś o przysługę? – zaproponowała.

– Ze świadomością, że możemy wsadzić go na minę?

– Tak, to byłoby świństwo – przyznała.

– Dominiczak będzie wiedzieć. Może ją zapytamy? – zasugerował niepewnie.

– Świetnie – westchnęła. – Będę prosić o radę walniętą w dekiel detektyw.

– Walnięta czy nie, ale musi zdobywać informacje, do których my po prostu mamy dostęp. Masz pod ręką kogoś bardziej obeznanego?

Wdech. Iiiiiii wyyyydeeech i znowu wdech iii...

– Nie – odparła wyraźnie niepocieszona. – Wiem, jak zdobywają adresy adwokaci. Piszą pismo z uzasadnieniem. Nie możemy tyle czekać. Jeśli mamy cię uratować i dorwać gnoja, musimy ogarnąć wszystko w dwa dni.

– Dzwonię do Matyldy – powiedział, spoglądając na Kaśkę pytająco, jakby w nadziei, że coś ją oświeci.

Na przykład dozna objawienia albo wykaże się darem jasnowidzenia.

– A może do Tomczaka? – zaproponowała. – Pracuje dla niej. Coś powinien wiedzieć.

Coś w jego oczach powiedziało jej, co Antek o tym sądzi.

– Dzwon do niej – poleciała mu zrezygnowana. – Tylko nie mów, że tu jestem.

– Kobiety – mruknął tak, by nie słyszała. – Piekło jest waszymi emocjami wybrukowane. – Głośno zaś dodał: – Spadajmy stąd. Lepiej, żeby nikt nas nie podsłuchał.

Matylda z piskiem opon wzięła zakręt z jedną ręką na kierownicy, bo w drugiej trzymała telefon, by w końcu zawiadomić męża, że żyje i świetnie się miewa, gdy ten zadzwonił. Telefon znaczy się, nie mąż. Mąż poza lakoniczną wiadomością nie interesował się jej losem. Równie dobrze mogła leżeć martwa w rowie albo dogorywać w bagnie, poświęcając ostatnią świadomą myśl pożerającym ją komarom.

– Co tam, panie komisarzu? – zapytała, przyciskając ramieniem telefon do ucha i dodając gazu, by zdążyć przejechać przez skrzyżowanie na żółtym świetle.

– Pani Matyldo, sprawę mam – zaczął ostrożnie Marecki, nie wiedząc, jak właściwie sprecyzować, o co mu chodzi.

– Aha, a dokładniej?

– Kasia i ja jesteśmy w kawiarni niedaleko pani biura. Może by pani reflektowała na małą kawę? – zaproponował.

– Nie mogę. Mam pilne spotkanie i zaraz potem wyjeżdżam. Won, chamie! – zawarczała, wściekle migając światłami, gdy audi na warszawskich blachach nie chciało jej wpuścić, by mogła swobodnie zmienić pas. Duśka, niestety, gabarytowo w niczym nie przypominała swoich mniejszych kuzynek. Była wielgachnym, głośnym dieslem, który jednakże nigdy jej nie zawiódł.

– Słucham? – zdumiał się.

– To nie do pana, tylko do tego chama na drodze! Smerdolona warszafka! Myślą, że im wszystko wolno! – perorowała niepomna, że to ona usiłowała wymusić pierwszeństwo. Warszafka jechała, jak kodeks drogowy przykazał. Przepisowo. – O co chodzi?

– Ogólnie to rzecz w tym, że naczelnik zdrowo mnie objechał i jestem na bezpłatnym – powoli i z mozołem zaczął wyłuszczać sprawę.

– Nie mam dla pana zlecenia, ale mogę popytać – zaproponowała.

– Nie, nie szukam pracy – zachnął się.

– Rany! – syknęła Kaśka. – Nie zapraszasz jej na randkę!

– To o co chodzi? – Zatrąbiła kilkakrotnie na volvo, które wyrosło przed nią i zasłoniło widok. Jazda SUV-ami po mieście powinna być zabroniona! – Rusz tę tłustą dupę, ćwoku!

– To też nie do mnie? – upewnił się Marecki.

Gdzie się podziała ta nieśmiała bibliotekarka, która wpadła w histeryczny słowotok, gdy potknęła się o trupa dyrektora biblioteki. Zatęsknił przez moment za tamtą kobietą z włosami spiętymi w koczek, w obszernej koszuli w kratę i długiej spódnicy. Teraz miał do czynienia z jakąś Matą Hari w nowoczesnym wydaniu.

– Oczywiście, że nie. Pan ma świetną formę i jędrny tyłek – stwierdziła stanowczo. – To w czym mogę pomóc?

– Chwilowo jestem cywilem i nie mam zielonego pojęcia, jak zdobywać informacje, kiedy nie mogę posługiwać się odznaką – wyłuszczył, jak się mają sprawy. Prosto z mostu. Jak mężczyzna!

Kaśka pokiwała twierdząco głową i uniosła w górę kciuk na znak aprobaty.

– Został pan gumisiowym impotentem? – spytała rozbawiona Matylda.

– Co proszę?! – obruszył się, lekko zarumieniony.

– Komisarz Tomczak mówi, że ci z kryminalnej to gumisie i że po przejściu na emeryturę i oddaniu odznaki czuje się jak impotent. Gumisiowy impotent – wyjaśniła. – Nie wiem, jak rozmnażały się Gumisie, ale musi pan przyznać, że to niezłe porównanie.

– Nie jestem impotentem!

– O czym wy rozmawiacie?! – zdenerwowała się Mizera.

– Obraził się pan? – zdziwiła się Matylda. – Jeśli tak, to przepraszam.

Spędzam tyle czasu z marginesem, że już nie wiem, jak rozmawiać z normalnymi ludźmi, pomyślała nadal rozbawiona, ale już z pełną powagą powiedziała:

– Zamieniam się w słuch. Co mogę dla pana zrobić?

– Jak pani zdobywa informacje? Bez dostępu do systemu. Bez odznaki.

– Jak to jak? Chodzę i pytam.

– I ludzie tak po prostu pani odpowiadają?

– Tak po prostu to niekoniecznie. Czasami trzeba wymyślić jakąś historyjkę. Ankietę jakąś przeprowadzić. Wujka szukać. Albo koleżanek

z podstawówki. Badania genealogiczne prowadzić. Wszystko zależy od sytuacji.

– Jasne, jasne... – przytakiwał.

– Musi pan kłamać, panie komisarzu – zlitowała się nad nim i nazwała rzecz po imieniu.

– Wprowadzanie w błąd jest karalne.

– Tylko w celu uzyskania korzyści majątkowej. Czy zamierza pan uzyskać korzyść majątkową?

– Oczywiście, że nie!

– To jako cywil może pan kłamać ile wlezie. Proszę tylko nic nie obiecywać, żeby potem ludzie za panem po ulicy nie biegali.

– Sam nie wiem, czy to się jakoś sprawdzi – wahał się Antoni. – Nie ma pani lepszego sposobu?

– Może pan też poprosić zaprzyjaźnionego policjanta o przysługę.

– Nie mogę. Nie mam zaprzyjaźnionego policjanta.

– To smutne, co pan mówi. Ale ja też nie mam koleżanek. Proszę się nie przejmować. Świat jest pełen ludzi, którzy wbiją panu nóż w plecy i podstawią nogę, że...

– Chodziło mi o to, że nie mogę poprosić nikogo o przysługę.

– Dlaczego?

– Bo sprawa nękania ma być czysta, żeby Obszmurek jej nie uwalił, i chociaż dostaliśmy z Kaśką zielone światło, to właściwie jest ono żółte i może w każdej chwili zamienić się na czerwone. Jak mamy nakłonić te kobiety do zgłoszenia sprawy, skoro nie możemy pokazywać im się na oczy?

– Przypomina mi się bajka braci Grimm. Król mówi do wieśniaczki: „Przybądź do mnie, nie będąc ani naga, ani ubrana, nie pieszo i nie jadąc, będąc na drodze i nie będąc. Jeśli tego dokonasz, poślubię cię”.

– I jak to zrobiła? – zapytał wbrew sobie.

– Owinęła się w sieć, więc nie była ani naga, ani ubrana. Przywiązała się do osła, który ją ciągnął, więc ani nie szła, ani nie jechała. Ciągnął ją

rowem, ale jednym palcem dotykała drogi, więc ani na niej nie była, ani była. Rozumie pan?

– Nie.

– Musi pan znaleźć własny sposób. Na przykład zaangażować kogoś niepowiązanego ze sprawą, kogo Obszczymurek nie zobaczy na oczy. Kto nie będzie pracował dla policji. Kogoś takiego jak...

– Jak pani?

– Na przykład, ale ja nie mogę. Jeszcze dziś wyjeżdżam do Gdańska. Ale niech pan poprosi pana Staszka. On chętnie pomoże.

– Kpi pani ze mnie?

– Oczywiście, że nie. Nie mówię, że ma rozwiązać sprawę za pana, ale będzie dziś w biurze. Da panu kilka kart SIM.

– I co miałbym z nimi począć?

– Może pan zadzwonić z nieregistrowanych numerów do tych kobiet z listy, którą panu dałam.

Chyba będę musiała powiedzieć mu wprost, co ma zrobić, bo sam na to nie wpadnie. Kurde melek!

– Już pani mówiłem, że nie możemy się z nimi kontaktować i nakłaniać do zgłoszenia – zirytował się. – Nie jest pani zbyt pomocna.

– Jestem bardzo pomocna, tylko pan nie czyta między wierszami!

– Niby co mam czytać, jak tam nic nie ma!

Tomczak miał rację. Impotent!

– Proszę użyć wyobraźni.

– Teraz?

Ja się zapierdołę, jak by powiedział pan Staszek.

– Powiem, co macie zrobić, ale nie chcę żadnego wykładu ani wymówek, jasne?

Dał znać Kaśce, by usiadła bliżej i przysunęła ucho do telefonu.

– OK, niech pani mówi.

– Zadzwoń pan do pana Staszka i powie, że ja powiedziałam, że ma panu dać karty SIM i wolne telefony. Za chwilę prześlę panu numery telefonów do tych kobiet.

– Nie możemy – szepnęła Kaśka.

– I pobawicie się przez weekend w głuchoe telefony o każdej porze dnia i nocy.

– Oszalała pani? To nękanie! – obruszyła się komisarz Mizera, zapominając, że jej tak jakby tu nie ma.

– Oczywiście, i to jest właśnie ten moment, kiedy możecie użyć wyobraźni i nawet wysłać kilka wiadomości tekstowych typu ON JEST TYLKO MÓJ, żeby im się jednoznacznie kojarzyło z Arturem Dębskim. Naprawdę muszę wam to tłumaczyć? – zniecierpliwiła się Matylda.

Dotarła na miejsce, a oni zabierali jej czas, którego miała coraz mniej.

– Chyba nie sądzi pani, że wszystkie przylecą na komisariat!

– Wystarczy wam tylko jedna.

– Sprawa może nie trafić do nas.

– A musi? – spytała Matylda. – Nie możecie jej jakoś przejąć, kiedy już będzie?

– To tak nie działa, pani Matyldo. Obowiązują określone procedury. Właściwość miejscowa i... – zaczęła tłumaczyć komisarz Mizera.

– Dobra, dobra, niech się pani nie rozpędza. A jak nie ma miejsca przestępstwa?

– Jeśli nie można ustalić miejsca przestępstwa, właściwość określa się na podstawie miejsca, w którym działał sprawca.

– Sprawca jeździ samochodem i dzwoni z trasy. Jak ustalić miejsce?

– Jeśli nie można ustalić miejsca, w którym działał sprawca, bierze się pod uwagę miejsce ujawnienia przestępstwa, czyli miejsce, w którym policja poweźmie informację o przestępstwie.

– Czyli wystarczy, jeśli ofiara zgłosi się do właściwego komisariatu, czyli waszego – uznała Matylda.

– Teoretycznie tak, ale nie można wykluczyć...

– Bla, bla, bla, wszystkiego nie damy rady przewidzieć. Może się uda. Na liście macie trzynaście nazwisk, z czego cztery są nieaktywne. Wartecka. Pieprzyk. Strózek. Gajda. Macie dostęp do bazy osób zaginionych. Znajdziecie tam namiary na rodziny. Możecie z nimi porozmawiać, na to zakazu nie macie. Dowiedzieć się, czy któraś wspominała o Dębskim komuś z bliskich, a potem przekazać te informacje jednostkom prowadzącym poszukiwania.

– Tyle to sama wiem, tylko one nie zgłoszą już nękania. Zwłaszcza jeśli są martwe.

– Ale nazwisko Dębskiego pojawi się w aktach i tego nikt nie będzie mógł zignorować. Teraz sprawa tych niezaginionych. Zadzwoiłam do każdej z nich, żeby porozmawiać o rzekomym prześladowcy i o Arturze. Prosiłam o zanotowanie mojego numeru i kontakt, gdyby coś im się przypomniało. Jeśli dobrze wykonacie swoją robotę, jest szansa, że przynajmniej jedna się do mnie odezwie, a wtedy skieruję ją do pani. Wasza decyzja, co zrobicie. Innego pomysłu tak na szybko nie mam.

– To świetny pomysł – szepnął Marecki.

– Wiem – syknęła Kaśka. – Gdybyśmy zdecydowali się skorzystać z pani podpowiedzi...

– O niczym nie wiem – zastrzegła Matylda. – Jestem zaskoczona i zbulwersowana ponownym nękaniami, na szczęście znam doskonałą policjantkę, która na pewno pomoże. A jakby ktoś pytał, nigdy nie rozmawialiśmy o sprawie. Capisci?

– Pani wie, że jak któraś z tych kobiet powoła się na panią, będzie pani musiała się do nas pofatygować?

– Oczywiście. Jeśli się okaże, że moje zlecenie dotyczy prowadzonej sprawy karnej, chętnie będę współpracować w zakresie nienaruszającym tajemnicy zawodowej – oświadczyła nader zadowolonym tonem, zważywszy na pogródki Wujka pod jej adresem.

– Musimy to przemyśleć – odpowiedziała z wahaniem Kaśka.

Pomysł był dobry. Co tam dobry, doskonały! Wątpliwy moralnie i prawnie, ale doskonały!

– Radzę zrobić to szybko, bo potem pan Staszek jedzie na obserwację. Wysłać wam te numery czy nie?

– Niech pani wyśle – zdecydował się Marecki.

Gdy Kaśka spojrzała nań zdumiona jego determinacją, rozłączył się i wyjaśnił:

– Nie jestem zwolennikiem tezy, że cel uświęca środki, ale bez poświęcenia nie ma zwycięstwa.

– Cytujesz Transformersów?

*

Salomea Gwint – jedna ze wspólniczek w firmie o szumnej nazwie: „Gwint, Kowalski i Puszczuk Prywatni Detektywi”.

Salomea Gwint. Wredne babsko kute na sześć nóg, bo cztery to za mało.

Salomea Gwint – eksszefowa Matyldy. Wzięła ją pod swoje skrzydła, uznając za punkt honoru wdrożenie nowej podwładnej do pracy detektywa. Kobiet w tym zawodzie było jak na lekarstwo, a niektóre zlecenia wręcz domagały się kobiecej ręki.

– Pani Matyldo, asystentów mamy na pęczki, ale kobieta detektyw to nadal nowość w naszym zdominowanym przez samców zawodzie – stwierdziła i zaraz dodała: – Musi być pani twarda, a nie miękka, bo panią słamszą. Musi pani zaistnieć. Wyrobić sobie nazwisko. A drobnomieszczańska mentalność i pensjonarska naiwność w tym pani nie pomogą – ciągnęła swój wykład, patrząc zimno na podwładną, czyli na Matyldę, a przy okazji ziejąc na nią resztkami wczorajszej popijawy.

Firma już nie istniała. Salomea straciła licencję, co nie przeszkadzało jej w świadczeniu usług doradczych. Trudno uwierzyć, że od tamtej pory minęły ledwo dwa lata z okładem, pomyślała Matylda, wysiadając z windy.

Eksszefowa otworzyła od razu. Nie kryła zaskoczenia na jej widok, mimo że Matylda zadzwoniła do niej, by się upewnić, że ją zastanie.

– Pani Matylda?

Przez chwilę miała wrażenie, że starsza kobieta zatrzaśnie jej drzwi przed nosem, ale na twarzy pokrytej grubą warstwą makijażu, który w najmniejszym stopniu nie maskował zmarszczek, pojawił się serdeczny uśmiech.

– A niech mnie chuj strzeli! – zawołała radośnie. – Myślałam, że ktoś jaja sobie robi. Strasznie pani chrypi przez telefon. Gdzie ma pani tego pierdołę Tomczaka?

– Przyjechałam sama.

– No i dobrze. Zawsze robił do mnie maślane oczy i lubieżnie oblizywał usta. Stary cap! – Mimo obelżywych słów uśmiechała się życzliwie. – Proszę pozdrowić tego starego chuja! Koniecznie! No, niech pani wchodzi! Wiem, że w odwiedziny pani nie wpadła, więc niech pani nawet nie zaczyna podchodów i od razu wali prosto z mostu, w czym rzecz.

Matylda najpierw rozejrzała się podejrzliwie, dyskretnie pociągając nosem. Żadnej woni alkoholu. Ani fajek. Marihuany też nie wyczuła. Czyżby Salcia waliła prosto w żyłę?

– Rzuciłam fajki i wódę, bo mi szkodziły na cerę – wyjaśniła, jakby czytała w myślach Matyldy. – Cycki sobie nowe zrobiłam i tyłek. Co pani na to? – Okręciła się wokół własnej osi, wypinając pośladki.

– Nie wiem, co ja na to – stwierdziła zaskoczona.

– Na siłownię chodzę i na jogę. Zdrowy tryb życia prowadzę. Spokojnie, jeszcze nie zwariowałam, żeby pod nóż się kłaść. Kawkę? Herbatkę? – zaproponowała, jakby były najlepszymi przyjaciółkami.

Matylda usiadła na najbliższym wyjściu fotelu, na wypadek gdyby musiała uciekać. Nie spodziewała się serdecznego przywitania. Może odstawienie alkoholu wydobyło z Salomei jakieś pokłady człowieczeństwa, pomyślała. A może jest szczęśliwie zakochana i emanuje endorfinami na każdego, kto się napatoczy.

– Kurwa! Zajebię tego skurwysyna!

Wrzask, który dobiegł z kuchni, brzmiał zupełnie jak krzyki starej wersji Salomei. Matylda odetchnęła z ulgą i się rozluźniła. Z taką szefową potrafiła rozmawiać. Niezrównoważoną emocjonalnie.

– Jebany, znowu narąbał obok kuwety!

Ma kota? – zdumiała się, patrząc z ciekawością po pokoju. Pastelowe ściany i meble, bardzo kobiecy wystrój, na ścianie pejzaż, na stole wazon ze świeżymi kwiatami. Drapieżny styl Salomei nie pasował do tego

mieszkania. Może projektant je urządzał, pomyślała. I kot też tu nie pasował.

– Rumianku zaparzyłam – powiedziała eksszefowa, wracając z tacą, na której stał dzbanek i dwa kubki. – Przyda się.

– Dziękuję.

– A teraz mów, o co chodzi, zanim zdechnę z ciekawości i przedwcześnie nakryję się kopytami. Nie po to zmieniłam styl życia, żeby teraz pierdyknąć w kalendarz przy jebanym rumianku. – Założyła nogę na nogę i z wyraźnym zniecierpliwieniem czekała, aż Matylda wyjawi powód wizyty.

W dresie i z gołymi stopami wyglądała znacznie korzystniej niż w krzykliwych garsonkach, które dawniej nosiła. Krótko ścięte włosy w delikatnym odcieniu słomiany blond nie raziły w oczy tak jak poprzedni odcień – wściekła żółć rodem z filmów z czasów PRL. Do tego tapirowała włosy! Makijaż nadal był ostry, ale i tak prezentowała się znacznie korzystniej niż za czasów zarządzania firmą.

– Ładnie pani wygląda, pani Salomeo – stwierdziła lekko zaskoczona nowym wizerunkiem tamtej.

Obawiała się, że Gwint nie podźwignie się po bankructwie, choć sama do niego celowo doprowadziła, by ukarać współników za sprawy z przeszłości. Kto by pomyślał, że zrujnowane życie może komuś służyć, pomyślała. Może i mnie się uda.

– Nie pierdol, tylko mów, co cię do mnie sprowadza. I perukę popraw, bo wyglądasz jak jagodzianka.

– Jak kto? – zdumiała się.

– Wędrowna prostytutka. Przydrożna znaczy się. Nie przeszkadza mi kiepska fryzura, ale taka niedopasowana peruka wkurwia mnie jak mało co. Popraw ją albo zdejmij. Założysz sobie przed wyjściem.

– Właściwie czemu nie – zgodziła się z ulgą, wieszając ją na poręczy fotela. – Grzeje jak wszyscy diabli.

– Dlatego warto inwestować w peruki z naturalnych włosów. To sztuczne badziewie nie oddycha, a pogodę mamy na zewnątrz jak chuj – stwierdziła jej rozmówczyni.

To też się nie zmieniło. Salomea używała wulgaryzmów jako synonimów... no cóż, wszystkiego.

– Ogoł, dziewczyno, głowę i noś chustkę – poradziła jej Gwint, przyglądając się z wyraźnym wstrętem krótkim, niemal czarnym włosom Matyldy. – Nie ta cera. Wyglądasz okropnie. Ten kolor dla kogoś takiego jak ty to tylko z tapetą, a ty malować się nie umiesz, a jak nie umiesz, to się za to nie bierzesz. Obrzydziłaś się celowo czy przypadkiem?

– Celowo, ale co do maszynki, to ma pani rację – przyznała. – Też o tym myślałam. Szybciej odrosną. No i odrost przy tej fryzurze będzie wyglądał koszmarnie.

– Ja pierdołę, w tej robocie kobieta ma czasem niezłą chujnię. Mów, w jakie bagno wdepnęłaś. Za szybko poszłaś na swoje. Dałabym sobie jaja uciąć, że nie pracowałaś tylko dla uczciwych ludzi. No – ponagliła ją, biorąc milczenie Matyldy za wahanie. – Przecież nie przywlekleś się tu z tęsknoty.

– Nie wiem, od czego zacząć – westchnęła.

Ten rumianek to był dobry pomysł. Poczęstowała się napojem.

– Lepsza byłaby wódka, ale ciebie to by rozłożyła raz-dwa. Nie masz głowy do picia.

To prawda, pomyślała. Po ostatnim razie, gdy Salomea na uspokojenie poczęstowała ją alkoholem i jeszcze wcisnęła do ust valium, Ksawery musiał odnieść ją do domu.

– Może zacznę od Ksawerego Groma. Pamięta go pani?

– Ja pierdołę! – ryknęła, uderzając dłonią w stół. – Matylda! Mówiłam ci, żebyś trzymała nogi razem! Wszystkie baby wyskakują przy nim z gaci! Niczego cię nie nauczyłam?! Nie pieprzysz się z facetami, z którymi pracujesz! Nigdy! Ucz się na moich błędach!

– Naprawdę myśli pani, że szukałabym u pani porad w sprawach sercowych? – zirytowała się Matylda. – Przez pani łóżko nie przewinął się chyba tylko szympans, więc niech mi tu pani jednego Ksawerego nie wytyka. I nie spałam z nim! Nadal jestem mężatką!

– No proszę, widzę, że nie dajesz sobie w kaszę dmuchać – pochwaliła ją Salomea.

– Pensjonarską naiwnością daleko nie zajadę, ale ta drobnomieszczańska mentalność by mi się przydała. Nie wpakowałabym się w kłopoty. Arkady Szumski. Zna go pani? – spytała.

– Oczywiście, że znam – prychnęła. – Pracujesz dla niego?

Gdy Matylda niechętnie przytaknęła, stwierdziła:

– Mogłaś trafić gorzej. Jak będziesz wobec niego lojalna, dobrze zapłaci i włos ci z głowy nie spadnie. To stara szkoła. Dbą o swoich.

Wspaniale, Matylda. Właśnie tego było mi trzeba. Hymnu pochwalnego pod adresem faceta, który zniknął ludzi, a w piwnicy prywatnego domu ma zestaw do waterboardingu. Ławeczka, wiadereczko i szlauch z wodą. Nie ma to jak podtapianie konkurencji w wolnym czasie, pomyślała zgryźliwie.

– Jakim cudem wpadłaś w jego łapska? To nie twój świat!

– Niestety, nie miałam możliwości odmowy, kiedy Ksawery wmanewrował mnie w sprawę dla Szumskiego. – Nie chciała wszystkiego zwać na Groma, ale taka była prawda. Gdyby nie on, nigdy nie spotkałaby bossa półświatka i nikt by jej nie zastraszał. – Na spotkanie z Wujkiem jechałam z czarnym workiem na głowie, a nikt mnie nie pytał, czy mam na to ochotę.

No nie do końca tak było, sprzeciwił się głos. Wyraziłaś zgodę.

Bo nie znałam wszystkich okoliczności!

Fakt, nie słyszała wcześniej o Szumskim, przytaknął głosik.

– No to chujnia. – Salomea powtórzyła jedno ze swoich ulubionych słówek.

Nie wyglądała jednak na zmartwioną powiazaniami Matyldy. Jak na byłą policjantkę miała bardzo luźne podejście do tego, co legalne, a co nie.

– Nie chcę cię raczyć mądrościami ludowymi w stylu, jeśli wlaźłaś między wrony i tak dalej, bo to już sama wiesz.

– Bardziej adekwatny byłby tu Żeromski i jego *Rozdzióbią nas kruki i wrony...*

– Jak już coś na ciebie ma, to nie wychylaj się. Postaraj się być jak najmniej użyteczna, to sam wywali cię na zbity pysk.

– Sprawa, którą aktualnie się zajmuję, może nie do końca pójść po jego myśli...

– Powiedziałam „nieużyteczna”, a nie że masz podstawić mu nogi!

– Pani Salomeo, nic mu nie podstawiam w tej sprawie, bo dostanie, co chce, ale sprawiedliwość jakaś też musi być.

– Czyli jak zwykle kombinujesz. Nie wiem, co ci doradzić, jednak nie radzę z nim pogrywać. Praca detektywa to nie bajka. Nieraz trzeba naginać rzeczywistość do swoich potrzeb. Szumski to szara eminencja półświatka. Cieszy się szacunkiem. Nigdy nie siedział. Stara gwardia wie, kim jest. Nigdy nic na niego nie nazbieraliśmy. Przynajmniej nie tyle, by go zamknąć. Nawet akt oskarżenia do sądu nie dotarł. Zatrudniał zawsze najcwańsze papugi. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, ale żadna do Wujka. Jeśli chcesz wystąpić przeciw niemu, nie radzę. Ci, co próbowali, zapadli się pod ziemię. Nie działa sam. Ma za dużo kontaktów, pośredniczy między różnymi grupami, zadrzyj z nim, zadrzesz i z nimi – ostrzegła ją. – Nie będziesz znała dnia ani godziny, gdy śmierć zapuka ci do drzwi.

– Nie zamierzam na niego donosić – odpowiedziała spokojnie. – Domyślałam się, że wiedziałby o tym sekundę później, gdy tylko wpadłaby mi do głowy tak niedorzeczna myśl. Ale może pani po prostu odpowiedzieć mi na kilka pytań, a skomentować dopiero na końcu?

– Wal!

– Czy Wujek ma jakiegoś zastępcę?

– Możliwe. Może nawet na pewno, ale nigdy nie obilo mi się o uszy żadne nazwisko.

– Kto byłby w stanie zastąpić Wujka, gdyby ten nagle kipnął? Wpadł do studni albo pod samochód? Orientuje się pani w tej ichniej hierarchii?
– spytała, nadal nie będąc przekonaną, na ile chce wtajemniczyć byłą szefową w swój z grubsza zarysowany plan.

– Kto by mógł? – Salomea zabębniła palcami o poręcz fotela. – Nikt. Ponad trzydzieści lat piął się w górę, dbając, by być niezastąpionym, i jest. Ale masz rację, wiecznie żył nie będzie. Może szykuje kogoś na

swoje miejsce, tylko że ja jestem zbyt długo poza obiegiem, by to wiedzieć.

– Teoretycznie powstanie czarna dziura, gdyby go zabrakło?

– Teoretycznie tak, chociaż nie sądzę, żeby Szumski do tego dopuścił. To nie byłoby w jego stylu. Na pewno ma jakiś plan. Gdyby jednak się okazało, że nie ma, to czeka nas apokalipsa. Takich, co by chciało wejść w jego buty, jest kilku.

– Czy któryś z nich miałby szansę?

– Szansę? Na pewno. Ale Szumski kilkadziesiąt lat budował kontakty. Tego nie da się tak po prostu zrobić od zera. To nie tylko negocjator i pośrednik. Klient potrzebuje snajpera? Proszę bardzo, Szumski na pewno jakiegoś zna. Potrzebujesz nowej nerki? Już się robi. Operacja w toku. Musisz zniknąć? Nowa tożsamość czeka za rogiem. Oszukali cię w interesach? Wujek zna kogoś, kto zna kogoś innego, kto wystawi, kogo trzeba. To sieć przysług, zależności, informacji. Tego nie da się tak po prostu przejąć.

Matylda rozważała w myślach jej słowa.

– Hm... Czyli... gdyby... ktoś miał to przejąć, Wujek musiałby tego kogoś przygotować?

– Przygotować? O tak, ale takie przygotowania to lata współpracy. Jak to sobie wyobrażasz? Wujek kaput, a tu wyskakuje jakiś filip z konopi i mówi wszystkim: „Jestem nowym Wujkiem”, a gangusy skaczą z radości i klaszczą? To tak nie działa.

– Hm... czyli... nie dałoby się tego zrobić tak, by nikt nie wiedział, że następca tronu przygotowuje się do przejęcia władzy?

– Teoretycznie nie, praktycznie... – zawahała się. – Mówimy o Wujku. Założmy, że zlecił ci zadanie do wykonania.

– Bo zlecił.

– Zna cię na tyle, by wiedzieć, że coś będziesz kombinować.

– No... właściwie...

– Uwzględnił to w swoich kalkulacjach, dokładnie tak, jak ja to robiłam w czasach, gdy dla mnie pracowałeś. Gdybym powiedziała ci, że

chcę uwalić swoich wspólników, bo zniszczyli mi życie, pomogłabyś mi?

– Oczywiście.

– A gdybym powiedziała, że aby to zrobić, musisz podciąć gałąź, na której siedzę?

– Próbowałabym znaleźć lepsze rozwiązanie.

– Właśnie. Dałam ci zadanie do wykonania, wydałam polecenia, o których wiedziałam, że ich nie wykonasz i zrobisz coś wprost przeciwnego, czyli dokładnie to, czego potrzebowałam. Dałam ci narzędzia i pozwoliłam ich użyć. Jeśli sądzisz, że to ty wkręcasz Wujka, to jesteś w błędzie. Wyprzedza cię o pół stadionu.

– Czyli efekt końcowy, do którego mam doprowadzić, może stanowić część jakiejś większej układanki?

– Być może nawet innej. Efekt motyla. Wiesz, o czym mówię? Motyl pierdnął w Chinach, a na Alasce pojawiło się tornado. To jak domino. Popychasz jeden klocek, ale nie wiesz, gdzie kończy się układanka. Wujek to wytrawny gracz.

To mogłoby wyjaśniać sprzeczne informacje, które otrzymuję, pomyślała Matylda.

– Nie jesteś głupia, dziewczyno, jednak lepiej nie dociekać, o co naprawdę chodzi temu facetowi. Niewiedza jest błogosławieństwem.

– Sporo pani o nim wie jak na kogoś, kto go nigdy nie poznał.

– Legenda robi swoje, a w tym wypadku wartość Szumskiego nie jest przereklamowana. Żeby cię puścił, musi uznać, że jesteś nieprzydatna. Bycie nieprzydatnym a zawalenie mu operacji to nie to samo, rozumiesz, dziewczyno?

– Aż za dobrze – uśmiechnęła się smutno. – Bez względu na to, czy Szumski to geniusz, czy zwykły bandzior, wszystkiego w głowie nie trzyma. Więc gdzie?

– Nawąchałaś się kleju? Chcesz go obrobić? Nie pożyczysz na tyle długo, by mieć taką szansę. Ocipiałaś kompletnie?! Masz skłonności samobójcze?! To skacz! – Dramatycznym gestem wskazała jej okno balkonowe. – Dziesiąte piętro! Dłużej będziesz lecieć, niż umierać!

Spadochroniarze wiedzą, co robią. Nie ma co zbierać! Będzie szybciej i humanitarniej, niż podpaść Szumskiemu!

– Podobno mokra robota nie jest w jego stylu.

– Ludzie z jego otoczenia znikali i będą znikać. Nie jesteś chyba tak naiwna, by wyobrażać sobie tropikalną wyspę, na którą wysyła niewygodne dlań osoby, by mogły się pławić w promieniach słońca? To, że nigdy nikt go z niczym nie powiązał, to nie niewinność!

– Nie zamierzałam go obrobić...

Tego akurat nie była tak do końca pewna. Mrówce ciężko będzie wytłumaczyć, że się nie da i już. Trzeba załatwić to od innej strony.

– No myślę!

– Załóżmy, że Szumski nie żyje. – Zaczęła rozważać kolejny scenariusz.

Zamierzasz go stuknąć? – Głos był tak zaskoczony pomysłem, że zapiszczał cieniutko jak wypisz wymaluj głosik, który tym razem wydał z siebie tylko jakiś dźwięk, jakby dławiał się własnym językiem.

Zignorowała diabelskie podszepty. Oczywiście, że nie zamierzała nikogo zabijać. Chciała tylko być wolna i bezpieczna.

– Kto byłby zainteresowany zajęciem jego miejsca?

– Każdy.

– Kto najbardziej?

– Wszyscy. – Salomea uśmiechnęła się ironicznie.

– Rozumiem. Wszyscy pragną Żelaznego Tronu.

„Gra o tron”? Naprawdę. Jelita skrzyły jej się jak w paroksyzmie śmiechu. To mogła być też wina rumianku.

– Kto ma smoki?

– Po co ci te informacje? – Salomea już się nie uśmiechała. – W jaki pierdolnik wdepnęłaś, dziewczyno?

– W spory – przyznała się, postanawiając wyjawić prawdę. Komuś musiała. – Dziś zostałam porwana przez niejakiego Mrówę. Otrzymałam

kolejną propozycję nie do odrzucenia. Chce mieć kontakty Wujka. Mam je zdobyć albo już po mnie.

– Ja pierdolę! Powiedziałabym, żebyś trzymała się od niego z dala, ale już za późno!

– Żeby pani wiedziała.

– Tylko grozi czy też płaci? – spytała rzeczowo jej mentorka.

– Jedno i drugie. Grozi i płaci.

– Jak oni wszyscy... Ale chujnia... – mruknęła znowu.

Wyraźnie biła się z myślami. Jeśli Matylda liczyła, że tamtą nagle coś oświeci i sprzeda jej gotową receptę na rozwiązanie wszystkich bolączek tego świata, pomyliła się. W swojej karierze Salomea kilkakrotnie miała do czynienia z klientami, z którymi do czynienia mieć nie chciała, lecz taki kaliber nigdy nie przekroczył progu jej biura. Należenie do gwardii dawało jej pewną przewagę nad detektywem, który był zwyczajnym cywilem. Nie miał za sobą środowiska policyjnego. Pozostawał sam na placu boju. Może dlatego Matyldę spotykały te wątpliwe przyjemności? – pomyślała teraz. Nie miała za sobą chroniącego jej dupę zaplecza.

– Trudno uwierzyć, że ten Mrówa odważył się wystąpić przeciw Szumskiemu – stwierdziła, nadal zdumiona, po kilku minutach milczenia.

– Twierdzi, że Wujek umiera. Nowotwór – odparła krótko Matylda.

– To by wiele wyjaśniało – odrzekła Salomea. Wstała i podeszła do komody.

Wyjęła z szuflady piersiówkę i golnęła spory łyk.

Matylda nie skomentowała. Sama chętnie by się upiła, gdyby to mogło pomóc.

– Doszły mnie słuchy, że Szumski w przyspieszonym tempie legalizuje część swojej działalności. Zabezpiecza rodzinę i przyjaciół. – Salomea zakręciła piersiówkę i wrzuciła na powrót do szuflady. – Coś w tym może być. Czego dokładnie chciał Mrówa?

– Kontaktów Szumskiego. Sądzę, że chodzi raczej o materiały do szantażu.

– Nierealne – odparła bez zastanowienia. – Nie dasz rady ich zdobyć. Jesteś najwyżej wyrobnikiem na zlecenie. Potrzebny ci ktoś z wewnętrznego kręgu.

– Ksawery? – zasugerowała niepewnie.

Cały czas biła się z myślami, czy poprosić go o pomoc, tylko co miałby zrobić? Wujka nie zdradzi, Mrówce nie podskoczy.

– Za wysokie progi nawet dla niego, ale próbuj. To porządny chłop.

– Wujka nie okradnie.

– No nie – przyznała tamta. – Musiałabyś mieć cipkę ze złota, żeby go przekonać, a i to nie ma gwarancji, choć w gruncie rzeczy nie wiem. Co za chujnia – powtórzyła. – Prędzej spodziewałabym się dekapitacji niż tego, że wpakujesz się w taką...

– Tak, wiem. Dziękuję za uświadomienie mi sytuacji. Jakbym nie leżała kilka godzin zamknięta w trumnie, obawiając się, że to nie żadna ściema, tylko najprawdziwsze pochowanie żywcem! Nie chcę więcej takich atrakcji. Gdybym potrzebowała wrażeń tego kalibru, skoczyłabym na bungee.

– Rany, co za sarkazm. Nie uratuję cię, dziewczyno, ale powiem tak. Lepiej pogrzyść Mrówę niż Wujka. Na twoim miejscu powiedziałabym mu o tym i siedziała cicho jak mysz pod miotłą, czekając, aż Szumski ogarnie konkurenta.

– Wolałabym nie mieć wobec niego długu wdzięczności za to, że uratował mnie przed nim samym. Muszę się wydostać z tego bagna, nim ugrzęznę w błocie na dobre – odrzekła Matylda. – To nie będzie miało końca. Jeśli napuszczę Wujka na Mrówkę, wdepnę w to środowisko jeszcze mocniej. Kto jeszcze może sięgnąć po Żelazny Tron?

Salomea pokręciła głową, ale po mimice widać było, że była szefowa rozważa różne możliwości.

– Musiałabym popytać kogoś, kto jest bardziej na bieżąco, ale na pewno Podkowa.

– Kto to?

– Ma kilka klubów, zarabia głównie na panienkach. Dość agresywny, poszerza działalność. Lombardy. Nieruchomości. Deweloperka. Trzymaj

się od niego z daleka – poradziła.

– Nawet nie wiem, gdzie go znaleźć.

– I tego się trzymaj.

– Byłby zainteresowany kontaktami Wujka?

– Jak każdy, ale przecież ich nie zdobędziesz.

– Pewnie nie, tylko że oni tego nie wiedzą.

– Matylda, Podkowa nawet nie wie, że istniejesz. Zapewniam cię, że w twoim interesie jest, by tak pozostało. Sama musiałam iść na ustępstwa i powiem ci, że to zawsze odbija się czkawką. W najlepszym razie moralną. W najgorszym będziesz prosiła, żeby obcięli ci palce, a nie głowę!

– Pani Salomeo, dowie się pani, kto jeszcze jest na tyle dużym graczem, by stanąć na ringu?

– Czy ty słyszysz, co mówię?

– Słyszę, słyszę. Dowie się pani?

– Ni chuja! Nie pomogę ci popełnić samobójstwa!

– Nie zamierzam, jednak muszę z tego wybrnąć, a mam tylko jeden pomysł, jak to osiągnąć. Spróbuję napuścić ich wszystkich na siebie, ale żeby to zrobić, muszę wiedzieć, kto z kim i gdzie, rozumie pani?

Salomea zamruła powieką jednego oka. Drugie patrzyło na nią puste i nieruchome.

Dostała wylewu? – nieśmiało zasugerował głosik.

– Czy ja dobrze słyszę? Co zamierzasz zrobić? – spytała po chwili drżącym głosem.

– Dziel i rządź – odpowiedziała już mniej pewnie Matylda.

Jeszcze przed chwilą pomysł wydawał się doskonały. Sądziła, że problem będzie tylko z realizacją, lecz to jedynie kwestia znalezienia odpowiedniego sposobu.

– Myślisz, że kim ty jesteś? Machiavellim?

– Kwestia Wujka rozwiąże się samoistnie albo i nie, ale Mrówka się nie odczepi – powiedziała zdecydowanie. Co do tego nie miała

wątpliwości.

Problem nawet nie w tym, że się nie odczepi, tylko że ja nie jestem w stanie wykonać tego zlecenia, bo jak? Nie mam dojścia. Jedyne, co mogę zrobić, to odwrócić uwagę od siebie.

– W życiu nie słyszałam większej głupoty. Porywasz się z motyką na słońce, dziewczyno.

Matylda nie zdążyła skomentować tej uwagi, gdy jej była szefowa pochyliła się ku niej i zapytała z zaciekawieniem:

– Masz jakiś pomysł, jak to zrobić?

– Rozważałam wystawienie na licytację rzekomych kontaktów, ale póki Szumski żyje...

– Sam gotów je wykupić na wszelki wypadek i dorwać sprzedającego.

– Czyli mnie.

– Albo wynająć kogoś, żeby znalazł zdrajcę w jego szeregach.

– Czyli też mnie, żeby znalazła siebie.

– Zatem nie masz pomysłu.

– Pomysły jakieś mam, brak mi tylko planu realizacji. Dlatego chcę ich na siebie napuścić.

– I jak zamierzasz to zrobić, nie ściągając na swoją głowę nieszczęścia?

– Gdyby Mrówka sądził, że Podkowa jest protegowanym Wujka, a Podkowa uznał, że powiedzmy jakiś Sznurek czy Śmietana, czy ktokolwiek inny nim jest, zajęliby się sobą, a nie mną...

– Teoretycznie.

– Oczywiście łatwiej byłoby to przeprowadzić, gdyby Wujek już nie żył i nie mógł zdementować plotek, ale na ile będzie wiarygodny, zaprzeczając? Skoro tyle lat nie ujawnił istnienia ewentualnego następcy, to...

– Prędzej czy później przestaną się napierdalać i zaczną rozmawiać. Odkryją, że to podpucha, i zaczną szukać osła ofiarnego.

– Kozła.

– Patrzę na osła. Wiem, co widzę, i wiem, co mówię. – Salomea ponownie podeszła do szuflady. Tym razem nie poprzestała na łyku. Osuszyła piersiówkę do samego końca. Otarła usta i wygłosiła oświadczenie, które najbardziej zaskoczyło ją samą: – Jebać emeryturę. Wchodzę w to.

Matylda sapnęła zaskoczona, ale pojawiło się malutkie światełko w tunelu.

– Naprawdę? Zdeptała pani z ziemią każdy mój pomysł.

– Bo są do dupy.

– Na tym etapie, dlatego że mam za mało informacji – odpowiedziała butnie.

– OK, co trzeba zrobić?

– Na początek potrzebuję listy ewentualnych pretendentów do tronu.

– Pogadam z kimś z CBS, oni są na bieżąco. Tylko najczęściej brak im dowodów. Namiary będą mieć.

– Nikt nie może wiedzieć, po co to – ostrzegła.

– Dzięki, miss Bond, bez ciebie bym na to nie wpadła. Potrafię zdobywać informacje. Lepiej powiedz, jak zamierzasz rozpuścić te plotki.

– Nie wszystko naraz. Zacznijmy od jednej rzeczy. Reszta przyjdzie sama.

– Nawet koza do woza sama nie przyszła, tylko na sznurku ją przyciągnęli, ale dobra, kombinuj, mała, może coś z tego będzie – powiedziała z wesołym błyskiem w oku Salomea. – Coś jeszcze? Może namiary na kilku speców od mokrych robótek?

– Nie stać mnie, jak sądzę – odparła pogodnie Matylda. – Ma pani maszynkę do włosów?

*

Emerytowany komisarz Tomczak spojrział z niechęcią na Mizere.

– A ta tu czego znowu szuka? – spytał gderliwie, gdy zastał ją siedzącą na schodach przed biurem detektyw Dominiczak.

– Pani Matylda prosiła, żeby pan przekazał dla Antka i dla mnie kilka telefonów i nieużywane karty SIM.

– Mnie tam pani Matylda o nic nie prosiła – gderał, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu kluczy do biura. – A jak ta ona chce karty SIM, to niech se sama kupi. W każdym kiosku są.

– Pan, panie Tomczak, to jest nieużyty cham i gbur! – wkurzyła się Mizera.

Spędzili z Antkiem niemal godzinę na debacie, czy plan Matyldy jest dobry, czy też nie. Skuteczny czy nieskuteczny. Legalny czy feralny. I za nic nie mogli dojść do porozumienia. Jak przekonała Antka, że nie mają czasu na obmyślanie innych działań, to sama zaczynała się wahać, czy przypadkiem ich mała dywersja się nie wyda. Wówczas oboje będą mieli przesrane. Na razie przesrane miał tylko Antek. I kiedy oboje doszli do tego samego wniosku, że innego wyjścia nie ma, wóz albo przewóz, Antek nagle spytał, czy jest pewna. A ona zamiast odpowiedzieć, że tak, zawahała się chwilę. I wówczas on też zaczął się wahać, i wszystko zaczęło się od nowa.

– Może i cham, i gbur, ale na pewno nie niewyżyty – odparł gniewnie.

– Nie powiedziałam „niewyżyty”, tylko „nieużyty”!

– To znaczy, że niby jaki?

– Bezużyteczny!

– Pani Matylda jest innego zdania. Mam misję specjalną do wykonania, więc niech mnie nie obraża!

Tomczakowi w końcu udało się otworzyć drzwi i wejść do biura. Wyłączył alarm i odwrócił się, by zamknąć drzwi, gdy zauważył, że policjantka nadal tam stoi. Patrzy wyzywająco, z rękami skrzyżowanymi na piersi, i jeszcze tupie nogą! Na niego!

– Jak pani Matylda do mnie zadzwoni, to dam, a jak nie zadzwoni, to nie dam – burknął, próbując zatrzaskać drzwi.

Kaśka była szybsza. Naparła ramieniem, wsunęła stopę między drzwi a futrynę i wycedziła:

– Ty wredny dziadygo! Antek może wylecieć z roboty, a ty pomocy odmawiasz koledze?!

– Wylecieć? On? Ona myśli, że jestem niewyżyty i głupi? Grabik nie da go ruszyć!

– Osobiście wysłał go na bezpłatny!

– Ożeż kurwa jego mać i wszyscy święci! Podpadł Oszczymurkowi?

– Jeszcze jak! Matyllda mu pomaga, ja mu pomagam, ryzykując karierę, a pan co?! Fochy strzela jak rozkapryszona primadonna!

– Z tą karierą to niech ona nie przesadza. W końcu się rozmnoży i przy garach będzie stać jak one wszystkie. Myślą, że jak są w budżetówce, to mogą się namnażać jak króliki i wciąż etat blokować!

– Ty zjebany mizoginie! – syknęła.

– No, no, tylko bez takich!

Tomczak trochę za późno zreflektował się, że przesadził, ale jakoś nie potrafił jej darować, że go zastąpiła. Do tego w miesiąc uporała się z jego sprawami, nawet tymi, które wcisnął na dno szafy, bo pogubił zeznania świadków. Stał się pośmiewiskiem kolegów, jakby już wcześniej z niego nie pokpiwali.

– Ja tam nikomu do łóżka nie zaglądam, więc niech ona też się nie czepia! Od zбочzeńca będzie mnie wyzywać! Patrzcie ją!

– Mizogin to nie zбочzeniec. To mężczyzna, który nienawidzi kobiet, ty... ty... – Głupku! – chciała krzyknąć, ale pohamowała się w ostatnim momencie. Obrażanie starszych ludzi nie było na miejscu tak samo jak nękanie, ale to drugie miało posłużyć w dobrym celu, a w pierwszym przypadku dałaby tylko upust niskim instynktom. – Ty... ty... ofiaro losu! – dokończyła więc tylko, ale już z mniejszą werwą.

– Zgłupiała do reszty? – spytał zaskoczony. – Jak ja bym miał pracować dla pani Matylldy, jakbym był ten jogin czy ofiara? Głupia koza – stwierdził z niesmakiem. – Ludzi obraża, a nawet nie wie, co klepie. Ja tylko tej onej nie lubię, a nie wszystkich kobiet.

– A co ja takiego panu zrobiłam, co? – Ujęła się gniewnie pod boki, ale stopy nie zabrała. Stary pierdoła gotów zatrzaskać jej drzwi przed nosem.

– Jeszcze się pyta? Moje sprawy zabrała? Zabrała. Rozwiązała? Rozwiązała.

- I o to się pan gniewa?! Zdurniał pan?
- O to nie, ale o to, że po ludziach rozgadała, to już tak!
- A co niby rozgadała, co?!
- Żem miernota milicyjna!
- Policyjna – poprawiła go automatycznie. – I nic nikomu nie gadałam, tylko kombinowaliśmy z Antkiem, jak te pogubione przez pana dokumenty ogarnąć i sprawy zamknąć, żeby smród się za panem nie ciągnął! Ale miernotą nigdy pana nie nazwałam!
- Jak nie ona, to kto?! E?!
- Franka pan kojarzy?
- Kojarzę, a co? Niejedno piwko my obalili.
- Część pańskich spraw to on dostał!
- Ktoś musiał!
- Jasna cholera – zaklęła już ciszej. – Niech pan ruszy tym pustym łbem. Skoro to nie ja i nie Antek, bo kryliśmy panu dupę, to...? No? Kto jeszcze zapoznał się z pańskimi niedoróbkami, co?
- Nie może być – stwierdził. – To kolega.
- Kanalia, nie kolega. Antek mu dopiero pysk zamknął, kiedy przypomniał wszystkim, że mu pan życie uratował, i w świetle księżyca w ciemnym lesie z odległości kilkudziesięciu metrów bandziora ustrzelił, a Franek przez całe życie broni na służbie nie użył! Marecki powiedział, że pan to jesteś glina starej daty, wyjadacz terenowy, a on to biurwa, a nie glina, i wolałby sam się w stopę postrzelić, niż liczyć na jego wsparcie!
- Tak powiedział? – Tomczak wreszcie spuścił z tonu. – No prawdę powiedział. Udał mi się tamten strzał jak mało kiedy. – Naprężył klatkę piersiową i zerkając na Kaśkę krzywo, bo przecież urazy, choćby niesłusznej, nie da się tak od razu w niepamięć puścić, upewnił się: – Więc to nie ona?
- Nie ona – odparła stanowczo.
- Przysięga na szmatę?
- Mogę i na szmatę przysiąc – zapewniła. Jaka, kurde, szmatę?!

– To niech wyciąga i przysięga! – zażądał.

Po chwili do niej dotarło, że stary zgred każe jej przysięgać na odznakę policyjną!

Odznakę nosiła zawieszoną na szyi pod bluzką, więc po prostu wyjęła ją i powiedziała uroczyście:

– Przysięgam. Na szmatę – dodała jeszcze, czując się jak idiotka, ale co tam! Niech stary się ucieszy! I da te pieprzone karty i telefony!

– Dwa palce trzeba przyłożyć i na jednej nodze stanąć. Inaczej się nie liczy.

– Kurwa, panie Tomczak, przegina pan! – warknęła.

– Dobra, niech jej będzie. Przyjmuję przysięgę i odpuszczam jej wszystkie winy w niepamięć. – Odsunął się od drzwi, pozostawiając je otwarte, i kołyszącym się krokiem napranego marynarza ruszył do gabinetu Matyldy.

Wreszcie, pomyślała z ulgą, weszła za nim i zamknęła drzwi. Tomczak wyjął z jednej szuflad biurka karton, w którym znajdowało się kilka telefonów komórkowych. W większości były to stare modele, pewnie kupione w lombardzie za kilka złotych, ale ważne, by były sprawne.

– Ile tego chce?

– Dwa wystarczą.

– Dobra. A kart?

– Cztery?

– Dobra. A powie mi jeszcze, za co Antek może polecieć?

– Za Dębskiego – odpowiedziała.

– Jebany zboczeniec! – zaklął.

– Coś pan wie? – zapytała, nawet nie kryjąc zaciekawienia.

– Nic, ale jak ktoś lepi babeczki na podobieństwo lalki Barbie, to musi mieć niezłe zryty dekiel.

– I do tego to kumpel Obszmurka – dodała czując, że wreszcie nawiązują nić porozumienia.

– Jebaniutki prorok! Zawsze wiedziałem, że to menda, jakich mało, ale żeby swoich udupiać, to trzeba być niezłym zjebem! Nic dziwnego, że krakersy¹ go nie trawia! Truka², że najważniejsze dla niego jest prawo, a ja się pytam, gdzie tu miejsce na sprawiedliwość?! – Walnął pięścią w biurko.

– Panie Tomczak...

– I ona mówi, że Antkowi pomaga? – Spojrzał na nią zaczerwienionymi oczami.

– No mówi.

– To w takim razie Staszek jestem. Nie żaden Tomczak. – Wyciągnął rękę, którą komisarz Mizera z lekkim wahaniem uścisnęła. Nie wiadomo, gdzie ją wcześniej trzymał, na szczęście nic się do dłoni nie przykleiło.

– Kaśka – powiedziała.

– Dobra. Jakby co jeszcze potrzebowała, to niech wali jak w dym.

– Dziękuję, panie Staszku. – Sam Staszek jakoś jej nie chciał przejść przez usta. – Ale pani Matylda już nam pomogła.

Chyba. Mogła też wpakować nas na minę. Okaże się.

– No, fest babeczka jest – przyznał. – Dobra, to ja muszę lecieć na ten jebany bankiet. Bierze, po co przysła, i idzie, bo drzwi muszę zamknąć.

Ze zdumieniem spojrzała na sumiaste wąsy z okruchami placka z truskawkami lub żurawiną. Trudno było stwierdzić, ale zważywszy na porę roku, stawiała na truskawki. Przy flanelowej koszuli w kratę, z plamą na kołnierzyku, brakowało jednego guzika. Tego na środku brzucha. Spodnie wprawdzie były czyste, za to kanty krzywo zaprasowane. Białe adidas pasowały do stroju jak pięść do nosa.

– Przepraszam, nie dosłyszałam, że gdzie pan idzie? Na balet?

– Bankiet – odparł, podkreślając sumiaste wąsisko.

– Bankiet... – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Ano bankiet – potwierdził z dumą.

– Znaczy, że gdzie?!

Dobrze, że Dominiczak go nie widzi, ale co? Ma do niej zadzwonić i donieść, że Tomczak to na dożynki idzie?!

– Nie wie, co to bankiet? – spytał gderliwie, biorąc jej zaskoczenie za dobrą monetę. – To takie zbiorowisko ludzi, którzy żrą i chleją na stojąco.

– Pani Matylda wysłała pana na bankiet?

– A czemu nie? Incognito będę.

– Ale... – zawahała się.

Jak mu powiedzieć, że w tym stroju nawet go nie wpuszczą, a jeśli jakimś cudem wejdzie, to prędzej go wywloką, niż pozwolą żreć i chlać na stojąco.

– Na obserwację jadę. Pod budynkiem będę siedział. Zdjęcia robił. A co? Nie każdy ma odznakę, żeby nią ludzi po oczach żgać. Niektórzy muszą myśleć! Główka pracuje! – Stuknął się kostkami palców w głowę. Dość niefortunnie, sądząc po grymasie, który przemknął mu po twarzy.

– A nie, nic. Jak na obserwację, to wszystko gra – zapewniła go pospiesznie.

Jeszcze wczoraj, ba!, jeszcze dwie godziny temu wydarłaby się na niego, że nikogo po oczach odznaką nie żga, tylko uczciwie służy społeczeństwu, teraz jednak jej postrzeżenie świata uległo zmianie. Może nie o sto osiemdziesiąt stopni, lecz i tak dość mocno. Z jednej strony jako policjantce było jej łatwiej, z drugiej trudniej, gdyż mniej jej było wolno. Takiej detektyw Dominiczak trudniej zdobywać informacje, bo więcej musi się nakombinować, ale zarazem łatwiej, pod warunkiem że nic się nie wyda.

– A czemu miałyby nie grać? – zdziwił się. – Przecież to nie pierwszy raz, tylko jak tam zaraz nie pojedę, to będzie ostatni. Mam misję specjalną. Jak zawalę, to pani Matylda wywali mnie na zbity pysk. W tym tygodniu podpadłem wprawdzie tylko raz, za to jak nic wyczerpałem limit na czerwiec. Bierze te telefony czy nie bierze?

– Oczywiście, że bierze – odpowiedziała, wciskając karty do kieszeni spodni, a aparaty po prostu trzymała w rękach. – A co to za misja specjalna?

– Tajna – uciął krótko. – A ona co będzie robić z telefonami?

– Nie mogę powiedzieć. – Chciała dodać, że to tajne, lecz zamiast tego odrzekła: – Lepiej nie wiedzieć, ale jak to nie pomoże Antkowi, to już nic nie pomoże.

Pokręcił głową, pociągnął nosem i sięgnął do kieszeni.

– Krówkę? – zapytał.

Z trudnością powstrzymała grymas obrzydzenia, jednak dopiero co zawarli przymierze.

– Jasne, czemu nie – odpowiedziała, przełykając ślinę.

– To poczeka na dole, bo mam w samochodzie – powiedział, wyjmując chustkę do nosa.

– To może innym razem – zaproponowała szybko. – Bardzo panu dziękuję, panie Staszku.

– A nie ma za co. Jak ona do mnie jak do człowieka, to i ja mogę do kobiety jak do człowieka – odpowiedział łaskawie. – A czemu by niby nie?

*

Salomea Gwint gapiła się pogrążona w ponurych rozmyślaniach na siedzącą na klapie sedesu Matyldę, u której stóp leżały ciemne włosy. Matylda niepewnie dotknęła głowy.

Jaka gładziutka, pomyślała zaskoczona. Ja czuję... skórę.

Jaka cieplutka, rozczuliła się, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

– Ja pierdolę – odezwała się bełkotliwie była szefowa.

– I jak, Salcia? Bardzo źle? – spytała niepewnie.

– Nie, no nie, wcale nieźle, powiedziałabym, że nawet całkiem nieźle. Gładziutka jak pupcia niemowlaka. Ładną masz czaszkę, dziewczyno – pochwaliła.

– Czaszka? Gdzie? – Rozejrzała się z lekką paniką.

– W głowie, Matylda, w głowie. Czy może na głowie. Tak dokładnie to nie wiem gdzie. Właściwie to wiem, tylko nie wiem, jak to wyrazić, żeby było zrozumiałe. Wiesz, o co mi chodzi?

– Wiem doskonale, Salcia.

Matylda spojrzała z żalem na dwustumililitrową buteleczkę. Na dnie uchowała się wiśniowa kropelka. Przechyliła flaszkę i spróbowała wcisnąć do wnętrza język, by choć szyjkę oblizać od środka, jednak już nic nie spłynęło do gardła.

– Rozumiem.

– Wiem, że mnie rozumiesz jak nikt. – Pociągnęła nosem. – Załatwimy ich rykoszetem, moja mała. Całe podziemie.

– Jestem gotowa na wszystko. – Matylda beknęła. – Ups, sorki, Salcia...

– Wrzuć na luz, dziewczyno. Taki dzień jak dziś nie zdarza się codziennie.

– No nie wiem... Już kilka razy jechałam w trumnie.

– No to masz wprawę, jakby coś poszło nie tak i cię stuknęli. Grunt to dobre przygotowanie.

– Myślisz, że nam się uda?

– Powiedziałabym, że marne szanse powodzenia, ale ruszamy! Jupiii! – wykrzyknęła piskliwie.

– Gdzie jest Ksawery? Wysłałam mu wiadomość godzinę temu, a jego jak nie było, tak nie ma – złościła się Matylda.

– Jebany! – zgodziła się z nią Salomea. – A odpisał ci coś?

– Nie wiem. Nie sprawdzałam – przyznała zawstydzona. – Wiesz, że alkohol źle na mnie działa.

– Wiem, słonko, ale na trzeźwo się nie dało. Jesteśmy specjalną jednostką do zadań specjalnych.

– Jest nas tylko dwie.

– Jak zrekrutujesz Groma, będzie nas trójka – wyjaśniła dawna szefowa, pokazując pięć palców.

– Nie wiem, Salcia, nie wiem, czy on na to pójdzie.

– Pójdzie, co ma nie pójść?

– On trzyma stronę Wujka.

– Jebany! – zgodziła się Salomea, lecz po chwili się sprzeciwiła: – Ale jak Wujka zabraknie, to nie będzie miał z kim trzymać. Musisz mu to tak wytłumaczyć, żeby zrozumiał.

– Salcia, lepiej, żebym mu dziś nic nie tłumaczyła. Nie jestem w stanie, bo jestem w stanie, rozumiesz mnie?

– Oczywiście, słonko. Nikt cię nie rozumie tak jak ja – zapewniła Matyldę.

– Dzwoni ktoś – powiedziała Matylda, przykładając telefon do ucha. – Halo! Halo? Salcia, to chyba twój...

– Nie, mój się rozładował. To chyba dzwonek do drzwi. Musimy otworzyć.

– Tak sądzisz? Czekał, mam jakąś wiadomość. Od Ksawerego. – Matylda odsunęła telefon. Litery jej się rozmazywały. Z daleka jakoś lepiej jej szło odczytywanie. – Napisał tak: „Matylda, już po ciebie jadę. Tylko nie daj się upić”. I dodał wykrzykniki. Aż trzy.

– Ależ on mnie zna – rozczuliła się Salomea. – Jebaniutki!

– To on nie wie, że już nie pijesz? – zdziwiła się Matylda, ponownie czkając.

– Niby skąd miałby wiedzieć? Nie widziałam go z rok.

– To może go wpuścimy?

– Myślisz, że to on?

– A umawiałaś się z kimś innym?

– Z tobą też się nie umawiałam, a jesteś.

– Masz rację. Powinam zadzwonić z większym wyprzedzeniem. Przepraszam.

– Ależ nie ma za co. Pomożesz mi wstać? – Wyciągnęła do Matyldy rękę. Drugą oparła się o umywalkę. Matylda, mimo że sama miała problem z zachowaniem równowagi, dzielnie utrzymała w pionie chwiejącą się Salomeę.

Obejmując się i wzajemnie podpierając, wytoczyły się z łazienki.

– Czekał! Muszę założyć włosy! Ksawery nie może mnie tak zobaczyć! – krzyknęła histerycznie Matylda.

– Pomogę ci – zaoferowała się jej nowa sojuszniczka, opierając się o komodę, skąd powyciągała spory zapas wiśniowych soplicówek, którymi upiła Matyldę. Ona sama wchłonęła orzechówkę, poprawiła rumem i na koniec znalazła w łazience niedokończoną butelkę whisky. – Tylko daj tę perukę, bo sama do niej nie dojdę.

Kurwa! Zaraz! – wydarła się w kierunku tego kogoś, uparcie dzwoniącego do drzwi.

– Przecież się, kurwa, nie rozdwoję! Mężczyźni, zawsze im się spieszy – zwróciła się do spitej Matyldy. – Wiesz, o czym mówię, nie? Za późno przychodzą, za wcześnie dochodzą – zachichotała.

– Nie robiłam tego z dwa lata, jak nie więcej – odpowiedziała ta szeptem, pochylając się, by szefowa mogła jej nałożyć perukę.

– To dziś masz okazję. – Salomea mrugnęła do niej konspiracyjnie i zachichotała.

– Ani słowa Ksaweremu! – syknęła Matylda. – Jak wyglądam?

– Pięknie, naprawdę pięknie, ale łyso wyglądasz tak źle, że nawet w rudym byłoby ci do twarzy. Nie zdejmuj włosów, dobrze? Obiecuj mi, że ich nie zdejmiesz – poprosiła.

– Obiecuję, Salcia, obiecuję, ale wpuśćmy go, bo zaraz rozwali drzwi. Chyba w nie kopie.

– Żebym ja go nie kopnęła – zagroziła jej była mentorka, odbijając się od komody.

Zatoczyła się. Matylda złapała ją, chroniąc przed upadkiem, po czym obie zakołysały się najpierw w lewo, potem w prawo, a następnie, chwiejąc się harmonijnie, ruszyły w stronę drzwi.

– Jebaniutki! – ucieszyła się Salomea na widok Ksawerego, który zmierzył obie zde gustowanym wzrokiem.

– Mówiłem, że masz nie pić! – huknął do Matyldy.

– Nic nie mówiłeś, bo z tobą o tym nie rozmawiałam. – Czknęła, zakaszła i dotknęła włosów.

OK, są na miejscu.

Tak trzymać.

Tego się trzymać.

Trzymać się. Po prostu się trzymać.

Salci. I futryny. Będzie dobrze.

– Pisałem!

– Za późno. – Uśmiechnęła się, kokieteryjnie okręcając włosy wokół palca.

– Godzinę temu pisałem! – huczał jak rozbuchany piec.

– Za późno... przeczytałam, ale za to mam plan.

– Jaki plan?

– Uderzeniowej grupy specjalnej – wybełkotała Salomea.

– Gotów? – spytała Matyllda.

– On zawsze jest gotów – zachichotała jej była szefowa. – Jebaniutki. – Poklepała go czule po policzku.

– Do wyjazdu – uściśliła Matyllda, puszczając swoją towarzyszkę, która wpadła na Groma i zawisła na nim bezwładnie.

– Narąbana jak messerschmitt – jęknął, okręcając ciało byłej zleceniodawczyni, by oprzeć ją o siebie plecami. Objął Salomeę, splótł ręce nad jej mostkiem i idąc tyłem, wciągnął ją do mieszkania.

– To przez to, że jest abstynentką – wyjaśniła Matyllda, nie odklejając się od futryny, dzięki której stała prosto. Chwiały się tylko biodra.

– Super, dobrze, że nie alkoholicką. Dopiero by się napruła! – odparł gniewnie, rzucając dawną szefową na sofę.

Ułożył ją w bezpiecznej pozycji, unieruchomił poduszkami i dopiero wtedy spojrzął na Matylldę, która robiła dziwne miny. Gdy jednak zauważyła, że na nią patrzy, uśmiechnęła się promiennie.

– Jak mogłyście tak się schlać w tak krótkim czasie!

– Właśnie dlatego. Dużo promili i tak mało czasu. Tak mało... – rozzaliła się.

– Odwiozę cię do domu. W tym stanie nie możesz nigdzie jechać – powiedział.

– Dlaczego nie? – zdziwiła się. – Przecież to ty prowadzisz.

*

Parking był wypełniony po brzegi. Dobrze, bo nikt nie zwróci na niego uwagi. Niedobrze, bo nie uda mu się zaparkować wystarczająco blisko wejścia, by obserwować kręcących się dookoła ludzi. Jego zdezelowane auto wyróżniało się wśród eleganckich, drogich samochodów, których marek nie znał, ale na bogatych ludzi i ich samochody miał alergię. Nic dziwnego, że wciąż kręciło go w nosie.

Zaparkował w najciemniejszym miejscu parkingu, jakie znalazł, i postanowił przeczekać. Groźby odczytają dopiero, jak wyjdą, miał dość czasu, by znaleźć samochód Dębskiego. Byłoby znacznie łatwiej, gdyby wiedział, jaki to model, ale pani Matylda nie wspomniała, a on nie pytał.

– Kurwa, Staszek, ale zjechałeś – szepnął do siebie i podrapał się po prosiącej o umycie siwej czuprynie.

Zabębnił palcami po kierownicy. Zadzwoić do szefowej czy nie zadzwonić? – wahał się. Zrabie go jak nic. Ale czy to byłby pierwszy raz? Powinna być przyzwyczajona. Z drugiej strony czy to jego wina? To ona zlecała, więc powinna dać mu kompletne materiały.

– Kurwa jego mać! – zaklął. – Trzeba było iść z Marianem na węgorki, jebana jego mać!

Przez najbliższą godzinę na zmianę użalał się nad sobą i walił pięścią w kierownicę, nieświadomy, że obserwują go dwie osoby.

– Jak na tajną misję zachowuje się dziwacznie – powiedziała Katarzyna, podając Antkowi lornetkę, przez którą obserwowała Tomczaka.

– Chwila, muszę zmienić karty. – Marecki wykonał już kilkanaście głuchych telefonów z jednego numeru do każdej z kobiet. Rozłączał się, gdy tylko usłyszał kobiecy głos. – I zamieniamy się. Teraz ty dzwonicz. Czuję się jak jakiś dewiant.

– OK, żaden problem, ale co on właściwie robi? Miał iść na bankiet, a siedzi w kącie parkingu w samochodzie. Nawet na chwilę nie wysiadł. Nikogo nie widzi.

– Może o to chodzi, by jego nikt nie widział. Masz. – Podał jej dwa telefony komórkowe, które położyła sobie na kolanach. – Teraz ty

dzwoniisz, a ja obserwuję.

– Ale numer! – zachichotała jak nastolatka. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak dobrze się bawiłam.

– Straszmy te kobiety – powiedział z niesmakiem Antek, mimo że sam podjął decyzję, by skorzystać z propozycji Matyldy.

– To będzie nasza tajemnica – zapewniła go Kaśka.

– Jedna płakała.

– Uratuję ją, jak tylko będę miała okazję – zapewniła go, odtrącając rękę, którą wyciągnął po lornetkę.

– Dawaj, moja kolej! – zbuntował się.

– Nie mogę, tam się coś dzieje...

– Nic nie widzę. – Wychylił się z za jej ramienia, próbując cokolwiek dostrzec, choćby sylwetkę Tomczaka.

– On się chyba podpalił... – sapnęła zszokowana.

– Dawaj! – Marecki wyrwał jej lornetkę i sam spojrział.

Tomczak skakał obok samochodu jak koczokodan w okresie godowym, wymachując rękoma niczym wielki ptak, a nogami zadeptywał coś, co leżało na ziemi, a co właśnie przestało płonąć.

– Kurwa! Kurwa! – Wściekły Stanisław nie wrzeszczał tylko dlatego, że gdyby ochrona go dopadła, to szefowa chyba go zabiła. Na bruku wiatr rozwiewał właśnie spalone skrawki przygotowanej przez Matyldę kartki z groźbami, którą komisarz miał wsunąć za wycieraczkę auta Dębskiego.

Co za jebany pech! Żar z papierosa spadł prosto na kartkę, a ta momentalnie zaczęła się tlić. Próbował dmuchać, by zgasić ogień, ale osiągnął efekt odwrotny do zamierzonego. Płonącą kartkę wyrzucił przez okno, by nie sfajczyć auta. Wysiadł z samochodu tak szybko, jak to tylko było możliwe, jednak w jego wieku nie wyskakuje się z jadącego pojazdu bez konsekwencji dla zdrowia, ze stojącego również, więc nim się wygramolił, kartka paliła się jasnym płomieniem, skręcając się i zmniejszając.

Usiłował zdeptać ogień, by ocalić choć część, ale wtedy z siedzenia zsunęła się obwoluta, w której znajdowała się karteczka z marką samochodu i numerem rejestracyjnym Dębskiego. Folia sfajczyła się jeszcze szybciej niż kartka.

Kurwa!!!! – wrzasnął bezgłośnie w niebo i by dać upust złości, kopnął kilkakrotnie w oponę samochodu. Swojego. Cudzego wolał nie ruszać. Mógł mieć zamontowany alarm.

– Co on wyprawia? – zdziwił się Marecki, oddając lornetkę Kaśce, która dźgała go łokciem w brzuch, usiłując na powrót przepchnąć Antka na dawne miejsce.

– Nie wiem, ale mówiłam ci, że będzie ubaw po pachy! – zachichotała, przejmując na powrót lornetkę.

– Ile razy zadzwoniłaś?

– Zero. Zaczniemy dzwonić około północy. W godzinie duchów będzie lepszy efekt. Jak już przestanę być policjantką, to zostanę detektywką – powiedziała takim tonem jak dziecko, które opowiada, kim będzie, jak dorośnie.

Tomczak zapalił kolejnego papierosa, już trzeciego w ciągu czterech minut, które upłynęły od spalenia zadania specjalnego. Zaciągał się łapczywie, siedząc w chmurze dymu. Myśl, Staszek, myśl. Najlepiej jak przestępca. Co byś zrobił, jakbyś był prześladowcą, który sfajczył warsztat pracy? Opuściłbyś?

Ni chuja.

Czyli działasz dalej. Ale jak?

Ogólnie nie jest źle. Markę zapamiętałeś. To najważniejsze. Musisz tylko od nowa zapisać groźby. Wrócić do biura i...

Kurwa! Jak wrócę, a oni w tym czasie odjadą?

Ni chuja, nie ruszę się stąd, postanowił.

Muszę zdobyć kartkę. I napisać groźby. Zaraz, zaraz, co tam było? Będiesz mój? Jesteś mój? Nie, tam ze dwa zdania były... Kurwa! Zgasił papierosa i sięgnął do schowka. Z notatnika wyrwał kartkę w kratkę. Długopisu nie miał, ale znalazł ołówek. Poślinił grafit i zamyślił się. Zdychaj, szmato? Nie, to nie było nic ordynarnego. Pani Matylda jakoś

ładnie to ujęła. Zdychaj, ściero? Tam w ogóle było coś o zdychaniu? Czy o dymaniu?

– A chuj z tym! – stwierdził gderliwie. – Co ja jestem? Jebany poeta?

Koślawymi literami napisał:

WYPIERDALAĆ

Kiepsko. Mało zrozumiale. Wypierdalać skąd? Stąd? Dokąd?

PIERDOL SIĘ

Jakoś tak zwyczajnie.

ODPIERDOL SIĘ

O, to już lepsze.

SZMATO

A może...

ZDZIRO

ODPIERDOL SIĘ ZDZIRO OD MOJEGO

Dobra. To będzie dobre. A teraz drugie zdanie...

BO CIE ZAROBIE

ZAROBIE

ZARĄBIE

ZROBIE

ZRĄBIE

Tomczak rozważał kilka ewentualności. W życiu kilka razy zdarzało mu się używać gróźb. Na przykład: „Zamknij mordę, ciulu!”. Albo: „Ryj, kurwa! Ryj!”. Czy też: „Bo własne zęby będziesz żarł, cwelu!”.

Doświadczenie jakieś miał, ale z przestępcami! Bogu ducha winnej kobiety nigdy nie straszył, bo niby po co?!

– A chuj! Groźba to groźba! Jebać to!

Wyjął ze schowka złożoną na pół kartkę papieru, którą ktoś włożył mu za wycieraczkę – pewnie jakaś reklama – i na czystej stronie, zerkając na

wcześniej poczynione notatki, nakreślił bardzo starannie, żeby pismo było czytelne.

WYPOPIERDOL ZDZIRO MOJEGO HŁOPA

ZAROBIE CIE JAK PSA

No, odetchnął z zadowoleniem i otworzył okno, przez które uleciała chmura dymu. Połowa roboty z głowy. Teraz tylko musi znaleźć czerwone audi, wsunąć kartkę za wycieraczkę i nagrać minę Dębskiego. To ostatnie może być niewykonalne na jasno oświetlonym parkingu, a i ciemność jeszcze nie zapadła. Dochodziła ledwo dwudziesta pierwsza. Musiał jeszcze uważać na kamery, ale już wiedział, jak oszukać czujne elektroniczne oko. Internet to bogactwo informacji. Folia aluminiowa skutecznie maskuje ciepło ciała. Będzie jak ninja! Niewykrywalni jak ci rabusie bankowi w Brazylii, ekscytował się w duchu zadowolony z pomysłu.

Gdyby emerytowany komisarz Tomczak doczytał artykuł do końca, wiedziałby, że zapakowani w folię aluminiową bandyci wprawdzie oszukali reagujący na podczerwień alarm, ale za to byli doskonale widoczni dla kamer monitoringu.

*

Matylda pochrapywała lekko z głową opartą o okno. Cieniutka strużka śliny wyciekła z kącika ust i spłynęła na szybę, a następnie na skórzane obicie drzwi. Ksawery tylko zacisnął zęby, jednak nie powiedział ani słowa. Jego pasażerka albo spała, albo była nieprzytomna. Tak czy siak, w tym stanie i tak nic by do niej nie dotarło. Po jaką cholere spotkała się z Gwint? – zastanawiał się, lecz póki Matylda nie wytrzeźwieje, on nie uzyska satysfakcjonującej odpowiedzi.

Z żalem pomyślał, że jego bmw X5 rocznik 2010 zostało sprofanowane przez śpiącą na fotelu pasażera kobietę.

Kolejny raz!

– Jeśli zwymiotujesz, wywalę cię do najbliższego rowu – zagroził Matyldzie.

Korzystając z jej stanu, postanowił wykonać kilka telefonów.

– Krzysio, wszystko gra? – spytał, gdy ochroniarz wyznaczony jako obstawa Wioletki odebrał po pierwszym sygnale.

- Nic się nie dzieje. Bankiet jak bankiet. Jeszcze nikt nie padł.
- Wątpię, by ktoś tam się uchlał. Nie ten rodzaj towarzystwa – odparł Ksawery.
- Może, ale kilku z nich bardzo się stara.
- Co robi Wioletka?
- Wącha sałatkę.
- Aha.... Tomek się odzywał?
- Nie, ale ma dać znać, gdyby coś się działo na parkingu. Póki co nic niepokojącego.
- OK, tak trzymajcie.
- Tak jest.

Matylda nadal spała jak zabita. Po chwili wahania wybrał na klawiaturze telefonu numer, który nie był zapisany w kontaktach.

- Grom. Zgadzam się. Szczegóły uzgodnimy po powrocie.

Odetchnął głęboko. Sądził, że powzięta decyzja będzie mu ciężka, jednak nie, było wręcz przeciwnie. Odetchnął pełną piersią, czując ulgę. Ma dwa dni na przekonanie Matyldy do pomocy. Szumski nie może dostać w swoje ręce ziemi Dębskich.

*

Skulony Tomczak przemykał między samochodami, choć przemykanie nie było adekwatnym określeniem jego sposobu poruszania się. Kręgosłup trzeszczał mu niemiłosiernie, stawy skrzypiały, dostał zadyszki. Przykucnął za jednym z aut, by złapać oddech. Za stary na to jestem, pomyślał ze złością. Starsi od niego biegali w maratonach, a on jak taka pokraka. Trzeba było tyle nie chlać! – zżymał się na siebie.

Gdyby wiedział, że obserwują go dwie pary oczu, nie wysiadłby z samochodu. Osłupiała Kaśka przyglądała się na przemian pojawiającej się i znikającej sylwetce Tomczaka. Ze zwisającymi po bokach rękami, zgarbiony, przemieszczał się wahadłowym krokiem, bardziej niż kiedykolwiek przypominając goryla. Krył się między pojazdami, podskakiwał, wyskakiwał, oglądał emblematy. Ewidentnie szukał konkretnego samochodu. Tylko dlaczego połyskiwał w ciemności?!

– Antek, dlaczego on tak błyszczy? – spytała ze zdumieniem.

– To czapka niewidka – odpowiedział zażenowany, że są świadkami blamażu dawnego kolegi. Tomczak miał coś na głowie, jednak Marecki nie potrafił określić, co to takiego.

W takiej chwili jak ta trudno pamiętać dobre chwile. Podczas wspólnej pracy było ich zresztą tak mało, że teraz nie mógł sobie przypomnieć żadnej z nich. Nawet noc, gdy Tomczak uratował mu życie, odeszła w niepamięć.

– Zgarnijmy go, zanim ochrona go zauważy – zdecydował. – Cokolwiek miał zrobić dla Matyldy, już zaważył.

– Nie wiadomo – sprzeciwiła się Kaśka, zafascynowana rozgrywającym się przed jej oczami spektaklem światła i cieni.

– Idę – powiedział.

– Nie! – złapała go za rękę. – Za późno! Gonia go!

Kurwa, jest! Olimpijskie kółka były charakterystyczne i niepowtarzalne. Kolor też się zgadzał. Czerwony! Gdyby był młodszy, odańczyłby taniec zwycięstwa. Wychynął zza auta jak surykotka i rozejrzał się dookoła. Nikogo nie było. Ostrożnie odchylił wycieraczkę i wsunął za nią kartkę.

Tak to się robi, gnoje! – powiedział sam do siebie, nie wiadomo pod którym adresem, nie wiedząc, dlaczego użył liczby mnogiej. Zadowolony, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, odwrócił się, by niepostrzeżenie przemknąć do swojego gracika. Najpierw wysika się w jakimś kącie, potem na spokojnie rozważy miejsca, z których mógłby nagrać Dębskiego.

Pech chciał, że nadepnął na zwisającą luźno sznurówkę. Stracił równowagę. By nie upaść, oparł się o samochód. Alarm zawył przeraźliwie, wywabiając z budynku kilku ochroniarzy, którzy w ułamku sekundy dostrzegli sprawcę zamieszania i pobiegli w jego kierunku.

– Ja pierdołę! Musimy zgarnąć go pierwsi! Jeśli Matylda będzie musiała zeznawać w sprawie Dębskiego, to ta dzisiejsza akcja spali jej wiarygodność! – krzyknął, wyskakując z auta.

Na szczęście Tomczak uciekał w ich stronę, więc dorwie go przed ochroną. Stary dureń miał dość rozumu, by nie biec do auta, nie miał

jednak szans dotrzeć do zaułka, w którym mógłby się schować. Ochrona była kilkadziesiąt metrów w tyle.

Kaśka, klnąc pod nosem, ruszyła za Mareckim, po czym wyprzedziła go i jak sarna pognąła do przodu.

– Policja! Zatrzymać się! – wrzasnęła do Tomczaka, który był tak zaskoczony, że przystanął i spojrzał na nią niczym oślepiiony reflektorami zając. Skorzystała z okazji, dopadła go jednym susem, powaliła na bruk i wykręciła rękę na plecy.

– Kurwaaaaa! – Z jego ust wydobyło się wycie.

– Morda na kłódkę! – krzyknęła Kaśka, wyciągając spod dzinsowej kurtki kajdanki, i sprawnie zatrzasnęła je na nadgarstkach starszego mężczyzny. – Morda! – Docisnęła mu głowę do bruku, by Stanisław przypadkiem jej nie wydał.

– Policja! Odsunąć się! – Marecki stanął przed ochroniarzami, blokując im dostęp do zatrzymanego.

– Próbował ukraść samochód! – zawołał jeden z goniących Tomczaka mężczyzn.

– Znamy tego gagatka. Nic nie kradnie, tylko dewastuje. Sprawdźcie opony. Jak są całe, to nic tu po nas. Zabieramy go! – powiedział stanowczo Antoni. – Do auta z nim! – polecił Kaśce.

– Tak jest, panie komisarzu! – huknęła ile sił w płucach. – Wstawaj, ciulu! – poleciła Tomczakowi, który leżał bez słowa i ani drgnął. Chyba nam nie wykorkował? – wystraszyła się, ale na szczęście komisarz zaczął się gramolić. Złapała go pod pachę i z jękiem pomogła mu wstać.

– Ani słowa! – syknęła mu do ucha. – Ratujemy pana!

– Proszę pokazać mi auto – polecił ochronie Marecki, chowając odznakę do kieszeni marynarki.

– Proszę za nami, panie komisarzu – odpowiedział jeden z mężczyzn.

Skinął głową na pozostałych, każąc im wracać do budynku. Przy wyjąłym samochodzie stał już właściciel, który ze zdenerwowania nie mógł sobie poradzić z wyłączeniem alarmu. Marecki wyjął mu z ręki pilota i nacisnął właściwy guzik.

– Wszystko gra? – spytał.

– Tak, samochód cały – odpowiedział ochroniarz. – Skąd się tu wzięliście?

– Jest nakaz jego doprowadzenia – skłamał bez zająknięcia komisarz. – Zauważyliśmy przypadkiem, jak się tu skradał, ale zniknął nam między autami, więc się przyczailiśmy. Macie kamery?

– Tak, ale obejmują tylko część należącą do firmy. Reszta nie jest nasza – odpowiedział tamten.

– Więc nie widzieliście go wcześniej?

– Nie, kolega kątem oka dostrzegł, że coś połyskuje między samochodami, i wtedy zobaczyliśmy tego śmiesznego gościa z głową owiniętą folią aluminiową. Właśnie szedłem go pogonić, gdy alarm zawył.

– Niech pan zobaczy, co mi podrzucił – powiedział zaskoczony właściciel czerwonego audi. Elegancki pięćdziesięciolatek podał mu złożoną na pół kartkę.

– „Oddawaj grabie, chamie” – przeczytał głośno Marecki.

– To jakiś wariat? – spytał zdumiony właściciel auta, pocierając siwą bródkę.

– Możliwe – odrzekł Marecki, chowając kartkę do kieszeni.

Starszy mężczyzna nie zauważył, że wewnątrz koślawymi wielkimi literami było napisane:

WYPOPIERDOL ZDZIRO MOJEGO HŁOPA

ZAROBIE CIE JAK PSA

– Ma pan jego grabie? – spytał komisarz.

– Nie, panie, no skąd? – odpowiedział z zaskoczeniem uczestnik bankietu.

– No to załatwione. Proszę wracać na przyjęcie – polecił Marecki w nadziei, że na tym akcja się zakończy i nikt nie będzie zadawał żadnych dodatkowych pytań. Kłamać uczyła go Matylda i dopiero dziś, więc jego doświadczenie w tym zakresie było znikome.

– Nie spisze pan protokołu? – spytał ochroniarz.

– Panie kochany, z czego? Że stary wariat chce odzyskać swoje grabie?
– spytał z politowaniem. – Myśli pan, że nie mam co robić? Nie doszło do zniszczenia mienia. Pan szybko przybiegł, my go błyskawicznie złapaliśmy. Świetna akcja.

Kaśka z duszą na ramieniu obserwowała mowę ciała Antka. Ochroniarz nie chciał chyba odpuścić, ale nikt ich nie wylegitymował. Po dłuższej chwili wszyscy uścisnęli sobie ręce i rozeszli się. Odetchnęła.

– Ma pan szczęście. Odpuścili – powiedziała do siedzącego na tylnym siedzeniu Tomczaka. – Antek już wraca.

– Czo wy tu robiliszczce? – zaseplenił tamten niewyraźnie.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Starszy mężczyzna miał skaleczenie na policzku, a w kąciku ust krew.

– O rany, panie Staszku! Przepraszam! – zawołała.

– Nie ma za czo.

– Nie chciałam pana tak urządzić. Wybiłam panu ząb?

– Nie, to język. Przygrzyżłem. Ma chusteczkę?

– Ma – potwierdziła, sięgając do schowka, i wyjęła nawilżane chusteczki. – Pomóc panu?

– Nie czeba. Szam dam rade.

Wyglądał na tak nieszczęśliwego i znękanego życiem, że aż zrobiło jej się go żal.

– Przepraszam, ale nie mogliśmy dopuścić, żeby pana złapali.

– Ma niezły rzut – nieporadnie pochwalił ją Tomczak. – Jak mnie rymła w bruk, to myślałem, że już po mnie, a jak kolano mnie wbiła w krzyż, to aż szczeliło i chrupło.

Do samochodu wszedł Marecki i nawet nie spojrzawszy na kolegę, szybko włączył silnik, a potem błyskawicznie wycofał auto i wyjechał na ulicę.

– Mój szamochód – zaprotestował słabo ich zatrzymany.

– Jutro – odpowiedział Marecki. – Masz szczęście, Staszek, że kamery nie sięgały ani do nas, ani do ciebie. Co ty, kurwa, odpierdalałeś?

- Miałem szprowokować Dembszkiego.
- Tą groźbą?
- Rzucił kartkę Kaśce. Niech też się pośmieje.
- Nio – potwierdził zażenowany Tomczak.
- „Oddaj grabie, chamie”? – przeczytała. – To jakieś hasło?
- Czo? Nie ta katka!!!
- W środku – poinstruował ją Antek.
- „Wypopierdol zdziro mojego chłopca... przez samo h... OK, czemu nie, zarobie cie jak psa”. Co to miało być? „Zarąbię”? Ale co dokładnie ta kobieta miała zrobić? Wypierdolić czy wypierdzielić? Bo wie pan, że można to różnie interpretować.
- Kuwaaa! – zaklął. – Nie mówcie pani Matyldzie. Powiem jej, że się nachlałem. Wywali mnie, ale wole to niż taki wsztyd. Taki wsztyd!
- Co to za prowokacja? – spytała Kaśka.
- Pani Matylda chciała widzieć minę Debskiego, jak zobaczy groźbę, bo mówi, że to on szam, wiencz jak on szam, to nie powinien sze bac, a ździwicz, czo nie?
- Teoretycznie racja, ale co to za dowód?
- Żaden, tylko weź to wytłumacz, jak nie szłucha.
- OK, rozumiem, tylko dlaczego pan własnoręcznie to pisał?
- Bo mi się katka od pani Matyldy szfajczyła od szluga.
- O, to by wyjaśniało ten płomienny taniec – roześmiała się Kaśka.
- Widziała?
- Wszyszko – potwierdziła.
- Kuwa, ale wsztyd – jęknął i dotknął palcem miejsca, z którego wciąż sączyła się krew. – Kuwa, Kaszka, jednak wyjebałaś mi żomb.
- Staszek, skąd wzięłaś tę kartkę? – spytał Marecki.
- Ten kutasz jebany z działki chce moje grabie, bo mówi, że pożyzył i nie oddał. Grabie może jego, ale kutasz nie oddał mi szpada,

więc niech się wali. Nie oddam grabi! Odwiezicie mnie do domu? Muszem siem wykopać. Chyba popuściłem w szpodnie.

– Kurwa, Staszek, to moje prywatne auto! – ryknął Marecki.

– Szpoko, szpoko, mam pieluchomajtki, na wypadek gdybym muszał czałą nocz siedzieć w szamochodzie – wyjaśnił bez śladu zażenowania.

– Panie Staszku – Kaśka odwróciła się na siedzeniu i spojrzała na niego zaintrygowana – ale jednego w tym wszystkim nie rozumiem. Dlaczego owinął pan głowę folią aluminiową?

¹ Krakersy – pracownicy komendy rejonowej, [https://pl.wiktionary.org/wiki/Indeks:Polski -
Gwara policyjna](https://pl.wiktionary.org/wiki/Indeks:Polski_-_Gwara_policyjna).

² Trukać – mówić, [https://www.zpозdrowieniem.pl/blog/gamzac-grypsem-slownik-gwary-
wiezionej](https://www.zpозdrowieniem.pl/blog/gamzac-grypsem-slownik-gwary-wiezionej).

16 czerwca 2012

Wreszcie sobota

Obudził ją upiorny ból głowy, wwiercający się w czaszkę. Z trudem otworzyła oko. Obraz był rozmazany, jednak wystarczyła odrobina skupienia, by Matyldzie rozjaśniło się przed oczami.

Gdzie my jesteśmy? – zapytał głos, zaskoczony widokiem pokoju hotelowego.

I dlaczego jesteśmy nadzy? – Głosik wydawał się zażenowany.

Kurde melek! – jęknęła w duchu. Znowu mnie ktoś porwał?! No ile razy można? I to w ciągu dwóch dni?!

Matylda, to już chyba sobota. Słońce świeci, nieśmiało zauważył głosik.

Wreszcie sobota, głos odetchnął. Już myślałem, że ten piątek nigdy się nie skończy.

Gdzie ja jestem? – Usiłowała się skoncentrować, ale wewnętrzne głosy domagały się jej uwagi. Na razie najważniejsze do rozstrzygnięcia były dwie kwestie. Gdzie jest i dlaczego jest naga.

Nie jesteś naga. Masz gacie i stanik, zauważył głos.

OK, dobre i to, ale gdzie ja jestem? Co ostatnie zapamiętałam?

Brygada RR – rozwaga i roztropność.

Klub SB – specjalna brygada.

Jakieś dziwaczne skróty przychodziły jej na myśl, łącznie z SS – podświadomość twierdziła, że oznacza to specjalistki specjalne.

Chyba specjalnej troski, dopowiedział pobłaźliwie głos.

To byłoby SST, zaprzeczyła, gdy nagle wszystko do niej dotarło!

Usiadła na łóżku i złapała się za głowę. Włosów nie było!

– Kurde melek! Jestem naga! – jęknęła.

Nie zważając na tętniący ból w czaszce, wyskoczyła z łóżka i zaczęła biegać po pokoju, szukając peruki. Zajrzała do łazienki, tam też jej nie

było.

Gdzie masz włosy, kretynko! – Spojrzała na swoją twarz w lustrze, siłą woli próbując zmusić umysł do myślenia.

Może prysznic pomoże, zasugerował głosik.

Zmarszczyła nos. Coś obrzydliwie cuchnęło. Obawiała się, że to mogła być ona. Wróciła do pokoju. Walizka stała obok łóżka. Wyjęła z niej kosmetyczkę, czystą bieliznę, dzinsy i koszulkę z krótkim rękawem.

Pod prysznicem najpierw puściła na siebie strumień zimnej wody i obracała się pod nim, by spłukać całe ciało. To najlepsza metoda na przywrócenie jasności umysłu i dodanie sobie energii. Dopiero po chwili odkręciła ciepłą wodę i zaczęła dokładnie się szorować. Pucowała się zawzięcie, jakby mogła w ten sposób zmyć z siebie posmak wczorajszych wydarzeń, ale ocknęła się, dopiero gdy próbowała wmasować w skórę głowy odżywkę do włosów, których tam nie było.

Dlaczego pozwoliłam się ostrzec?

Bo byłaś narąbana, podpowiedział usłużnie głosik.

Kiedy zapytałam o maszynkę, piłam tylko rumianek.

Jeśli to był TYLKO rumianek.

Spłukała głowę i wyszła z kabiny prysznicowej. Energicznymi ruchami wytarła ciało i wtarła w nie balsam. Po chwili namysłu nasmarowała i głowę. Ubrała się szybciotko i wróciła do pokoju, by rozważyć, co zrobić. Przecież nie pokaże się tak Ksaweremu na oczy. Nikomu się tak nie pokaże. Szkoda, że nie mam zapasowej peruki, pomyślała z żalem. Do głowy jej nie przyszło, że skoro peruki nie ma, to ktoś już musiał widzieć jej łysinę.

Pukanie do drzwi zmusiło ją do błyskawicznego działania. Owinęła głowę mokrym ręcznikiem i jakby nigdy nic poszła otworzyć. Ksawery, wyraźnie zniecierpliwiony, wszedł, nie czekając na zaproszenie.

– Dobijam się trzeci raz! – warknął. – Prawie dwunasta. Ile można spać? Co wyście chlały? Księżycówkę?

– Soplicówkę – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Jesteśmy w Gdańsku?

– Zgadza się, geniuszu. Zanim weźmiemy się do roboty, możesz mi to wyjaśnić? – Włączył jakieś nagranie w telefonie i odwrócił ekran w jej stronę. Matylda obejrzała je dokładnie, po czym spytała z lekka zakłopotana:

– Co to jest?

– Tomek mi przesłał, jeden z ochroniarzy Wioletki. Nie poznajesz tego garbusa między samochodami?

– Dzwonnik z Notre Dame?

– Tomczak – syknął ze złością.

– Co ty... Włącz jeszcze raz – poleciła, tym razem pobudzając do działania szare komórki. Część z nich musiała już być trzeźwa. – Faktycznie, podobny – przyznała. – Ten księżycowy rogal na głowie mnie zmylił.

– To folia aluminiowa.

– Dlaczego Tomczak miałby mieć na głowie folię aluminiową? – spytała tak niebotycznie zdziwiona, że nie mogła udawać.

– Naprawdę nie wiesz? – spytał już spokojniej.

– Pojęcia nie mam. Kiedy go wczoraj widziałam, wyglądał zupełnie normalnie. Zaraz, zaraz, to nie Marecki? – Wskazała na kolejną znajomą wyglądającą osobę.

– Tak, wraz z jakąś babeczką zgarnął Tomczaka. Uratował mu dupę. Ten stary piernik wsunął prezesowi jednej z czołowych spółek na giełdzie kartkę za wycieraczkę samochodu...

Kartkę?! – Matylda znieruchomiała ze strachu. Złapali Tomczaka, jak podrzucał groźby?! Jakiemuś prezesowi?! Ożeż w mordę! Już po mnie!

– Oddawaj grabie, chamie!

– Co proszę?

– Na kartce było napisane ODDAWAJ GRABIE CHAMIE. Rozumiem, że tego też nie potrafisz wyjaśnić?

– Dlaczego prezes jakiejś spółki ma grabie Tomczaka? – spytała, jakby to było najistotniejsze w incydencie, który obejrzała na nagraniu.

– Ty naprawdę nic nie wiesz – stwierdził. – Zadzwoń do niego i dowiedz się, co jest grane. Kazałem Tomkowi skasować nagranie, ale widzieli je wszyscy moi chłopcy. Zarzekają się, że nikt z nich go nie przegrał, jednak nie zdziwię się, jak się stanie wiralem.

– Nie wiem, co mam powiedzieć – odparła zgodnie z prawdą.

Plan był zupełnie inny!

– Nie znam żadnego prezesa spółki giełdowej.

To akurat prawda.

– Nie wiem też, co robił tam Marecki i dlaczego Tomczak z nim był.

To też prawda.

– Wierzę ci – odrzekł z westchnieniem. – Wybacz, że tak na ciebie napadłem. Ostatnio za dużo się dzieje. Nie wiem, co mam myśleć o wielu rzeczach. Świat stanął na głowie i płonie, a ja mogę spłonąć wraz z nim.

Zabrzmiało to tak dramatycznie, że aż niesmacznie. Ksawery Grom był twardzielem, który jednocześnie strzela, rzuca nożem i ratuje kotka na drzewie, a nie użala się nad sobą.

– Chętnie cię wysłucham podczas śniadania. Zróbmy tak. Wysuszę tylko włosy – wskazała na zwinięty na głowie w kształt turbanu ręcznik – i zaraz do ciebie dołączę, OK? – Uśmiechnęła się niepewnie, rozważając, czy jak potnie kotarę, da się z niej zrobić jakąś chustkę.

– Wysuszysz włosy? – powtórzył.

– Dokładnie to powiedziałam.

– Te włosy, które wczoraj wpadły ci do kibla, kiedy rzygałaś jak kot?

– Eee... że jak? – speszyła się.

Rumieniec wstydu rozlał się od czubka jej głowy po końce dużych palców u stóp.

– Pracownik hotelu pomógł mi cię dostarczyć w wózku do przewożenia bagażu. Chyba ci to zaszkodziło, bo gdy dotarliśmy do pokoju, nie zdążyłem cię z niego ściągnąć, gdy nagle się obudziłaś, zerwałaś, popędziłaś z krzykiem do łazienki, padłaś na kolana przy toalecie, pochyliłaś głowę, wtedy peruka spadła do muszli, a ty w tym

czasie się zrzygałaś. Na perukę – uściślił, jakby szczegółowy opis nie był wystarczająco... wystarczający.

– Ktoś to widział?

– Poza mną? Na szczęście nie.

– Kurde melek, jaki wstyd! – jęknęła.

– Zdarza się. – Wzruszył ramionami. – Ale pomyślałem, że to może ci się dziś przydać. – Z kieszeni marynarki wyjął jasnoniebieski szal, który Matylda z wdzięcznością pochwyciła.

– Jesteś moim bohaterem – oświadczyła szczerze. – Ratujesz moją godność. Resztki godności. Możemy już o tym nie rozmawiać? Byłabym wdzięczna.

– Nie ma sprawy, pod warunkiem że odpowiesz mi na jedno pytanie.

– Dlaczego mam ogoloną głowę, a nie nogi? – zażartowała nieudolnie.

– Nie, tego nawet nie chcę wiedzieć, ale frapuje mnie jedna rzecz. Dlaczego gdy położyłem cię do łóżka i przykryłem kołdrą, zaczęłaś zawodzić: „Płonie! Płonie stodoła! Mówią płonie stodoła, płonie aż strach!”.

– Wolałabym nie odpowiadać. To jedna z rzeczy, które prędzej zabiorę ze sobą do grobu, niż komuś wyznam – oświadczyła stanowczo. – I nie zawodziłam, najwyżej śpiewałam, i zanim to skomentujesz... – Od doszczętnego pogrążenia się w jego oczach uratował ją dzwoniący telefon.

Naprawdę uważasz, że można pogrążyć się jeszcze bardziej? – roześmiał się drwiąco głos. Dołączył do niego głosik, który rechotał jak czarownica ze *Smerfów*. Chyba Hogata jej było na imię.

– Uratowana przez telefon. – Uśmiechnął się. – Odbierz, ogarnij się i zejdź do jadalni. Zjemy śniadanie i pójdziemy na spacer.

– Spacer? – Spojrzała na niego podejrzliwie. – To jakiś eufemizm?

– Nie, spacer to spacer.

– A praca?

– Praca nie zajac, nie ucieknie. Znam fajne miejsce, gdzie podają gofry...

Telefon zadzwonił ponownie. Natarczywie.

– Muszę odebrać – powiedziała stanowczo. – To najwyraźniej coś pilnego.

– Czekam na dole. – Wiedział, kiedy go wypraszają.

Spojrzała przez wizjer w drzwiach, by się upewnić, że Ksawery rzeczywiście odszedł, zamiast podsłuchiwać pod drzwiami. Kilka nieodebranych połączeń od Salomei Gwint, Salci, jeśli dobrze pamiętała. Przy którymś łyku przeszły na ty.

– No wreszcie! – przywitała ją zrzędliwie była szefowa. – Dzwonię już trzeci raz!

– Nie słyszałam. Spałam. Dopiero co się obudziłam – wyjaśniła.

– No dobra, nieważne, słuchaj. Widziałam się dziś z takim jednym cebesiem. Wyobraź sobie, że to o Wujku to prawda. Chłopaki nawet obstawiają zakłady, kto przejmie po nim schedę!

– O! – zainteresowała się. – To masz jakieś konkrety!

– Żebyś wiedziała! Mam pięć typów. O Mrówie już wiesz, ale jest jeszcze Podgardle, Czapla, Tutek i Prosiaczek.

Kto wymyśla te pseudonimy?!

– A ten Podkowa?

– Podkowa już się nie liczy. Wycofał się z części interesów i zaczął inwestować w budowę osiedli mieszkaniowych. Zabudowa jednorodzinna. Przez jakiś czas stawiali na niego, że przejmie tron, ale gość się całkowicie wycofał po urodzeniu syna.

– Chyba po narodzinach – automatycznie poprawiła ją Matylda. – Rodziła jego żona.

– Jeden chuj, słuchaj, co ustaliłam. Część jego ludzi poszła do Wujka, reszta dalej pracuje dla niego, legalnie.

– Skąd miał pieniądze?

– Wyprał je, a skąd? Nic mu nie mogą udowodnić, więc dali spokój. Mają ważniejsze sprawy, niż ścigać kogoś za przeszłość, gdy na bieżąco bandzior na bandziorze siedzi i bandziora pogania – wyjaśniała zadowolona z siebie Salomea.

- Masz namiary na tę piątkę?
- Pewnie, że mam. Prześlę ci je na e-mail, jak obiecasz, że nie zrobisz nic głupiego.
- Obiecuję.
- Zanim cokolwiek zrobisz, najpierw mi powiesz. To ja ocenię, czy to głupie.
- Pomyślę o tym – odpowiedziała, nie chcąc tak od razu odmawiać.
- Rozmawiałaś z Gromem? Bez niego nie radzę ci działać.
- Nie miałam okazji. Zrobię to dziś.
- Jak to, nie miałaś okazji? To co robiłaś do tej pory?!
- Spałam...
- Kurwa! To ja sobie od bladego świtu ręce urabiam, przysługi odbieram, a śpiąca królewna pochrapywała?!
- Jakim cudem możesz być taka rześka po wczorajszej popijawie? – jęknęła.
- Kwestia wprawy, doświadczenia i przyzwyczajenia. Jak się ma kaca codziennie, to po kilku latach nie zwraca się na niego uwagi. Postawiłabym na nieznanego gracza.
- Jakiego gracza? – Matylda nie zrozumiała.
- Nie wiem jakiego, ale jestem pewna, że ktoś jest i czyha. Zaatakuję w najmniej spodziewanej chwili. Jestem tego pewna!
- Przecież cebesie nikogo więcej nie wskazali?
- Nie, co nie znaczy, że nie ma nikogo innego. Wytypowali tych najgroźniejszych, którzy najpierw rzucą się na padlinę, a potem sobie do gardeł. Nikt nie spełnia standardów Szumskiego. Wujek zawsze lubił działać w cieniu. Nie na widoku. Tylko ktoś taki jest w stanie go zastąpić, a żaden z tych typków się do tego nie nadaje – perorowała Salomea. – Toczy się wobec nich tyle postępowań, że w końcu ich zamkną.
- Jeśli się wcześniej nie powybijają – wtrąciła Matylda.

– O, o, to, to! Widzę, że łapiesz, w czym rzecz! Matylda, czuję się, jakbym dostała w prezencie nowe życie! Lubię być w centrum wydarzeń. Nawet nie wiesz, jak mi tego brakowało. Zapamiętaj ten moment, bo jak będą mnie zakopywali w ciemnym lesie, mogę rzucać mięchem pod twoim adresem, ale aktualnie jestem ci niewymownie wdzięczna. Jeśli wyjdziemy z tego cało, musimy to opić!

– Super... – Wzdrygnęła się. – Salomea, a ci kolesie cebesie mają jakichś swoich informatorów?

– Pewnie, że mają, jednak nikogo na tyle wysoko postawionego, żeby mieli konkrety.

– OK. To może się nam przydać – powiedziała Matylda.

– Do czego?

– Plotka. Pamiętasz? Naszą bronią ma być plotka. Ktoś musi ją roznieść po świecie.

– OK... Plotka. To jest myśl, a jak by to miało wyglądać?

– Jeszcze nie wiem, jak i co, ale wiem kto. Kolesie cebesie pytają swoich kapusiów o różne rzeczy prawda?

– Tak, ale nie rozumiem, do czego teraz zmierzasz. Może jednak wypięłam za dużo, bo przysięgam, że nie kumam.

– Cebesie zaczną zadawać pytania i te pytania pójdą w świat. To będzie nasza ścieżka do Tutka, Prosiaczka i całej reszty. I kiedy dotrą do nich te pytania, zaczną szukać odpowiedzi, a odpowiedzi nie ma. A najpiękniejsze jest to, że plotka wyjdzie od cebesiów, a nie od nas. Rozumiesz, Salcia, o co mi chodzi?

– Policja napuści na siebie gangusów, a potem zamknie tych, co pozostaną na placu boju?

– No tak mniej więcej by to wyglądało... Nie da rady, prawda? Naginam rzeczywistość do swoich urojeń – westchnęła Matylda, siadając na łóżku.

– Czekaj, czekaj, dziewczyno, to wcale nie jest głupie i może się udać. Ja chętnie dałabym jakiś cynk chłopakom, żeby się rozniosło to, co ma się roznieść, tylko musisz mi rzucić konkret.

– Naprawdę uważasz, że to się może udać?! – Matylda się ożywiła.

– Nie zlikwidujesz całego półświatka, ale jak dojdzie do zmiany rządów, wszyscy odczepią się od ciebie, bo będziesz pływać poza ich akwarium. A o to chodzi, czyż nie? Wujek kipnie prędzej niż później, Mrówa jest z nich najsłabszy, jego głowa poleci pierwsza, więc będzie pozamiatane. Reszta już nie powinna cię obchodzić. – Salomea głośno rozważała możliwości.

– Jak to jego głowa poleci? – zaniepokoiła się jej była podwładna. – Tak dosłownie?

– A ty myślałaś, że co?

– Że policja ich pozamyka. Jak wsadzimy kij w mrowisko, zawrze jak w ulu, nie da się ukryć wielu rzeczy, popełnią błędy i...

– Sami się wsadzą do pierdła? Matylda, odwołuję wszystko, co wczoraj mówiłam o prowincjonalnej moralności. Prowincjonalność masz w genach. Wielki świat ci szkodzi. Musisz podjąć decyzję. Nie grasz warcabami, gdy przeciwnik wystawia figury szachowe. Ci ludzie wiedzieli, na co się pisali, kiedy wybierali ten rodzaj kariery zawodowej. To naturalna konsekwencja podjętych przez nich decyzji. Sądziłam, że to rozumiesz, gdy rozmawialiśmy wczoraj o wzajemnym zniszczeniu.

– Mogłam użyć tego wyrażenia na wyrost. Poza tym to metafora!

– Matylda, decyzja należy do ciebie. Sama nie będę się pchać przed szereg, ale pomogę ci, jak mogę. Pogadaj z Gromem, dobrze ci radzę. Pracował dla mnie. Nie twierdzę, że jest w tej sytuacji, co ty, bo on wiedział, kim jest Wujek, gdy zaczynał dla niego pracować. I nieważne, że legalnie, bo sama wiesz, że szara strefa jest zaraźliwa. Pewnego dnia budzisz się i odkrywasz, że nie ma światła i ciemności, jest tylko wszechobecna szarość. Ci ludzie będą tobą pogrywać, jeśli nie zrobisz tego pierwsza.

– Twój cynizm jest zaraźliwy – mruknęła bardziej do siebie niż do swojej mentorki.

Niestety, Salomea miała rację. Każde kolejne zlecenie dla Wujka wymagało coraz większej elastyczności moralnej. Teraz doszedł jeszcze Mrówka. Jeśli jakimś cudem Matyldzie udałoby się zdobyć to, czego chciał, czyby ją wypuścił? Nie. Oczywiście, że nie. Dostałaby kolejne zlecenie i kolejne, aż do czasu, gdy nie dałaby rady. Jeśli zawali sprawę już teraz, czy jej odpuści? Też wątpliwe.

– OK, porozmawiam z Ksawerym.

Nadal musiała rozważyć opcję wykorzystania Wujka do pozbycia się Mrówki. W świetle informacji uzyskanych przez Salomeę nie mogła zignorować oczywistego wyjścia, które jeszcze poprzedniego dnia odrzuciła.

– Czekam na informacje.

– Ja również. Prześlij mi ten e-mail – powiedziała. – Będę tego potrzebować.

Nie powinnam być zmuszana do takiego wysiłku umysłowego na kacu, pomyślała.

Prócz Salomei miała jeszcze kilka nieodebranych połączeń od Tomczaka. Po zbyt długiej chwili wahania zdecydowała się oddzwonić.

– Pani Matyldo! Melduję posłusznie, że nie wykonałem wczorajszego zadania!

– Bardzo mnie to cieszy, panie Staszku.

– Naprawdę? To jestem bardzo zdziwiony. Myślałem, że będzie pani wściekła.

– Za chwilę będzie pan jeszcze bardziej zdziwiony. Zwalniam pana.

– Że co proszę? Ale ja...

– „Oddaj grabie, chamie”? Naprawdę? – spytała. – Naćpał się pan wczoraj?

– Ekhe, khe – rozkaszał się. – Skąd... Jak... Antoś...

– Żaden Antoś. Ktoś pana nagrał, panie Staszku, jak w napoleońskiej czapce zrobionej z folii aluminiowej skacze pan po parkingu jak małpa.

– Ekhe, khe...

– Tak, wiem, że Marecki i Mizera pana uratowali, choć nie rozumiem, dlaczego byliście tam wszyscy razem.

– Nie byliśmy. Oni byli sami z siebie, a reszta to... Kurwa! – zaklął. – Jeszcze nikt mnie nigdy nie zwolnił!

– Jak wrócę, to się rozliczymy. Dziękuję bardzo za dotychczasową pomoc, ale na tym zakończymy naszą współpracę. Proszę się cieszyć emeryturą – powiedziała.

– Aha... no tak... Skoro tak... To ja sam nie wiem... Obiecałem pani mamie szczupaczka. W tych okolicznościach to ja nie wiem...

– Mama na pewno bardzo się ucieszy ze szczupaczka. Rozstajemy się zawodowo, a nie prywatnie. Prywatnie zawsze będzie pan mile widziany.

– Aha... No tak... Ja nic złego... To ja idę na rybki. A o tym rogalu na głowie pani nikomu nie wspomina, dobrze? Zwłaszcza małej panience. Taki wstyd, taki wstyd...

– Do zobaczenia, panie Staszku – pożegnała się, nadal nie wiedząc, po jakiego grzyba chodził z folią aluminiową na głowie.

Spojrzała na zegarek. Ksawery czekał już z pół godziny. Trudno, poczeka jeszcze kilka minut.

– Witam, panie komisarzu – powiedziała, gdy Marecki odebrał połączenie. – Chciałam podziękować za Tomczaka.

– Nie ma za co. Uwaliliby nam całą sprawę, gdyby musiała pani zeznawać. Adwokat chętnie by to wyciągnął przed sądem i zrobił z tego prześladowanie Dębskiego. Wolałem nie ryzykować, zwłaszcza że nie powinno mnie tam być, a byłem – przyznał.

– Mogę zapytać, co pan tam robił? Nie skorzystaliście z mojej sugestii?

– Skorzystaliśmy, jak najbardziej. A właśnie, czy któraś z kobiet kontaktowała się z panią?

– Nie, jeszcze nie, ale proszę się nie poddawać. Upłynęło za mało czasu.

– Nie zamierzamy się poddać. Kaśka odsypia nockę, ja zaraz się kładę, a ona zaczyna dzwonić. Zaczynam się zastanawiać, czy nie wysłać jakiejś wiadomości, żeby trochę przyspieszyć proces...

– Widzę, że się pan wciągnął – zauważyła lekko rozbawiona.

– Nie, no skąd – zawstydził się. – Sama pani przyzna, że takie działanie jest...

– Niegodziwe?

– Okropne.

– No to miejmy nadzieję, że skuteczne. – I nagle jakby jakiś diabeł ją podkusił, powiedziała: – Proszę skończyć z tą prowincjonalną naiwnością. Nie do twarzy panu z tym.

Marecki zamrugnął zaskoczony i nieoczekiwanie dla nich obojga ryknął śmiechem.

– To było dobre, pani Matyldo. Skąd pani wzięła ten tekst? – Otarł łezkę, która pojawiła się w kącie oka.

– Ulubiony cytat Salomei Gwint pod moim adresem – wyznała. – Drugi z kolei to było coś o drobnomieszczańskiej mentalności. Albo moralności. Coś w ten deseń.

– Tak, wierzę. To zdecydowanie w jej stylu. Proszę dać znać, gdyby któraś z nich dzwoniła.

– Oczywiście, panie komisarzu. Na pewno oddzwonię – zapewniła go, przyciskając telefon ramieniem do ucha i obwiązując głowę apaszką. – A co do wiadomości tekstowych, proszę nie przesadzać. Coś w stylu *Widzę cię* albo *Powinnaś mnie posłuchać* będzie lepsze niż *Już po tobie* czy też *Zdychaj, zdziro*.

– Albo zarobie cie jak psa?

– Zarobię na psa? – Nie zrozumiała. – Jakiego psa?

– Żadnego. Głupi żart – odparł. – Brak odznaki mi szkodzi.

– Nie musicie ich wkurzyć, tylko je wystraszyć.

– Będę miał to na uwadze. Rozumiem, że *Zapiardolę cię siekierą* też odpada?

– Zostawiłabym to jako ostateczną ostateczność – poradziła z humorem.

Ksawery z obojętnością odwzajemnił zachęcające spojrzenia dwóch kobiet siedzących na sofie po przeciwnej stronie holu. Udał, że nie widzi uśmiechu blondynki. Miał do rozwiązania kilka kwestii z natury nierozwiązywalnych. Matylda przypominała bombę z opóźnionym zapłonem. Jej pokrętny umysł, błędzący po nieznanym normalnemu człowiekowi ścieżkach, był zagadką również dla niej samej. Grom miał

pewność tylko co do jednego – cokolwiek jej powie, nie powinna go wydać.

Czy pomoże? Na jej miejscu pogoniłby sam siebie jak wściekłego psa. Ale przecież nie musiałaby się w nic angażować osobiście. Wystarczyłoby kilka jej pomysłów, na pozór głupich i bez związku, które rozumiała tylko ona. Albo i nie rozumiała. W tym momencie interesowała go skuteczność, a potrzebował namieszać. Nikt nie radził sobie z tym lepiej niż Matylda.

Zasadniczo miał do ogarnięcia dwie sprawy.

Dębski musi sprzedać ziemię.

Jednak nie Wujkowi.

I trzecią, ale czy omawiać ją już dziś? Nie, musi jakoś Matyldę do tego przygotować. Zachęcić. Może nawet z nią się przespać, żeby była bardziej uległa.

Nie powinien też zapominać, że miała ich wszystkich serdecznie dość, więc może to byłby dobry motyw? Poruszyć czułą strunę matki? Dla dziecka osobiście wymordowałyby ich wszystkich, własnoręcznie wykopała dół, oblała trupy benzyną i z uśmiechem satysfakcji rzuciła zapalkę.

Choć mogłaby zapomnieć ją zapalić.

– No nareszcie – przywitał ją zgryźliwie, by ukryć zmieszanie.

Specjalnie zajął miejsce naprzeciwko wind, by widzieć, jak wyjdzie, ale pogrążony w myślach, przegapił ją.

– Gdzie ta stołówka? Głodna jestem – ponagliła go.

– Już po śniadaniu. Trzeba było grzebać się jeszcze dłużej.

Miałeś ją uwodzić, przywołał się do porządku. A nie besztać!

– Wypiłam cały sok pomarańczowy z barku. Kto płaci za pokój?

– Ja.

– No to lemoniadę też wychlałam. A teraz chcę jeść. Dokąd pójdziemy?

Spojrzała na niego zniecierpliwiona. Niebieskie oczy i jasne rzęsy ginęły w bladej twarzy, a jasnoniebieski szal, który jej kupił, miał zbyt

żywy odcień, by ukryć wyczerpanie. Wręcz przeciwnie, podkreślał niedostatki urody. Co nie znaczy, że Matyllda nie mogła się podobać, gdyby ją ładniej ubrać i przynajmniej podmalować rzęsy. Nie lubił tych plastelinowych makijaży. Obudzenie się z twarzą w poduszce, w której jedna z jego kobiet zostawiła przyklejone rzęsy, nie należało do chętnie przywoływanych wspomnień Groma. Powinienem docenić jej naturalność, pomyślał z niedowierzaniem, patrząc, jak Matyllda poprawia na ramieniu wielką torbę, przypominającą worek Jasia Wędrowniczka – tylko kija było jej brak – i strąca zawiązany w turban szal.

Oczom wszystkich obecnych ukazała się łysa głowa i wielkie oczy Matylldy. Ksawery bez słowa podniósł szal i rozsypał skomplikowane węzły. Kątem oka złowił współczujące spojrzenia podrywających go wcześniej kobiet. Ich mowa ciała wyraźnie się zmieniła. Zupełny brak zainteresowania.

– Dawaj! – syknęła.

– Nie ruszaj się. Sam ci to założę.

Zaczął sprawnie obwiązywać jej gładką czaszkę szalem. Początek przyłożył do czoła i wykonał kolisty ruch dokoła głowy, następnie okręcił wstęgę wokół własnej osi i poprowadził ją po przekątnej przez środek czaszki aż do potylicy, skręcił ponownie i zaczął prowadzić w stronę czoła.

– Co ty robisz? – spytała z niechęcią.

Zataczane nad jej głową koła coś jej przypominały.

– Kurde, trzeba było kupić dwa szale. Jeden to za mało – zirytował się, gdy konstrukcja zsunęła się po śliskiej skórze.

– Ksawery, czy ty próbujesz zawiązać mi czepiec Hipokratesa?

– To jeden z lepszych sposobów opatrywania urazów głowy – stwierdził. – Tylko do tego potrzebne są dwa bandaże, a nie jeden szal, więc...

– Dawaj! – Wyrwała mu go z ręki. – Sama to zrobię.

– Może pomóc? – Podeszły do nich obserwujące go wcześniej kobiety.

Matyllda lekko się zarumieniła i przycisnęła torebkę do piersi, jakby w ten sposób chciała przysłonić łysinę. Ksawery miał ochotę powiedzieć

jej, że problem tkwi wyżej, ale został odepchnięty przez nieznanome.

– Dziękuję, radzimy sobie. – Jego głos został zignorowany.

Blondynka w czerwonej sukience wyjęła szal z ręki Matyldy i skomentowała cierpko:

– To się nie nadaje. Ładne, ale nie dla pani.

– Też tak pomyślałam, ale kolor...

– Kolor ładny i nic więcej. Kto to pani polecił?

Spojrzała bezradnie na Groma, a wtedy obie kobiety prychnęły drwiąco.

– No jasne, mężczyźni – wycedziła brunetka.

– Zupełny brak wyobraźni – poparła ją blondynka. – Nie szal, tylko chusta. Najlepszy jest kwadrat. Przynajmniej sześćdziesiąt centymetrów na sześćdziesiąt. Liczy się wygoda. Polecam bawełnę z dodatkiem elastanu. To się nie nadaje.

– Hej, kosztował...

– Nie chodzi o pieniądze, tylko o komfort, ale co może pan o tym wiedzieć – zgromiła go blondynka.

– Starał się... – bąknęła Matylda.

Zainteresowanie kobiet, wyglądających, jakby dopiero co zeszły z wybiegu dla modelek, speszyciło ją. Jeszcze się nie oswoiła ze swoim oszpecceniem, choć łysa wyglądała znacznie lepiej niż w koszmarnej fryzurze, na którą się zgodziła, by udawać dziewczynę Dębskiego. Z udawania nic nie wyszło, a fryzura pozostała. Kosztowała krocie, jednak żeby dobrze wyglądać, Matylda każdego dnia musiałaby robić sobie inną twarz. Jej własna nie pasowała.

– Starają się fujary. Mężczyźni robią, co do nich należy.

Brunetka nie pozostawiła Ksaweremu złudzeń w kwestii, czy nadal jest nim zainteresowana. Nie była. Blondynka zignorowała jego uwagę, zwyczajnie zawiązując Matyldzie szal dokoła głowy. Pierwszy węzeł zamotała na karku, oplótła głowę, kolejny zrobiła nad czołem, skręciła ponownie na kark, związała, a zwisające końce puściła luzem. Z torebki

wyjęła kilka spinaczy i podpięła szal, by nie rozsuwał się na czubku czaszki. Zrobiła to tak umiejętnie, że nie było widać śladu metalu.

– Teraz lepiej, ale polecałabym czapeczki albo turbany. Nie trzeba nic wiązać, wystarczy założyć. W internecie jest bardzo duży wybór.

– Dziękujemy, na nas już pora. – Ksawery próbował wyprowadzić Matyldę, ale kobiety go zignorowały.

– O, na przykład ta. – Brunetka podsunęła jej pod nos swój telefon. Ksawery nie widział tego, co jej pokazała, ale musiało to być coś niestosownego, sądząc po wypiekach, które pojawiły się na policzkach Matyldy. – Moja koleżanka w upalne dni nosiła taki turban chustę z daszkiem, a te czepeczki są mega. Sama wkładałam, jak szłam na plażę, żeby wiatr mi nie naniósł piasku. Proszę też pamiętać o kremach z filtrem.

– Jest w czym wybierać. – Blondynka krytycznym wzrokiem oceniła swoje dzieło. – To lepsze niż peruki. A włosy odrosną, najważniejsze to się nie poddawać. – Ucisnęła stojącą jak kołek Matyldę.

– Powodzenia! – Brunetka rzuciła Ksaweremu chłodne spojrzenie i szepnęła: – Za mało się pan stara.

Patrzył, jak odchodziły. Matylda nadal tuliła do siebie worek Żyda tułacza, a jej oczy zaszklily się podejrzeniem.

– Tylko mi tu nie rycz – spanikował.

Płacząca Matylda to nie jest coś, z czym normalny facet, choćby po przeszkoleniu SEAL, mógłby sobie poradzić.

– One były takie miłe – powiedziała, pociągając nosem.

– Tak, bardzo. – Nie mógł powstrzymać ironii.

– Myślą, że jesteś oferma.

– Co?! Kto? Ja?! Dlaczego?! Kiedy to powiedziały?!

– Blondynka, jak mnie przytuliła, szepnęła: „Oferma, ale miły. Najważniejsze, że nie jesteś sama”.

– Rany boskie...

– Myślą, że jestem po chemioterapii. – Pociągnęła nosem. – Nigdy bym nie oczekiwała takiego wsparcia od kogoś obcego.

– Przecież nie jesteś po chemii! – syknął.

– Wiem, że nie, ale one tak myślały. Takie wsparcie jest nieocenione. Człowiek człowiekowi wilkiem, a one... Czasami zapominam, że takie osoby istnieją.

– Przestań buczyć i chodź! – Zdenerwowany złapał ją za rękę i szarpnął za sobą.

– Ta praca odziera ze złudzeń, nie sądzisz? – Dreptała za nim, ledwo nadążając.

– Sądzę – warknął, zastanawiając się, co mu strzeliło do głowy, że chciał wprowadzić Matyldę w swoje plany. Nigdy, kurwa! Nigdy i pod żadnym pozorem!

– Gdzie mnie ciagniesz, paskudo? – spytała, gdy wyszli z hotelu w centrum miasta, a Grom maszerował w nieznanym kierunku, nie puszczając jej ręki.

Byłoby to nawet miłe, tak sobie spacerować z Ksawerym, trzymając się za rękę, jednak sprawiał wrażenie, jakby chciał ją wepchnąć pod samochód, a nie zabrać na gofry, które wcześniej obiecał.

– Idziemy coś zjeść? – wysapała, próbując dotrzymać mu kroku.

Nigdy nie była w Gdańsku, chętnie by się rozejrzała, ale w tym tempie się nie dało.

– Tak – warknął.

– To dobrze. Proponuję zjeść coś na plaży. Musimy porozmawiać.

– Na pewno. Nie będę wyciągał piasku z zębów.

– Na osobności.

– Nie jesteśmy w zabitej dechami wiosce. Skąd mam wziąć ci osobność? Trzeba było nie wyłazić z hotelu.

– Ale publicznie nie mogę.

– Usiądziemy spokojnie, i wystarczy, że nie będziesz się wydzierać.

Nie wiedział, co go tak złości. Pewnie życie. Tak to jest, człowiek porywa się z motyką na słońce, a potem dochodzi do punktu, gdy już nie można odłożyć motyki i wrócić do domu. Kiedy przekroczył ten punkt?

– Byłam wczoraj u Salomei Gwint...

– Zauważyłem.

– Nie musisz się wyzłośliwiać. Byłam u niej, bo musiałam się poradzić.

– Pijaczki? Nie słuchałbym jej rad.

– Poradziła mi porozmawiać z tobą.

– Tak, zdecydowanie doskonała rada. A o czym chcesz rozmawiać?

Świetnie, nie dość, że się narąbały, to jeszcze obrobiły mu dupę. Miał nadzieję, że Gwint nie była zbyt szczerą.

– O Mrówce.

– Jeszcze nie wytrzeźwiałaś?

– Nie mam na myśli mrówki przez małe m. Tylko przez duże. MRÓWKA. MRÓÓÓÓ-WKAAA – zamuczała jak krowa. – Rozumiesz?

– Nie.

Skręcił gwałtownie. Zarzuciło ją na zakręcie, torba zaciążyła niemilosiernie i uderzyła Matyldę w biodro, ale detektyw Dominiczak zawsze ceniła wygodne trampki. Dały radę. Okręciła się na przysłowiowej pięcie jak fryga i dołączyła do Ksawerego, objając się o jego plecy, gdy stanął, żeby otworzyć drzwi lokalu.

– Gdzie jesteśmy?

– Na śniadaniu. Zaraz zamówię ci podwójne espresso. – Posadził ją przy stoliku w kącie, jakby była nieznośnym bachorem, i spytał: – Chcesz jajecznicę?

– O tej godzinie? – zdziwiła się. – To już obiad.

– To co chcesz?

– Cokolwiek.

Zostawił ją bez słowa i podszedł do baru. Rozejrzała się po niemal pustym wnętrzu. Byli w przytulnym lokaliku z ogródkiem na zewnątrz, klimatyzacją w środku, drewnianymi stolikami z obrusikami w białoczerwonej kratkę i małymi wazonami z kwiatkami na środku. Ściany w kolorze pudrowego różu ładnie komponowały się z drewnianą, jasną,

zupełnie niepraktyczną podłogą. Najważniejsze, że otaczające ich stoliki były puste. Przy tym najbliżej baru ulokował się mężczyzna w wieku emerytalnym – co najmniej, bo zapewne stuknęła mu osiemdziesiątka z okładem – i czytał książkę, popijając kawę, a w kącie za wieszakami, które o tej porze roku świeciły pustką, siedziała obściskująca się para.

Lepszego miejsca nie będzie, uznała Matylda.

Teraz albo nigdy.

Weź boga za roga, kibicował jej głosik.

Korzystając z tego, że Grom, zajęty konwersacją z kelnerką, nie zamierzał wracać do stolika, być może nigdy, sprawdziła pocztę. Wprawdzie na telefonie nie czytało się zbyt dobrze, za mały ekran, ale Salomea przesłała jej komplet informacji, jeśli można tak nazwać dane osobowe przestępców, czyli ich imiona, nazwiska, ksywki i płęć.

Przy każdym nazwisku widniało kilka przypominających odwrócony krzyż znaków. To sataniści? – zdziwiła się Matylda. Jeden odwrócony krzyż to satanista pierwszego stopnia, a trzy – satanista trzeciego stopnia? I jak ma to interpretować? Zastosować skalę Richtera? Im wyższa cyfra, tym silniejsze trzęsienie ziemi czy też, zgodnie z kryterium olimpijskim, im niższa, tym wyższe miejsce na podium?

Ksawery, czekając na kawę, szybko przejrzał wiadomości. Myślał, że filmiku z Tomczakiem w roli głównej nic nie pobije, ale się mylił. Dostał alarmujący SMS od Tomka:

DĘBSKI NAWIAŁ.

Obejrzał się przez ramię. Matylda ogryzała paznokieć, odczytując jakieś informacje w telefonie.

JAK TO NAWIAŁ? – odpisał.

NIE WIEM JAK, ALE GO NIE MA.

JAKIM CUDEM NAWIAŁ? NIE PILNOWALIŚCIE GO?!

PILNOWALIŚMY WIOLETKI. DĘBSKI ODSTAWIŁ JĄ POD DOM I ODJECHAŁ. NIE WSZEDŁ DO ŚRODKA. KRZYSIEK CZEKAŁ NA NIEGO POD CHATĄ. DOPIERO TERAZ DAŁ ZNAĆ, ŻE DĘBSKI DOTĄD NIE DOTARŁ.

NIE JECHALIŚCIE ZA NIM?

W ŚRODKU NOCY PUSTYMI ULICAMI? MIELIŚMY NIE RZUCAĆ SIĘ W OCZY. KRZYSIEK MYŚLAŁ, ŻE DĘBSKI JEST U WIOLETKI, A JA, ŻE W DOMU.

KOMUNIKACJA, KURWA!!! KOMUNIKACJA TO PODSTAWA!

SZEFO, BO JEST JESZCZE JEDNA SPRAWA. ZNALEŻLIŚMY JEGO AUTO.

GDZIE?

NA PARKINGU.

KURWA! GDZIE DOKŁADNIE?

NA LOTNISKU.

Ta informacja zelektryzowała Groma. Artur pojechał w środku nocy na lotnisko? Niemożliwe, żeby nawiał. Coś jest nie tak.

SPRAWDŹCIE, CZY GDZIEŚ ODLECIAŁ.

JAK? OCHRONA DANYCH OSOBOWYCH.

DAJ W ŁAPEŃ OCHRONIE. NIECH POKAZĄ CI NAGRANIA. MAM CIĘ ZAWODU UCZYĆ?

TAK JEST.

– Musisz coś dla mnie zrobić! – oznajmił stanowczym tonem, stawiając przed Matyldą na stoliku tacę z kawą i śmietanką.

Wyraźnie zmieszana schowała telefon. Wolał nie wiedzieć, co tam oglądała.

– Co takiego? – spytała.

– Zadzwoń do Wioletki i zapytaj, jak minął jej wieczór.

– Dlaczego? Dębski coś jej zrobił?

– Nie, jej nic nie jest.

– Dębskiemu coś jest?

Jakim cudem ta kobieta zadaje zawsze niewłaściwe pytania?!

– Dlaczego miałoby mu coś być? – spytał podejrzliwie, zerkając na telefon komórkowy, który przed nim ukryła.

– Nie wiem dlaczego. Zwróciłam uwagę na konstrukcję zdania i nacisk, który położyłeś na zaimek.

– Słucham?

– Powiedziałaś: „JEJ nic nie jest”, akcentując JEJ, zamiast powiedzieć: Nic jej nie jest. Moim zdaniem położyłeś nacisk na JEJ, czyli między wierszami zawarłeś informację: „Akurat jej nic nie jest”, dając tym samym do zrozumienia, że jemu niekoniecznie.

– Możesz po prostu zrobić, o co proszę? – spytał po chwili przedłużającego się milczenia.

Powoli naląła śmietanki do kawy, wsypała dwie łyżeczki cukru trzcinowego i zaczęła mieszać niespiesznie, nie spuszczać z niego badawczego spojrzenia. Przewiercała go na wskroś jasnoniebieskimi oczami, jak gdyby usiłując zajrzeć mu do głowy. Niedoczekanie, pomyślał z irytacją.

– Mogę – zgodziła się. – Oczywiście, że mogę, a potem porozmawiamy o Mrówce.

– Dobrze, pogadamy o mrówce. Możemy rozmawiać o ptaszkach, pszczołkach i jaszczurkach, ale teraz zadzwoni do Wioletki i dowiedz się, jak minął jej wieczór, o czym rozmawiali z Dębskim, czy zachowywał się dziwnie. Wyciągnij z niej, co się da. Proszę – dodał szybko na koniec. Tak na wszelki wypadek, gdyby jego zniecierpliwienie weszło w etap warczenia.

– Dobrze, że o tym wspomniałeś, bo interesuje mnie też Czapla – poinformowała go.

Salomea odpisała jej, wyjaśniając, że krzyże, które zrobiła przy nazwiskach, określają poziom zagrożenia. Najwyższy poziom miał Czapla. Lepiej trzymać się od niego z daleka. Matyllda była innego zdania. Nie idzie się na strzelaninę z nożem. Konfrontacja Mrówki z Czaplą powinna zająć obu wystarczająco, by cebesie mieli pełne ręce roboty.

Wioletka odebrała po pierwszym sygnale, piszcząc jak mała dziewczynka.

– Pani Matylldo! Jak ja się cieszę, że pani zadzwoniła! Mówiłam już Renatce i Malwinie o Artim, ale tak mnie radość rozpiera, że podzielę

się i z panią. To był wspaniały wieczór! Wspaniały! Arti jest taki romantyczny! Nie mógł oderwać ode mnie wzroku. Mówię pani, że wążanie się opłaciło.

– Wążanie czego?

– Wszystkiego! Dzięki temu miałam cudownie płaski brzuch i sukienka wyglądała zjawiskowo. Nawet Arti to zauważył.

– Sukienkę?

– Też, ale powiedział, że ja jestem zjawiskowa! Zjawiskowa, pani Matylde! Czy ktoś powiedział pani coś takiego kiedykolwiek?

– Raz zostałam nazwana zjawiskiem, jednak nie uznałabym tego za komplement – wyznała.

– Bo pewnie nie był. Z pani figurą, a raczej jej brakiem, „zjawiskowa” do pani nie pasuje, ale pani też może być atrakcyjna, tylko musi pani przestać tyle jeść!

– Właśnie wążam kawę.

– Kawę można pić. Jedna filiżanka to jedna kaloria. Tylko bez mleka! I bez cukru! Słodzi pani?

– Tak, ale nie piję. Wążam – uroczyście zapewniła ją Matylde.

– Bardzo dobrze. Ale jak do wążania, to zalecam cappuccino. Aromat jest niezmierny – poradziła jej Wioletka.

– Świetny pomysł, dziękuję. Pani Wioletko, czy poza komplementami pan Dębski coś jeszcze mówił?

– Tak, o jakimś projekcie, ale nie słuchałam. Same nudy. Obiecał za to, że zaprojektuje mi cmentarz. Czy to nie świadczy o tym, że myśli o mnie przyszłościowo?

– Z pewnością. – Oby nie chodziło mu o jej nagrobek, pomyślała Matylde. – Czy pytał panią o... coś?

– Czy się oświadczył? Nie, no skąd! Na firmowym bankiecie? – Była wyraźnie zdegrustowana tak pospolitym pomysłem.

– Oczywiście, to byłoby bardzo nieromantyczne.

– Jestem pewna, że ma plan.

- Plan? Dotyczący czego?
- Pytał o Wujka i jego interesy.
- Tak bezpośrednio?
- Wyznał, że bardzo go niepokoi ta cała obstawa. Nie dziwię się, bo ochrona, którą przydzielił mi Ksawery, wygląda tak, jakbym miała potrzebować obrony przed ochroną.
- W to wierzę – mruknęła. – A proszę mi powiedzieć – ignorowała robiącego do niej miny Groma, który nie słyszał, o czym mówiła Wioletka, ale i tak poganiał mimicznie Matyldę – czy coś panią zaniepokoiło?
- Nie, nikt nam nie groził. Może ten prześladowca dał spokój?
- Jak zobaczył, jaką armią pani dysponuje, to możliwe.
- Co nie? – zachichotała. – Jestem tak szczęśliwa, że chyba zjem jajecznicę na parze! Z jednego jajka. Bez żółtka.
- Wspaniale... – Matylda zaciągnęła się aromatem przyniesionej przez kelnerkę zapiekanki z grubą warstwą ciągnącego się sera. Ksawery zamówił dla niej zapiekankę makaronową z mięsem, groszkiem, sosem bolońskim i serem. Sądząc po wielkości korytka, w którym podano posiłek, podwójną porcję. – Prawdziwa rozpusta.
- A co tam! Raz nie zawsze!
- Pani Wioletko, Artur wspominał może o czymś... interesującym?
- O podróży poślubnej? Jeszcze się nie oświadczył! Pani jest bardziej niecierpliwa ode mnie!
- Na to by wyglądało... – przyznała Matylda. Nie miała pojęcia, o co by tu jeszcze zapytać. – Więc wążchaliście jedzenie. Artur mówił. Pani była zjawiskowa. Coś jeszcze się wydarzyło?
- A wie pani, że tak?! Jakiś wariat biegał po parkingu i domagał się zwrotu grabek! Wyobraża sobie pani?
- Z trudem.
- Od razu powiedziałam Artiemu, że to pewnie jakiś zwolniony ogrodnik, a nie żaden wariat. Zapomniał grabek. Nie wiem tylko,

dlaczego szukał ich na parkingu, jak tam nic nie rośnie! Arti też nie wiedział!

– Domyślam się. To musiał być bardzo ciekawy wieczór. Aż szkoda, że się skończył. O której wróciła pani do domu?

– O, dobrze po trzeciej. Arti mnie odwiózł. Umówiliśmy się na jutro! Zjemy obiad z Wujkiem!

– O, pan Dębski pewnie się ucieszył.

– Jeszcze o tym nie wie – zachichotała dziewczyna. – Wujek prosił, żeby go przyprowadzić. To będzie niespodzianka.

– Wspaniale.

– No nie?! Przedstawię go oficjalnie rodzinie! I co pani na to?

– To duży krok naprzód.

– No nie? I wszystko dzięki pani!

– Jak to? – zdziwiła się Matylda. – Nic takiego nie zrobiłam!

– No nie wiem. Wujek powiedział, że uruchomiła pani lawinę zdarzeń.

– Tak powiedział?

– Dokładnie tak.

– A co jeszcze powiedział?

– Że już nie da się jej zatrzymać i trzeba działać szybko.

– Aha... A coś bardziej konkretnie?

– Konkretnie to nie wiem.

– A w jakim był nastroju, jak to mówił?

– W bardzo dobrym, dlaczego pani pyta?

– Tak sobie. Bardzo lubię pani wujka Wujka.

– On też panią lubi. Mówi, że uwielbia pani wykrętny umysł i że załatwia pani dla niego coś, co ustawi mnie do końca życia.

Bardzo krótkiego, jeśli nie pozbędzie się wcześniej Dębskiego, a czasu zostało niewiele.

– Tylko powiedział jeszcze coś bardzo dziwnego do tego.

- Naprawdę? – zainteresowała się.
- Nie wiem, jak to interpretować, ale wspominał coś o dzieciach.
- Czyich dzieciach? – zaniepokoiła się.
- Nie wiem czyich. Podobno moich, ale ja nie mam żadnych dzieci.
- Może marzą mu się wnuki?
- Będzie ciężko, skoro Wujek nie ma swoich dzieci.
- Traktuje panią jak córkę. Może uważa, że pani dzieci to jego wnuki.
- Nie zamierzam mieć dzieci! – zawołała przerażona dziewczyna. – Co miałabym z nimi robić?
- Czy ja wiem? Kochać?
- To może ja ciulałkę mu kupię?
- Wujek na pewno się ucieszy. Pani Wioletko, muszę kończyć. Cieszę się pani szczęściem. Będziemy w kontakcie. Pa! – Rozłączyła się i spojrzała gniewnie na Groma. – Powiesz mi, dlaczego musiałam odbyć tę idiotyczną rozmowę? Jestem brzydka i wykrętna, a Wujek uważa, że nasza wizyta w Gdańsku zmieni życie Wioletki na lepsze. Jak ma zmienić na lepsze, skoro naszym celem jest zmienienie życia Dębskiego na gorsze?
- Czyż to nie definicja jego ewentualnego małżeństwa z Wioletką?
- Zacisnęła wargi, by się nie roześmiać. Skubany! Miał rację!
- Wioletka jest zjawiskowa. Arti chce jej się oświadczyć. Jutro mają proszony obiad u Wujka, o czym Arti jeszcze nie wie, bo to niespodzianka. Jedyne odbiegające od normy, co się wydarzyło, to ogrodnik szukający grabek. Powiesz mi, o co chodzi?
- Dębski zniknął.
- Jak to zniknął?
- Nie ma go.
- Nie ma go gdzie?
- Nie ma go nigdzie.
- Nigdzie to bardzo wiele miejsc! – zawołała spanikowana. – Uciekł?

- Nie wiem. Do domu nie dotarł. Odwiózł Wioletkę, a potem zniknął.
- Nie wierzę, że go nie obserwowaliście!
- Chłopaki nawalili, ale namierzyli jego samochód. Jest na lotnisku.
- Odleciał? Niemożliwe...

Tknęła ją bardzo zła myśl. Bardzo, bardzo zła. A co... jeśli... Dębski został porwany? A samochód to tylko podpucha? Mieć takiej akcji by nie ogarnął, ale Mrówka jak najbardziej.

- Wujek wie?
 - Na razie nikt nie wie. Czy jest możliwość, że i tym razem zrobiłaś coś po swojemu, nikogo nie słuchając, i wysłałaś kogoś za Dębskim?
 - Na przykład kogo?
 - Kogoś kompetentnego? – Podobno nadzieja umiera ostatnia. Tym razem szybko poszło. Mina Matyldy zdecydowanie mówiła: NIE.
 - Nie – powiedziała głośno.
 - W takim razie musimy wracać – zdecydował.
 - Nie, musimy dokończyć zlecenie Wujka – sprzeciwiła się. – Za pilnowanie Dębskiego nikt mi nie płaci. Mam inne zadanie i zamierzam je wykonać! Nie podpadnę Wujkowi jeszcze bardziej!
 - Cokolwiek odkryjemy, nie ma to najmniejszego znaczenia, jeśli nie będzie Dębskiego!
 - A to już, pozwolę sobie zauważyć, nie mój problem.
 - Ale mój! Miałem mieć na niego oko!
- Aha! I tu go masz! – zawołał triumfalnie głos, który teraz brzmiał zupełnie jak ten Salomei Gwint. Ochryple i władczo.
- Jebaniutki, zgodził się radośnie głosik.
- To cię bawi? – spytał z niedowierzaniem Ksawery.
 - Nie, ale właśnie do mnie dociera, że Mrówka nie będzie moim największym problemem!
 - Co ty masz z tą mrówką?! – podniósł głos. – To jakieś hasło, którego nie rozumiem?! I przestań wachać tę kawę, tylko ją pij!

Mężczyźni tracą przy bliższym poznaniu, pomyślała z nagłą niechęcią. Może jednak powinnam przemyśleć ten rozwód? Roman przynajmniej jest nieszkodliwy. Nie wiadomo, na kogo trafię, gdybym zdecydowała się szukać.

– Benjamin Pocisk. Pseudonim Mrówka.

– Słu... słucham? – wyjąkał zszokowany.

Nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby Matylda wyjęła teraz z torebki broń i strzeliła mu prosto w twarz.

– Cieszę się, że w końcu udało ci się skoncentrować uwagę i zacząć słuchać. – Była zła jak osa. – Zgubiłeś Dębskiego. Praca dla Wujka zupełnie nie idzie po mojej myśli, bo więcej czasu i energii muszę poświęcać na to, żeby utrzymać się przy życiu. Miecio wziął w łapę od Mrówki, nagadał mu diabli wiedzą co, a Mrówka porwał mnie wczoraj i zmusił do przyjęcia zlecenia, bo myśli, że jestem błyskotliwa i inteligentna, do tego skuteczna i zupełnie pozbawiona moralności. Nawet nie wie, jak się myli, a ja nie mam odwagi wyprowadzić go z błędu.

– Co do czego?

– Do wszystkiego. Gdy wczoraj zaginęłam, to nie byłam zaginiona, tylko porwana. Wywieziona w trumnie i pogrzebana pod tonami kociego żwirku.

Ale zmyślasz, zganił ją głosik. To nie był koci żwirek!

– Następnie zastraszona i zmuszona do wymyślenia planu, który pozwoliłby mi uwolnić się od was wszystkich.

– Dlaczego nie powiedziałaś od razu? – spytał z przejęciem.

Gdyby na restaurację spadła bomba, nie byłby bardziej zaskoczony.

– Komu? Wujkowi? Przecież on lada moment wyzionie ducha, czyż nie? Mrówka jest przekonany, że Wujka śmierć już goni. I kto mnie ochroni, jak jego nie będzie? Ty?! Śmiechu warte! Muszę się pozbyć ich wszystkich, a Salomea mi w tym pomoże!

– Stop – przerwał jej. – Czego chce Mrówa?

– Kontaktów Wujka.

Ksawery w mig zrozumiał, w czym rzecz.

– Chce zająć jego miejsce? On? – prychnął wzgardliwie. – To bezmózgi brutal. Nikt nie będzie z nim pracował. Nie gracze kalibru Wujka. Żadne kontakty mu w tym nie pomogą.

– To właśnie mam mu powiedzieć? – zakpiła.

Wyraz twarzy Ksawerego mówił sam za siebie. Mrówa źle przyjmuje odmowy.

– Czyli to o Wujku to prawda? – spytała.

– Tak – odparł krótko.

– Ma zastępcę?

– Nie.

– To co będzie z jego interesami?

– Legalizuje je – odpowiedział, nie wdając się w szczegóły.

– A co z jego klientami? Jest pośrednikiem. Łączy ludzi. Kto będzie to teraz robił?

– Już ich połączył, przynajmniej część. Z części interesów się wycofał, podając klientom namiary wzajemnie na siebie, by mogli podjąć bezpośrednią współpracę...

– Wspaniale, jakie dobre serduszko.

– Bynajmniej, przy okazji zgarnął niezłą prowizję.

– No tak, co ja sobie myślałam... Ale zaraz, zaraz, w takim razie po Wujku nie pozostanie zupełnie nic? Żadna scheda, o którą bandyci będą mogli się pozabijać?

– Nie.

– Ale... W takim razie... – jąkała się. Jej plan zniszczenia polskiego podziemia przestępczego właśnie legł w gruzach. – Czy ktoś o tym wie?

– Tylko ja i Piasecki.

– Wiadomo, Piasecki. Pewnie dziedziczy klientów Wujka.

– Dokładnie.

– To po co wam ta szopka z Dębskim?!

– Wujek dostrzegł w tym interes, który zabezpieczy wszystkich jego krewnych. Chce utopić w nim ponad połowę swoich finansów. Piasecki opracowuje umowę funduszu powierniczego. Zostanie niezależnym powiernikiem, nadzorującym funkcjonowanie tego funduszu, jeśli dobrze ogarniam temat. Założycielem będzie oczywiście Wujek, beneficjentami członkowie jego rodziny. W ten sposób zabezpieczy też przyszłe pokolenia. Beneficjentami będą dzieci, ale nie ich małżonkowie. Wszystko pozostanie w rodzinie.

– A co z tobą?

– Będę dalej świadczył swoje usługi. Legalne firmy też potrzebują ochrony – zakpił.

– Moment... Z tego, co mówisz, wynika, że kość nie istnieje.

– Jaka kość? – nie zrozumiał. Kolejna metafora, którą pojmuje wyłącznie Matyllda.

– Kość, o którą będą walczyć psy.

– Jakie psy? Wiem, że do czegoś zmierzasz, tylko kompletnie nie rozumiem do czego. Wiem jedynie, że Dębski zniknął, a musimy mieć jego ziemię, bo tam właśnie Wujek chce zainwestować kasę. Skąd ja mu wytrzasnę kolejny interes życia?

– Z tego, co mówią kolesie cebesie, nasze psy to Czapla, Mrówa, Tutka, Podgardle i Prosiaczek.

Ksawery sprawdził, czy ma pod marynarką broń. Rozejrzał się po lokalu i dopiero wówczas spojrzął na Matylldę.

– Skąd ich znasz? – spytał przyciszonym tonem.

– Nie znam. Salomea podała mi nazwiska pretendentów do tronu po śmierci Wujka. To właśnie ta sfora psów, która pozagryza się o kość. Jak się dowiedzą, że nie istnieje...

– Nie mogą się dowiedzieć. Rozpęta się piekło.

– Ale to by rozwiązało mój problem z Mrówką. Być może, choć niekoniecznie. Już wie o moim istnieniu. Prędzej czy później przywlecze się z powrotem, a wie, że może mnie zmusić. Na pewno z tego skorzysta.

– Jeśli wojna zacznie się już teraz, niczego to nie rozwiąże. Wujek nie da rady odeprzeć ataków. Dlatego jeździsz na spotkania w trumnie. Nikt nie wie, że jest w Polsce!

– Miecio wie, a jak Miecio wie, to i Mrówka wie. Mówiłam, że to Miecio mnie uprowadził na jego zlecenie? Nie mówiłam? Wydawało mi się, że mówiłam.

– Skurwysyn! – zaklął. – I tak, mówiłaś. Nie powiązałem faktów... Jasna cholera! – powiedział, czując, jak jego ciało zaczyna przypominać balon, z którego ktoś spuszczał powietrze. – Zajebię gównojada.

– Możesz, ale to nie pomoże. Lepiej go wykorzystać.

– Do czego? Do niczego się nie nadaje! To debil!

– Wiem, ale to nie przeszkadza. Przecież nie on będzie zarządzał funduszem.

Ksawery nie odpowiedział. Miał swoje plany dotyczące tej ziemi, niezwiązane z Wujkiem, lecz nie zamierzał mówić o tym Matyldzie. Jeszcze nie teraz, a może wcale. Jeżeli nie znajdą Dębskiego, nie będzie miało to znaczenia. Kupiec dobierze mu się do dupy, jeśli nie wywiąże się z obietnicy.

– Możemy sprzedać mu fałszywkę, którą puści w obieg – powiedziała.

– Jak nie przekręci. Jaką fałszywkę?

– Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę – obiecała.

– Jasna cholera! – zaklął. – Wszystko się sypie. Nie masz żadnego planu!

– Takiego szczegółowego to nie, ale mam kilka pomysłów do rozważenia. Pomożesz nam? – spytała, wbijając w końcu widelec w zapiekankę.

Ksawery pokręcił głową.

Poczuła się jak kopnięty pies.

– Kurwa, tak, wchodzę w to! – zdecydował. – Ale musimy obmyślić szczegółowy plan. Bardzo, bardzo szczegółowy. Żadnej improwizacji. Żadnego „jakoś to będzie”. Żadnego „a nuż się uda” albo „nasypiemy

cukru do benzyny i poczekamy, co się stanie”, jasne? Musimy mieć plan! I rozważyć możliwe konsekwencje!

– To oczywiste – zgodziła się z nim. – Musimy jeszcze ustalić, co wnosisz do naszej spółki. Ja wnoszę intelekt. Salomea koleśków cebesów i ich informatorów. A ty?

– Informacje z wewnątrz – wycedził. – Ochronę. I jestem gotów na rzeczy, których ty nawet nie potrafisz sobie wyobrazić.

– Brzmi nieźle – uznała Matylda z pełnymi ustami. – Ależ byłam głodna. Dzięki za obiad. Ustalmy plan na weekend. Twój ludzie szukają Dębskiego, zgadza się?

– Zgadza – przytaknął.

– My zdobywamy informacje na temat Dębskiego dla Wujka.

– OK.

– A przy okazji obmyślimy, jak się pozbyć z naszego życia Wujka i Mrówy.

– Wujek... to tylko kwestia czasu. Jego akurat możesz sobie odpuścić. Kiedy ogarniemy sprawę Dębskiego, da ci spokój, bo nie będziesz mu już do niczego potrzebna. Problemem jest tylko Mrówka.

– Dlatego planuję wzajemne zniszczenie. Nie załatwię Mrówki. Ty też nie. A konkurencja tak. Ale sądzę, że kogoś pomijamy.

– Co masz na myśli?

– Tak sobie składam dwa do dwóch i wychodzi mi sześć.

– Nawet nie wiem, co to znaczy.

– Salomea podała mi pięciu chętnych, żeby zasiąść na Żelaznym Tronie. Kolesie cebesie robią zakłady, któremu się uda, i obserwują ich każdy krok, czekając, aż powiną im się nóżki. Można by rzec, że sami pod sobą dołki kopią.

– Pewnie powołano grupę specjalną. To często się zdarza. No i?

– No i nic. Sądzę, że jest jeszcze szósty gracz.

– Nie można tego wykluczyć – ostrożnie przyznał Ksawery. – Choć to niczego nie zmienia. Nie działamy, żeby obronić Wujka i jego schedę, tylko żeby wybronić ciebie. I mnie. Nie ma znaczenia, kto jeszcze jest,

bo naszym celem jest rozwiązanie naszych problemów, a nie uratowanie miasta. Mamy wytypowanych chętnych do zajęcia miejsca Wujka. To najważniejsi gracze w mieście. Zgadzam się, że możemy napuścić ich na siebie. Musimy tylko dobrze to rozegrać, żeby, jak już opadnie pył, nie okazało się, że na arenie leżą nasze ciała nabite na piki.

– Gdybyś miał wskazać szóstego gracza, kto by to był?

– Pojęcia nie mam. Nikt więcej nie jest w stanie z nimi rywalizować. Ale jak już rozpętasz wojnę, którą planujesz, ktoś na pewno pozbiera resztki i wypłynie na szerokie wody.

– A Podkowa?

– Podkowa całkowicie odpuszcza rywalizację. Legalizuje działalność, odcina się od korzeni, że tak powiem – stwierdził. – Kiepski typ. Odpada w przedbiegach. Gość nawet nie wystartował.

– Nie wydaje mi się. Na moje oko wystartował już dawno. Cebesie mu odpuścili, bo się wycofał. Skupiają się na tej piątce jako aktywnych grupach przestępczych. Podkowa zyskał wolną rękę.

– Podkowa nie ma już zaplecza. Pozbył się większości ludzi.

– Tak, wspominałeś o tym nie dalej jak przed kilkoma minutami. I naprowadziłeś mnie na myśl, że to on jest szóstym graczem. Czarnym koniem wyścigu. Podkowa wcale się nie wycofał – wyjaśniła. – Sam powiedziałaś, że część jego ludzi przeszła do Wujka. Nie sądzisz, że to idealne miejsce na zbudowanie nowego zaplecza i zdobycie informacji?

Grom wyglądał jak porażony... gromem.

– Jest sześciu graczy, jednak liczy się tylko jeden. Pomożemy mu wygrać – powiedziała z triumfem. – Teraz pewnie chcesz zapytać jak? Tak, żeby nie wiedział o naszym udziale, a na pewno nie o moim. Jak to zrobimy? Powiem tak: nie mam pojęcia! Ale w jednośi siła! Damy radę! Jak trzech muszkietierowie!

*

Antoni przeglądał zdjęcia, które Kaśka skopiowała w biurze Matyldy. Interesowały go nie tyle miejsca, ile uchwycone na nich osoby. Sprawdzał uważnie każdą twarz, starając się je zapamiętać.

– Co robisz? – spytała Mizera. Wyłączyła telefon i odłożyła go na stół.

– Właściwie to nic – przyznał. – Gdyby to była normalna sprawa o nękanie, sprawdzałbym, czy przypadkiem nie uchwycono ewentualnego prześladowcy.

– Nie możemy wykluczyć jednoznacznie, że go nie ma. Matylda wspominała, że Dębski może znać prześladowcę i go kryje. Może to jakaś chora gra? – zastanawiała się głośno. – Bratowa Artura była kiedyś jego dziewczyną, rzuciła go dla brata. Artur zaczął sypiać z kobietami, które wyglądają jak ona, by ukarać brata...

– A nie ją?

– Nie, to brat mu ją zabrał. Puka te panienki, jakby chciał powiedzieć tamtemu: Nadal ją mam. Jak byś się poczuł, gdyby twój brat znalazł sobie klona twojej żony?

– Nie mam ani brata, ani żony, ale twoja teoria jest interesująca – przyznał.

– Wyjaśniałaby, dlaczego Dębski nigdy nie zgłosił nękania i odwodził od tego swoje dziewczyny – stwierdziła. – Ale to tylko teoria. Dwóch braci grających w chorą grę, a pośrodku modliszka, która rozgrywa ich między sobą. To byłby niezły motyw na thriller.

Zabrzączał telefon Mareckiego.

– Matylda dzwoni – powiedział Antoni z nutką ekscytacji w głosie. – Witam, pani Matyldo.

– Daj na głośnik – poleciła mu Kaśka.

– Pani Matyldo, komisarz Mizera jest ze mną. Witamy!

– Dobre wieści – oznajmiła detektyw Dominiczak. – Dzwoniła Mariola Urbanek! To dziewczyna z początku roku. Świeżynka.

– Wspaniale! – wykrzyknęła Kaśka. – Skierowała ją pani do mnie?

– Jeszcze nie – powiedziała. – Oddzwonię do niej za jakąś godzinę, niech jeszcze trochę się pogotuje.

– Oszalała pani? – zawołała. – To my bawimy się we współlokatorstwo, żeby pilnować tematu, jak należy, a pani gotuje nam pokrzywdzoną?! Oszalała pani?

– Straszny z pani niecierpek – stwierdziła Matyllda. – Jak pani to sobie wyobraża? Witam. Tak mi przykro. Dam pani namiary na komisarza, który się panią zajmie. Życzę miłego dnia? Już widzę, jak pędzi to zgłosić. Trzeba rozegrać sprawę rozważnie. Powiedziałam, że jestem poza miastem i nie mogę jej w tej chwili pomóc. Proszę, aby była ostrożna i nie zostawała sama. Postaram się jakoś jej pomóc, ale najważniejsze, jeśli prześladowca wrócił, to trzeba jak najszybciej powiadomić Dębskiego, bo może mu coś grozić.

– Pani chyba oszalała! – stwierdziła Mizera, nie kryjąc złości. – Robimy z siebie idiotów, a pani prowadzi jakieś swoje rozgrywki? Wykorzystała nas pani?!

– Czekał. – Marecki uciszył ją ruchem dłoni. – Jaki ma pani plan, pani Matylldo? Chce go pani sprowokować?

– Nie jego. Ją. Dębskiego nie ma. Telefon nie odpowiada. Samochód jest na parkingu na lotnisku.

– Uciekł?

– Możliwe, chociaż nie wydaje mi się. Nie znam jego planów. Może miał jakiś zaplanowany wylot. Wiem, że jutro jest umówiony z aktualną dziewczyną, więc na razie nic nie wskazuje na ucieczkę – wyjaśniła spokojnie Matyllda. – Jeśli to zrobił, i tak nie możecie go szukać ani zatrzymać, bo nie macie ku temu powodu. Obstawiam, że po tym, jak Marioli Urbanek nie uda się z nim skontaktować, ta kobieta pojedzie do niego. Oczywiście go nie zastanie, ale nie ma przeszkód, żebyście za nią pojechali i w ten sposób zdobyli jej adres. Na wypadek gdyby jednak nie zdecydowała się zgłosić do pani komisarz.

– Jak się nie zgłosi, to leżymy!

– Tak dokładnie to leży komisarz Marecki, a nie pani – zauważyła Matyllda. – I powoli. Minęło ledwo kilka godzin od czasu rozpoczęcia akcji, a już mamy pierwszą rybkę.

– Pani Matylldo, jeśli nie zgłosi się ani Urbanek, ani żadna z tych kobiet... nie możemy tej akcji prowadzić w nieskończoność – zauważył Marecki.

– Nie musicie. Najważniejsze, że dostałam pierwszy telefon. Mogę być bardzo zaniepokojona i zadzwonić do pozostałych kobiet z pytaniem, czy wszystko w porządku. Oczywiście dowiem się, że nie, więc

zaniepokoję się jeszcze bardziej i wyznam z obawą, że inne dziewczyny Dębskiego również otrzymują głuche telefony i to jest ten moment, kiedy trzeba sprawę zgłosić na policję, bo moim zdaniem robi się niebezpiecznie. Oczywiście nikt ich nie zrozumie lepiej niż inna kobieta, pani komisarz Katarzyna Mizera, specjalizująca się w przemocach wobec kobiet. Łatwiej iść do konkretnej osoby, niż zgłaszać oficerowi dyżurnemu, że ktoś po nocy wydzwaniania i nie daje spać. Pani już odpowiednio zakwalifikuje sprawę, żeby nie wyszło z tego marne wykroczenie o zakłócanie ciszy nocnej. Jak to brzmi?

– Szatańsko dobrze – przyznała z zakłopotaniem Kaśka.

– Pani mnie przeraża – powiedział Marecki, a jego głos nie brzmiał jak głos kogoś zachwyconego tym faktem.

– Siebie czasami też – przyznała się Matylda, kryjąc rozbawienie, by nie zaognić sytuacji.

– Często wdraża pani w życie takie makiaweliczne plany? – spytał podejrzliwie komisarz.

– Na szczęście nie. Większość ludzi chętnie rozmawia z detektywem, zwłaszcza starsze osoby. Są nieocenionym źródłem informacji, choć trzeba co nieco odsiać, żeby dojść do sedna. Gdyby nie gonił nas czas, obmyśliłabym coś mniej wątpliwego moralnie. W tej sytuacji nie mamy wyjścia. Proponuję się rozdzielić i czatować pod mieszkaniem Dębskiego. Mam nadzieję, że złapiecie więcej rybek. Będę informować na bieżąco.

– Jeśli pani nie wie, dokąd poleciał Dębski, jaką ma pani gwarancję, że nie odbierze telefonu od którejś z tych dziewczyn?

– Wiem, że je zablokował i usunął nawet ze znajomych na Facebooku. Podobno odcinając się tak definitywnie, chciał je w ten sposób ochronić. Wątpię, żeby którakolwiek się do niego dodzwoniła, nawet gdyby miał włączony telefon.

– W takiej sytuacji zadzwoniłabym z innego numeru.

– Oczywiście, i pewnie któraś to zrobi. Dębski niewątpliwie będzie próbował je odwieść od zgłoszenia się na policję. Ale z pewnością podważę zaufanie do niego, gdy wspomnę o jego rodzinie z Gdańska, która świetnie się miewa i nadal chodzi po tym ziemskim łez padole – powiedziała z emfazą.

– Jaki to ma związek? – spytał Marecki.

– Dębski sprzedał wszystkim kobietom bajeczkę o śmierci rodziców i brata w wypadku samochodowym, podczas którego zginęła również jego narzeczona. On sam przeżył rzekomo tylko dlatego, że zasiedział się w pracy. Sprzedał wszystkim tę rzewną historyjkę. Kłamstwo ma krótkie nogi, a kobiety nie lubią być oszukiwane. To powinno pomóc, by popchnąć je we właściwą stronę.

– Wciąż używa pani liczby mnogiej, a zadzwoniła do pani tylko jedna osoba.

– Zgadza się, ale jak mówiłam, nic nie stoi na przeszkodzie, bym obdzwoniła pozostałe. Naprawdę musimy to wałkować po raz kolejny? – spytała.

– A jak pani wyjaśni, dlaczego akurat do mnie je pani wysłała, gdyby Obszmurek pytał?

Matylda zachichotała.

– Wątpię, żeby pytał mnie o cokolwiek. Jestem pewna, że przekaże sprawę komuś innemu. Mam tendencję do przekręcania nazwisk, a jego ma tyle sylab i takie brzmienie zgłosek, że wciąż wychodzi mi Obszczymurek lub Oszczymurek, ewentualnie Obszczurek. To ostatnie podoba mi się najbardziej. Jeszcze nie jest zbyt oklepane! Gdyby jednak pytał, w razie potrzeby zeznam zgodnie z prawdą, że po telefonie pani Urbanek skontaktowałam się z innymi paniami i bardzo się zaniepokoiłam tym, co od nich usłyszałam. To oczywiście, że poradziłam im zgłoszenie sprawy.

– Ale dlaczego mnie?

– Bo polecił panią komisarz Tomczak, który wykonywał dla mnie różne zlecenia. Oczywiście poznałam panią osobiście podczas jednej ze spraw, choć nie jestem pewna przy której, ale czy to ma znaczenie?

– OK. – Kaśka się uspokoiła. – To ma sens i dobrze brzmi. Bardzo naturalnie.

– Niech pani nie zachowuje się tak, jakby miała coś na sumieniu, a będzie dobrze – poradziła jej Matylda. – Przepraszam, ale muszę się rozłączyć. Mam pracę, za którą mi płacą.

Po zakończeniu rozmowy Mizera spojrzała kwaśno na kolegę.

– Czy ona nam wypomniała, że nakłoniła nas do przestępstwa, a my jej za to nie zapłaciliśmy?

– Nie dam się w to wciągnąć. To wasze przepychanki. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – odpowiedział stanowczo. – Jedziemy pod mieszkanie Dębskiego. Znasz kogoś na lotnisku?

– Nie bardzo, a co?

– Musimy się dowiedzieć, dokąd poleciał. Mógł nawiać.

– Nic na niego nie mamy.

– Ale mógł uznać, że grunt mu się pali pod nogami. Może macie rację co do niego i ten facet ma całkiem sporo na sumieniu. A ja muszę się czymś zająć, nim zacznę się zastanawiać, ile razy ta Dominiczak mnie przerobiła! – stwierdził ponuro.

*

Firma architektoniczna Dębskich mieściła się w budynku z czerwonej cegły, o fasadzie w kształcie kwadratu, z fikuśnymi oknami, stylizowanym na znacznie starszy, niż był w rzeczywistości. Matylda nie знаła się na stylach architektonicznych, jednak dostrzegła, że dom został dostosowany wyglądem do innych w starej części miasta, by nie raził niepasującą do otoczenia nowoczesnością.

– Zaczekaj. – Ksawery powstrzymał ją przed wejściem do środka. – Nie mamy historyjki.

– Oczywiście, że mamy. Powiemy prawdę – odrzekła ze zniecierpliwieniem.

– Którą prawdę?

– Szukamy zaginionej dziewczyny.

– Mamy zaginioną dziewczynę?

– Mamy. Aż cztery.

– Ja już tu byłem – powiedział Grom. – Sprzedałem historyjkę o inwestorze. Może...

– Nie.

– Ale...

- Nie zgadzam się. Moja jest lepsza, bo prawdziwa.
- Nie wiesz, co chciałem powiedzieć.
- Nieistotne. Będę improwizować. Czuję, że mam natchnienie – powiedziała, wbiegając po schodach.
- Ustaliliśmy, że żadnych improwizacji! – zdenerwował się i szarpnął ją za łokieć, by zmusić do zatrzymania się.
- Ale to dotyczyło wiesz kogo i czego, a nie tego – stwierdziła, wchodząc do środka. – Po prostu spróbuj nadażyć i przytakuj.

Podeszła do recepcji i uśmiechnęła się do sekretarki.

– Dzień dobry, chciałabym porozmawiać z jednym z właścicieli. Nazywam się Matylda Dominiczak i jestem prywatnym detektywem. – Pokazała licencję i podała kobiecie wizytówkę.

– Była pani umówiona? – Sekretarka zmierzyła ją chłodnym, wyniosłym spojrzeniem.

Matylda w swobodnym stroju niewątpliwie nie pasowała do wystroju wnętrza, prezentując się niezbyt elegancko.

– Niestety, to nagła sprawa, ale bardzo pilna. Czy mogłaby pani powiadomić pana Mateusza lub Romualda o mojej obecności? – Pech chciał, że chustka zaczęła zsuwać jej się z głowy, odsłaniając część łysiny. Matylda szybko poprawiła prowizoryczny turban, ale upuściła torbę.

Grom schylił się automatycznie, by ją podnieść. Gdy ponownie spojrzał na sekretarkę, zamierzając użyć męskiego uroku, który niejednokrotnie pozwalał mu wejść tam, gdzie nie był mile widziany, ze zdumieniem spostrzegł, jak surowy wyraz twarzy kobiety zmienił się nagle. Rysy się wygładziły, oczy nabrały ciepła, z tym że sekretarka nie zwracała na niego uwagi. Patrzyła na Matyldę.

- Proszę, niech pani usiądzie. Zobaczę, co da się zrobić – powiedziała.
- Nie ma potrzeby. Postoję.
- Nie, nie, tam jest sofa. – Wskazała na siedzisko pod jednym z filarów z dwiema palmami po bokach. – Proszę usiąść i zaczekać. Może coś pani podać? Wody?

– Nie, dziękuję, nie ma takiej potrzeby.

– Co dokładnie mam powiedzieć panu Mateuszowi? W jakiej sprawie chce się pani z nim widzieć? – spytała uprzejmie i serdecznie.

– Chodzi o zaginięcie młodej kobiety – wyjaśniła. – Być może pan Dębski byłby w stanie pomóc.

– Oczywiście. Powiem mu osobiście, że pani jest i czeka.

– Bardzo pani uprzejma. – Matylda rozpromieniła się w szerokim uśmiechu.

Ksawery przerzucił torbę przez ramię, delikatnie ujął Matyldę pod łokieć i poprowadził zaskoczoną w stronę siedziska.

– Co ty robisz? Poczekam...

– Zamknij się i siadaj – polecił jej z uśmiechem. – Właśnie wygrałaś w lotka.

– Dziwnie się zachowujesz – stwierdziła, ale usiadła posłusznie. – Możesz mi oddać moją torbę?

– Chętnie. – Zsunął worek z ramienia i postawił obok nogi Matyldy. – Co ty tam nosisz? Kamienie? Poczekaj, poprawię ci ten turban, bo znowu ci się zsunie. – Zerknął w górę.

Sekretarka właśnie wracała. Uśmiechnęła się do niego z sympatią. Odwzajemnił uśmiech, podniósł torbę i ponownie przerzucił ją sobie przez ramię.

– Oddaj...

– Zamknij się i wstawaj – warknął, pomagając jej się podnieść, jakby była staruszką.

– Zabieraj łapy – syknęła, uderzając go w rękę. – Nie jestem kaleką.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział z wyrzutem. – Chciałem tylko pomóc.

– To nie pomagaj. I dawaj torbę – zażądała.

Sekretarka spojrzała na niego ze współczuciem. Wzruszył lekko ramionami i podał Matyldzie torbę.

– Pan Mateusz przyjmie państwa.

– Bardzo dziękuję. Jest pani aniołem – podziękowała jej serdecznie i spojrzała na Ksawerego, jakby chciała powiedzieć: Widzisz? Tak to się robi!

Postanowił nie wyprowadzać jej z błędu. Niech myśli, że to jej zasługa, ale w gruncie rzeczy powinien podziękować Salomei Gwint i jej maszynie do golenia. Szkoda, że nie zgoliły jeszcze brwi. Powstałyby idealny kamuflaż.

Mateusz Dębski w niczym nie przypominał brata. Owszem, podobieństwo między nimi było widoczne, ale Artur przypominał wikinga, a Mateusz, no cóż... Budę. Artur wyglądał władczo, a Mateusz zdawał się chować za biurkiem.

Wystrój jego gabinetu również uwydatniał różnice między braćmi.

Na korzyść młodszego.

– Dzień dobry. Nazywam się...

Nie dane jej było dokończyć, gdy starszy z braci Dębskich przerwał jej niegrzecznie:

– Co to za szopka?! Sekretarka mówiła, że prywatna detektyw szuka zaginionej dziewczyny.

– Tak, to...

– Ale ten pan tu już był z jakąś bajeczką o inwestorze. Co to ma znaczyć? Zaraz wezwę ochronę – powiedział groźnie.

Matylda nie zdążyła zareagować, gdy turban znów zsunął jej się z głowy i tym razem upadł na podłogę. Przysięgłaby, że wcześniej poczuła szarpnięcie, ale przecież Ksawery by jej tego nie zrobił! Jak na złość, gdy schylała się, by podnieść szal, straciła równowagę i klapnęła na dywan jak żaba.

– Czy ty... – zaczęła ze złością, lecz nie dane jej było dokończyć, gdyż Grom huknął na Dębskiego:

– Proszę mi pomóc ją podnieść!

Obaj rzucili się ku niej, przy czym Dębski wyglądał na lekko spanikowanego, a Ksawery mrugnął znacząco.

Ty draniu, podstawileś mi nogę! – telepatycznie przesłała mu komunikat w nadziei, że odczytał go z wyrazu jej oczu i wściekłej miny.

– Nic pani nie jest? – spytał Dębski.

Mimo podobieństwa między braćmi wyglądał jak pierwszy, niedopracowany projekt, a Artur stanowił wersję ulepszoną. Mateusz był takim autentycznym rudzielcem, jego kolor włosów można by porównać wyłącznie do świeżo obranej marchewki. Artur miał jasną cerę, błękitne oczy i włosy wchodzące w odcień starego złota zmieszanego z cynamonem. I zero piegów. Twarz i ręce Mateusza wyjaśniały niedobory Artura w tym zakresie. Starszy Dębski miał na skórze tyle piegów, że dla młodszego brata już nie wystarczyło.

– Oczywiście, że nic mi nie jest. Ja tylko...

– Czasami jej się zdarza, ale ostatnio jest coraz lepiej – zapewnił Ksawery, pomagając Matyldzie usiąść na krześle.

– Lepiej z czym? – spytała, lecz Ksawery ją zignorował, zwracając się do mężczyzny, jakby jej tu nie było.

– Pani Dominiczak uparła się, żeby przyjechać osobiście. Sprawa jest pilna. Przepraszam, że wprowadziłem państwa w błąd. Chodzi o pańskiego brata...

Matylda wcisnęła zawój na głowę. Dzięki spinaczom nadal zachował kształt czapeczki, ale będzie musiała skorzystać z opcji polecanej przez kobiety, które poznała w hotelu. Tak będzie bezpieczniej, póki włosy nie odrosną.

– A nie o zaginioną dziewczynę? Jeśli chodzi o mojego brata, wyraziłem się jasno. Nie mam nic do powiedzenia!

– Panowie! Proszę! – przerwała kłótnię. – Nazywam się Matylda Dominiczak i jestem prywatnym detektywem. Szukam zaginionej dziewczyny. Ostatni raz była widziana w towarzystwie pańskiego brata. Nazywa się Wioletta Kaczmarek.

Że co? – Ksawery zdębiał.

– Proszę! To jej zdjęcie! – Matylda podsunęła mu swój telefon niemal pod nos, zmuszając do spojrzenia na młodą kobietę, z ciemnymi krótkimi włosami, ogromnymi oczami, wyraźnie zarysowanym podbródkiem i ostrymi kośćmi policzkowymi. – Może ją pan widział?

– Na litość boską, przecież mówiłem temu człowiekowi, że nie utrzymujemy kontaktu...! – Urwał gwałtownie, gdy jego wzrok padł na zdjęcie. Pobladł, a potem poczerwieniał. Zmiana kolorytu twarzy była tak wyraźna, że nie ukryły jej nawet piegi.

– Ma dwadzieścia pięć lat – powiedziała, kując żelazo, póki gorące. – Proszę, tu lepiej ją widać. – Pokazała kolejne zdjęcie, na którym była cała Wioletka. Pozowała do zdjęcia w krótkich spodenkach, pokazując długie patykowate nogi, a wiązany na szyi top uwydatniał mostek i obręcz żebrową. – Czy może...

– Nie, ja nic nie wiem – przerwał jej Mateusz. Usiadł za biurkiem, ale wyraźnie oklapł. Ramiona mu opadły. – To... nawet nie wiem, co powiedzieć...

– Panie Dębski, kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– Nigdy. Ja...

– Pańska reakcja wydaje się temu przeczyć.

– Nigdy jej nie spotkałem. Nie znam tej kobiety.

– Wioletta po raz ostatni była widziana z pańskim bratem. Rodzina jej szuka, a z pańskim bratem nie możemy się skontaktować. Jego samochód znaleziono dzisiaj rano na lotnisku. Pan Artur ma wyłączony telefon. Proszę więc się nie dziwić, że mój współpracownik wprowadził pana w błąd. Rodzina jest zrozpaczona. – Zmieniła ostry ton na łagodniejszy, współczujący. – Wszelka pomoc jest na wagę złota, panie Mateuszu. Nie twierdzę, że pański brat ma coś wspólnego z zaginięciem pani Kaczmarek, ale skoro nie możemy skontaktować się z nim, postanowiłam porozmawiać z jego rodziną. Ktoś musi coś wiedzieć. Jeśli nie o Wioletcie, to może chociaż o Arturze.

Grom za wszelką cenę starał się zachować kamienny wyraz twarzy. Zdaje się, że akcja „Chemia” była zbędna. Poczul się jak idiota. Matylda załatwiła sprawę bezbłędnie, pokazując Mateuszowi rzekomo zaginioną dziewczynę.

Wioletta i Natalia Dębska były do siebie podobne jak dwie krople wody. No, może trochę przesadził z tymi kroplami, ale podobieństwo było uderzające. To tak, jakby jego brat pukał mu żonę, pomyślał. Matylda zagrała na emocjach Mateusza, a jego gwałtowna reakcja

świadczyła o tym, że coś jest na rzeczy. On sam w takiej sytuacji by się wkurzył. Na brata. Ten tu wyglądał, jakby zaraz miał się rozpląkać.

– Panie Mateuszu? Potrzebujemy pańskiej pomocy. Wszystko, co może nam pan powiedzieć...

– Przepraszam, nie widziałem tej dziewczyny. Nie znam jej, ale... – Pokręcił głową wyraźnie wstrząśnięty. – Nie wiem, co powiedzieć. Ja... Proszę popatrzeć – odwrócił w ich stronę oprawione w ramkę zdjęcie, które Ksawery widział już wcześniej. – To moja żona, Natalia. Ona...

– O rany... – westchnęła Matylda, jakby widziała ją po raz pierwszy. – Mój Boże, podobieństwo jest... uderzające. Jak...

Tylko nie pytaj go, jak się z tym czuje!

– Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak pan się z tym czuje.

Tylko nie pytaj o romans, bo nas wywali!

– Czy pański brat i żona... czy oni...

Kurwa! – zaklął w duchu Grom, mając nadzieję, że jego myśli nie są wypisane na twarzy.

– Nie, skąd. Nic z tych rzeczy! – Mateusz zaprzeczył gwałtownie.

– Rozumiem, że to dla pana szok. Dla mnie też, ale sam pan przyzna, że sytuacja jest przynajmniej... dziwna.

– Tak, wiem. – Zdenerwowany Dębski potarł czoło. – Artur i Natalia byli kiedyś parą.

– Kiedyś, to znaczy kiedy?

– Kiedyś. Dawno. Jeszcze na studiach. Potem ich drogi się rozeszły, a ja... no cóż, zawsze mi się podobała, więc ja...

– Rozumiem. Nie musi pan tłumaczyć. Wyglądają państwo na bardzo szczęśliwych. – Uśmiechnęła się do Mateusza.

– Tak, to prawda. My... mamy dzieci, na litość boską! – wybuchnęła.

– Spokojnie, panie Mateuszu.

– Jak on mógł?! Po tym wszystkim! – Uderzył pięścią w biurko.

– Proszę się uspokoić. Sytuacja rzeczywiście jest niespotykana, ale czy pański brat miał coś wspólnego z zaginięciem tej dziewczyny? –

naciskała.

– Czy miał? Pojęcia nie mam! Nie widziałem go od lat! Został wykluczony z rodziny!

– Rozumiem, że to państwa prywatne sprawy, i w innych okolicznościach nie pytałabym o to, ale sam pan rozumie... Czy pan Artur wykazywał w przeszłości zachowania agresywne? Czy mógłby skrzywdzić tę dziewczynę?

– Oczywiście, że by mógł! Właśnie w tym rzecz, że tak! Dlatego Natalia przestała się z nim spotykać, jeśli można to tak nazwać. Mój brat jest genialny. Zawsze był. Ale był też chorobliwie... nawet nie wiem, jak to nazwać... To maniak kontroli. Jeśli coś poszło nie po jego myśli, wpadał w szał. Był wrednym dzieckiem. Nie panował nad emocjami. Z wiekiem wyciszył się, jednak wcale nie zrobiło się lepiej. Poznała go pani?

– Tak – odparła krótko.

– Więc wie pani, co kobiety w nim widzą. Jeśli chce, potrafi być uroczy. To nie działało tylko na kobiety. Manipulował każdym, kto się nawinął. Wszyscy go uwielbiali, lecz w pewnym momencie, nawet nie wiem kiedy, przestało mu to wystarczać. Zaczął się zachowywać jak... jakiś psychol. Natalia mówiła mi, co jej robił.

– Był agresywny? Bił ją?

– Nie, nie na początku. Ale straszył ją. Lubił, gdy się bała.

– Groził jej? Zastraszał?

– Nie, nie bezpośrednio... – Wyraźnie wahał się, ile może im ujawnić.

– Panie Mateuszu, to, co pan mi powie, a nie będzie wiązało się bezpośrednio z zaginięciem dziewczyny, zostanie między nami. Powinien pan wiedzieć, że Wioletta przed zaginięciem dostawała pogróżki. Ktoś ją śledził. W torebce znalazła kartę tarota z wizerunkiem wisielca. Nic, co mogłaby zgłosić na policję, różne drobne rzeczy, ale bała się. Była przerażona, a potem zniknęła.

– Mój Boże! – Ukrył twarz w dłoniach.

– Wolalabym nie nachodzić pańskiej żony ani rodziców. W tych okolicznościach byłoby lepiej, gdyby nikt poza panem nie wiedział

o naszej wizycie. Przynajmniej na razie.

– Dziękuję.

– Panie Mateuszu, proszę opowiedzieć, co się wydarzyło.

Przez chwilę jakby się zastanawiał, od czego zacząć.

– Musi pani zrozumieć, że odcięcie się od Artura było najtrudniejszą decyzją w życiu moich rodziców. Mamie złamało to serce. Nigdy nie doszła do siebie. Docierały do nas wieści, że sobie radzi, nie słyszeliśmy niczego niepokojącego. Ojciec... Artur był jego pupilkiem. Prowadzimy rodzinną firmę, jestem starszy, jednak od zawsze wiedziałem, że to Artur ją dostanie. Czy byłem zazdrosny? Tak. Ale widziałem też, co potrafi. Projektował już jako nastolatek i te projekty dorównywały, nawet przerastały prace wielu znanych nam architektów. Miał wizję. Ja jestem praktyczny. Moje projekty są poprawne, proste, dopasowane do możliwości klienta. Artur wychodził poza ramy zlecenia. Pracował dla ojca, jednocześnie studiując, ja już spędzałem w firmie całe dni, więc po wielekroć byłem świadkiem ich starć. Wściekał się, gdy dostawałem do poprawek projekt, który ukończył. Nie przyjmował do wiadomości, że chociaż projekt jest doskonały, mija się z życzeniem klienta. Poprawki, które wprowadzałem, zdaniem Artura obniżały jego standardy.

– To musiało go boleć.

– Owszem, tylko że ja rozumiałem rynek, on nie. Jestem wyrobnikiem, a on artystą. Ojciec też w końcu to zrozumiał. Chciał, żebyśmy się nauczyli współpracować, ale skłaniał się ku temu, bym to ja dostał większość udziałów. Nie powiem, miałem satysfakcję. Wreszcie ojciec mnie zobaczył. Docenił. Artur jednak dorósł. Widziałem jego późniejsze projekty. Miałem wrażenie, iż wreszcie zrozumiał, że jeśli klient nie zapłaci, on nie będzie miał za co żyć, a jego projekty będą istnieć tylko jako makiety.

– Rozumiem, ale co to ma wspólnego z pańską żoną?

– No tak, przepraszam. Odbiegłem od tematu. Natalia. Widzi pani, to wszystko, o czym mówiłem, wywoływało w nim frustrację. Tracił kontrolę. Gdzieś musiał odreagować. Wiem, mówię, jakbym go usprawiedliwiał, ale... Długo myślałem, dlaczego to wszystko się wydarzyło. Dotarło do mnie pewnego dnia, że on po prostu taki jest.

Do brzegu, człowieku! Płyn do brzegu! – ponaglał go głos w głowie Matylidy.

– Wymyślił chory plan. Dorobił klucze do mieszkania Natalii. Przychodził pod jej nieobecność i zostawiał różne rzeczy, przestawiał, zabierał sobie różne pamiątki. Najpierw Natalia myślała, że po prostu nie może czegoś znaleźć, na przykład bluzki czy wisiorka. Potem w tym samym miejscu znajdowała coś, co do niej nie należało. Wracała do domu i zastawiała otwarte okno, choć była przekonana, że je zamknęła przed wyjściem. Albo w mieszkaniu unosił się zapach wody kolońskiej, której nie kojarzyła, jakby ktoś tam był. Zaczęła się bać. Artur wówczas okazał jej ogromne wsparcie, współczuł, pocieszał, nocował u niej, gdy bała się zostać sama. Ideał. A w rzeczywistości upajał się jej strachem.

– Kiedy się zorientowała, że to on?

– Kiedy? Nigdy. Przyłapała go.

– Co się stało?

– To był zupełny przypadek. Artur wyjechał w delegację. Miał wrócić późno. Natalia bała się zostać sama. Rodzice zaprosili ją na kolację. Artur miał ją od nich odebrać, ale Natalia źle się poczuła i poprosiła, żebym ją odwiózł do mieszkania. Odprowadziłem ją pod blok i wróciłem do samochodu, a wtedy zobaczyłem jej telefon. Musiał jej wypaść z torebki, leżał na podłodze koło siedzenia. Wróciłem więc, by go jej oddać, i wtedy... – Urwał na chwilę. – Przyłapała go. Kiedy weszła do mieszkania, zastała Artura, jak wykręcał żarówkę w przedpokoju. Tak ją to zaskoczyło, że zostawiła niedomknięte drzwi. Na szczęście. Chciałem zapukać, jednak zamiast tego po prostu wszedłem i zobaczyłem... Dusił ją. Lecz nie to było najgorsze. Jego wyraz twarzy... Uśmiechał się. Gdy mnie zobaczył, po prostu przestał. Puścił ją, ale...

– Uciekł?

– Nie od razu. Po prostu ją puścił i... Uśmiechnął się i powiedział, że trochę go poniosło, ale dorośli lubią takie zabawy i... Mrugnął do mnie.

– Co było dalej?

– Kazałem mu się wynosić. Zagroziłem, że zawiadomię policję. Natalia płakała. To był jakiś koszmar. Ten uśmiech na jego twarzy... Widzę go do dziś.

– Nie zawiadomiliście policji?

– Nie – skrzywił się. – Ojciec się wściekł. Matka płakała. Natalia była w szoku. Za to Artur wszystkiego się wyparł i cały czas obstawał przy swojej wersji, że była to tylko fantazja erotyczna, ale go poniosło. Zero poczucia winy. Raczej był zły, że został przyłapany. Ojciec kazał mu się wynosić. Zagroził, że jeśli pokaże się w domu rodzinnym, osobiście zawiadomi policję o tym, co się stało.

– Szkoda, że tego nie zrobiliście – powiedziała.

– To by nas zrujnowało. Nie ma dowodów, że Artur jej coś zrobił, prawda? Tej dziewczynie ze zdjęcia. Sama pani mówi, że zaginęła. Może po prostu...

– Nie tylko ona zaginęła. W ciągu ostatnich kilku lat zaginęły cztery kobiety, które spotykały się z pańskim bratem. Pozostałe były nękanie przez nieznanego prześladowcę. Pański brat zrywał wówczas znajomość, twierdząc, że robi to dla ich bezpieczeństwa, a prawdopodobnie sam je nękał, powielając swoje zachowanie z przeszłości.

– Może naprawdę tak myślał. Chciał je chronić przed samym sobą...

– Każda dziewczyna, z którą się spotykał, stanowiła wierną kopię pańskiej żony. Pan Artur wczoraj został przesłuchany w tych sprawach. – Nie dodała, że bezprawnie i prokurator osobiście go przeprosił. – A dziś zniknął. To nie przypadek.

Matylda lawirowała faktami z przerażającą precyzją, wyciągając i interpretując każdy element w idealnym momencie. Ksawery ponownie zaczął rozważać wtajemniczenie jej w swój plan. A co więcej, był pewien, że ta świruska naprawdę jest w stanie doprowadzić do wojny gangów.

I wyjść z tego cało.

– Co teraz? – spytał wyraźnie wyczerpany Mateusz Dębski.

Wyjawienie tego było dla niego trudne. Matylda współczuła mu, ale nie mogła tak po prostu wyjść i o wszystkim zapomnieć.

– Nie wiem – przyznała. – Nie chciałabym zmuszać państwa do rozdrapywania starych ran, ale powinniście zgłosić się na policję. Tak będzie najlepiej dla wszystkich. To były młode kobiety. Miały przed

sobą całe życie. Jestem tylko prywatnym detektywem. Moje uprawnienia są ograniczone.

– Zawiadomi pani policję?

– W świetle uzyskanych od pana informacji nie mam innego wyjścia. Te dziewczyny... Rozumie pan. Nie wiem, jak daleko mógł się posunąć pański brat, ale...

– Nie wiem, jak powiem o tym rodzicom. I żonie. Natalia będzie załamana, że musi do tego wracać. Przeżywać to wszystko od nowa.

– Panie Mateuszu, porządny z pana człowiek. Pańska rodzina zasługuje na spokój. Teraz pan tego nie widzi, ale zamknięcie pewnego rozdziału może pomóc.

– Chciałbym, by miała pani rację. Skontaktuję się z naszym prawnikiem. Zrobię, co trzeba – zapewnił ją.

Ksawery poruszył się niespokojnie. Nie tak to miało wyglądać, jednak nie mógł nic zrobić. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Liczył na coś pikantnego, co pozwoli im przycisnąć młodszego Dębskiego, lecz w tych okolicznościach było więcej niż prawdopodobne, że skurwysyn nawiał.

Skubana, pomyślał, patrząc na emanującą współczuciem Matyldę. Takie emocje nie mogły być udawane, ale grała na Dębskim jak na instrumencie.

*

Marecki bębnił palcami o kierownicę w rytm muzyki. Kaśka właśnie kończyła kolejną serię głuchych telefonów. Przyjechali dwoma samochodami, by w razie potrzeby móc się rozdzielić, ale czas spędzali wspólnie. Obserwacja z zasady była nudna, jednak nudzenie się w duecie było zdecydowanie lepszą opcją niż nudzenie się w samotności. Matylda milczała od kilku godzin. Nie mieli pojęcia, czy działa w ich sprawie, czy też nie, czy może działa, ale w swoich. Tak czy siak, innego pomysłu na życie nie mieli.

Poruszył się niespokojnie. Wysoka, szczupła dziewczyna w krótkiej sukience z kwiatowym wzorem i plecionych sandałach przebiegła przez ulicę. Zbliżyła się do budynku, przed którym stali. Kilkakrotnie wybierała numer na domofonie, ale nikt jej nie otwierał.

– To ona – stwierdził Marecki. – Kolor włosów się nie zgadza, jednak sylwetka tak. Wysoka, chuda, zaraz się złamię.

– Widziałeś, jak tu dotarła?

– Nie, zobaczyłem ją, dopiero gdy przebiegała przez ulicę.

– Dobra, pójde za nią – oznajmiła Kaśka, choć najchętniej podeszłaby do kobiety, pokazała odznakę i przedstawiła sprawę. Marecki musiał odczytać emocje na jej twarzy, bo powiedział surowo:

– Ani mi się waż. Dominiczak opracowała dobry plan.

– Wiem o tym. Nie zamierzam go spalić. Zostań tu – poleciła mu. – W razie czego zadzwonię.

– Uważaj na siebie. Nie wiadomo, gdzie jest Dębski.

– Zadzwon do Matyldy. Niech wie, że jej plan działa.

Powiedzieli to jednocześnie.

*

– O co chodzi? – Matylda spojrzała na Ksawerego. Minę miał nietęgą.
– Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci to zamieść pod dywan? – spytała podejrzliwie.

– Oczywiście, że nie – obruszył się. – Nie zamierzam kryć mordercy, ale musimy pomyśleć, co powiedzieć Wujkowi. Szanse na zakup tej nieruchomości właśnie wynoszą jakieś zero! Nie będzie ani ziemi, ani architekta! Nie możemy mu powiedzieć, że wbrew jego wyraźnemu zakazowi zamierzamy donieść na Dębskiego, a dla pewności skłoniłaś do tego jego brata!

– W gruncie rzeczy to dobra wiadomość – uznała.

– Byliśmy tam razem? W tym samym pokoju? – spytał ironicznie. – Jakim cudem to może być dobra wiadomość?

– Po pierwsze, nikt nie będzie podduszał Wioletki. Po drugie, Wujek ma niezłą kartę przetargową, bo może zaproponować Dębskiemu pomoc w zamian za złożenie podpisu na umowie sprzedaży. Finansową, prawną, a potem zapewnić mu ochronę w więzieniu. Sądzę, że ta ziemia jest tego warta. Wujek chce oprzeć na niej swój fundusz, a ośrodek, który tam powstanie, ma żywić przyszłe pokolenia. Nie mówimy o działce

rekreacyjnej, gdzie po wciśnięciu szopki na narzędzia i tojtoja zmieszczą się dwa rzędy truskawek i trzy krzaczki pomidorów. Potrzebuje całej tej ziemi, a architektów jest na pięćdziesiąt. Nie musi koniecznie mieć jednego w rodzinie. To jego urojenia.

– W ten sposób nie radzę ci tego przedstawiać – zakpił. – Mrówa może okazać się lepszym wyjściem niż wkurwiony Szumski. Uważasz, że to jest realne?

– Oczywiście, pod warunkiem że znajdziesz Dębskiego. Ktoś musi podpisać akt u notariusza. Inaczej się nie da.

– Nawet nie wiem, gdzie zacząć go szukać – wyznał.

– Twoi ludzie w końcu uzyskają dostęp do nagrań ochrony, więc jakoś go namierzemy. Przecież nie rozpułynał się w powietrzu.

Matylda nie przypuszczała, że wymówiła te słowa w złą godzinę.

– Teraz muszę oddzwonić – oświadczyła. – Widzę, że mam kilka nieodebranych połączeń z nieznanymi numerami. Obstawiam kolejne dziewczyny Dębskiego. Odwiedzisz mnie do hotelu?

– Zaczekaj tu. Pójdę po auto.

– Jasne. Nigdzie się nie wybieram. Jestem zbyt osłabiona, by chodzić.

– Dramatycznym gestem przyłożyła wierzch dłoni do czoła i udała, że mdleje.

– A tobie co? – spytał zgryźliwie, nie wiedząc, czemu miałoby służyć to marne przedstawienie.

– Mnie nic, ale przestań rozgrywać mnie jako ofiarę nowotworu – powiedziała z wyrzutem. – To wyjątkowo podłe. Jak chcesz, to sam sobie zgól głowę i udawaj chorego.

– Matylda, mężczyzna bez włosów to tylko łysy mężczyzna. Ale łysa kobieta... Skojarzenia nasuwają się same. Nie mam nic przeciwko wykorzystywaniu tego stereotypu, jeśli ma nam pomóc. A pomógł. Sekretarka w trzy sekundy załatwiła nam spotkanie z szefem. Mateusz Dębski chciał nas wyrzucić, ale twoja łysina znów otworzyła nam drzwi.

Czyli miała rację. To jego sprawka. Nie wydawało jej się, że podstawił jej nogę!

– Nie moja łysina otworzyła nam drzwi, tylko zdjęcie Wioletki. Od samego początku chciałam zagrać tą kartą – odparła cierpko. – Miałeś iść po samochód, to idź. Muszę zadzwonić do Mareckiego.

– Zamierzasz mu o tym powiedzieć?

– Oczywiście! Nie rozumiem, dlaczego pytasz!

Ksawery prychnął tylko coś pod nosem i odszedł. W końcu.

Kaśka rozplynęła się w powietrzu chwilę po tym, jak wysłała mu dość enigmatyczną wiadomość o treści TRAMWAJ. Mógł się tylko domyślać, że koleżanka zawiadamiła go, iż Urbanek wsiadła do tramwaju, a ona za nią. Mogła go też poinformować, że zobaczyła tramwaj, ale nie miała pięciu lat.

Znów skierował wzrok na mężczyzn, siedzących w samochodzie zaparkowanym częściowo na chodniku. Z odległości kilkudziesięciu metrów nie widział ich zbyt wyraźnie, mimo to ich twarze wydawały się znajome. Musi przyjrzeć im się z bliska. Wyjął ze schowka paczkę papierosów na sytuacje awaryjne. Wysiadł, oparł się o auto, wsunął papierosa w usta i kilkakrotnie pstryknął włącznikiem niedziałającej od co najmniej roku zapalniczki. Zaklął pod nosem i rozejrzał się jakby w poszukiwaniu kogoś, kto wspomógł palacza w kłopotcie. Mimochodem jego wzrok zatrzymał się na interesującym go pojeździe i siedzących w środku mężczyznach.

Pomachał ręką i podszedł do nich. Nie zdążył zapukać w okno, gdy szyba sama zjechała w dół i wysunęła się z niej ręka z zapalniczką.

– Dzięki, chłopaki – podziękował serdecznie, pochylając się i zerkając na kierowcę.

– Marecki, od kiedy ty palisz? – spytał go dawny kolega z wydziału.

– Bartek? – zdziwił się. – Co tu robisz?

– Czekałem na kogoś, a ty?

– Powiedzmy, że też.

– Tomek, to komisarz Marecki – przedstawił go siedzącemu obok koledze.

– Witam. Niech pan wsiada. Pogadamy – zaproponował nowy znajomy.

Marecki chętnie skorzystał z propozycji, zwłaszcza że rozpoznał twarz Tomka. Często pojawiał się na zdjęciach, które przeglądał tego dnia. Wcisnął papierosa z powrotem do opakowania.

– Szukasz Dębskiego? – spytał go Bartek, gdy Marecki usiadł na tylnym siedzeniu i zatrzasnął drzwi.

– Tak jakby. A wy?

– My też.

– Dla kogo pracujecie?

– Dla Groma – odpowiedział tamten. – Zrobiłem licencję w ubiegłym roku, po przejściu na emeryturę.

– Pracujesz dla Ksawerego? – Marecki z niechęcią pokręcił głową. – Doszły mnie słuchy, że jego klienci niekoniecznie mają czyste ręce.

– W większości zatrudnia byłych gliniarzy. Zwykła robota, nic nielegalnego. Inaczej nie wziąłbym tej fuchy – wyjaśnił. – Ale masz rację, nie każdy jego klient pachnie świeżością.

– Słyszałem, że pracuje dla Szumskiego?

– Również, ale tylko legalne zlecenia. Ochrona.

– Przecież wiesz, kim jest Wujek.

– No wiem, i co? Płacą na czas. Nie robię nic sprzecznego z prawem. Znasz mnie przecież.

Marecki pokiwał głową twierdząco, jednak powstrzymał się przed wyrażeniem opinii.

– Dlaczego szukacie Dębskiego? – spytał zamiast tego.

– Ksawery chce mieć gościa na oku. Spotyka się z siostrzenicą szefa – wyjaśnił Tomek.

To by wyjaśniało jego obecność na części zdjęć, pomyślał. Pilnował dziewczyny.

– Wioletty? – spytał, jakby doskonale orientował się w układach i układzikach.

– Zgadza się, a co ty tu robisz? Też chodzi o Dębskiego? – spytał ponownie Bartek.

- Tak jakby – powtórzył poprzednią odpowiedź.
- Nie ma go – poinformował go Tomek.
- Wiem, ale nie czekam na niego.
- Widziałem, jak podjechaliście. Ta blondynka to twoja partnerka? – spytał kolega.

Skinął głową, zastanawiając się, ile może wyjawić i czy cokolwiek.

- Sorki, chłopaki, wiecie, jak to działa.
- Spoko, Antek, nie pytam. Dębski dziś w nocy urwał się chłopakom z radaru.

– Słyszałem, że zostawił auto na parkingu przy lotnisku. – Uznał, że tą informacją może się podzielić w ramach koleżeńskiej przysługi, zwłaszcza że pewnie już o tym wiedzą. Jemu powiedziała Matylda, która pracowała dla krewnego Wioletty. Musiałby być kompletnym idiotą, żeby nie dodać dwóch do dwóch i nie zorientować się, kim jest tajemniczy klient Dominiczak. Musi jej powiedzieć, żeby jak najszybciej wypłatała się z tej sprawy, póki nie jest za późno. Nie pracuje się bezkarnie dla Wujka.

– Tak – skrzywił się Tomek. – Odstawił tę Kaczmarek pod dom i odjechał. Nie sądziliśmy, że da nogę.

– A dał? – Antoni udał zdziwienie.

– Nie wiadomo. Okaże się. Na razie obstawiamy firmę i chatę. Nic więcej nie możemy zrobić – odpowiedział mu Bartek.

– Ale licznik bije? – spytał.

– Jasne. Mam stawkę godzinową. Mogę tu nawet spać.

Przy wejściu do budynku pojawiła się kolejna zachowująca się nerwowo kobieta. Rozejrzała się dookoła, po czym kilkakrotnie dźgnęła przycisk na domofonie. Wysoka, nadmiernie szczupła, rysopis się zgadzał.

– Dzięki, chłopaki, za towarzystwo. Muszę lecieć – powiedział Antoni.

Odczekał jeszcze chwilę, by nieznajoma oddaliła się od samochodu, w którym siedzieli. Matylda nie powiadomiła go, że skontaktowała się z nią następna kobieta z listy, ale nie musiała. Porzucona kochanka

mogła od razu uderzyć do źródła, czyli do Dębskiego. Nawet nie wie, jakie ma szczęście, że go nie zastała, pomyślał, widząc, jak tamta wsiada do samochodu.

W pierwszym odruchu chciał pobiec do auta i ruszyć za nią, niestety, ruch na ulicy mu nie sprzyjał. Zapisał w notesie markę pojazdu i numer rejestracyjny. To wystarczy, by namierzyć właściciela, którym okaże się ta dziewczyna albo właściciel wskaże użytkownika. Tak czy siak, zdobył kolejny namiar.

Matylda odczekała chwilę, aż Grom zniknie jej z pola widzenia, i wybrała jeden z numerów, które figurowały w jej telefonie jako nieodebrane połączenie. Rozpoznała go od razu. Ten sam numer widniał na wizytówce, którą dostała od Mrówy.

– Witam, dzwonił pan – powiedziała, gdy się odezwał.

– Mam dla pani dobre wieści – poinformował ją zadowolony męski głos.

– Zwalnia mnie pan? – spytała z nadzieją.

– Ależ skąd! Świetnie się pani spisuje! – zawołał. – Tylko tak dalej! Podziękować chciałem!

– Oookeeejjjj, a tak dokładniej mogę prosić? Za co mi pan dziękuje? Jeszcze nic nie zrobiłam. Oczywiście nie dlatego, że się nie staram. Staram się, i to bardzo, ale nie od razu Rzym zbudowano, jak to się mówi. Muszę to rozsądnie rozegrać. Wie pan, zorientować się w układzie. Ogarnąć, co, kto i gdzie, i...

– Spokojnie, laleczko, spokojnie. Ja jestem człowiek cierpliwy! Przecież wiem, że od razu się nie da, ale podziękować za namiar chciałem. Zainteresował mnie ten Dębski.

– O!

– W tym Gdańsku to oni mają kawał gruntu!

– Tak słyszałam – odpowiedziała ostrożnie.

– Będzie hotelik jak marzenie! Jak się dobrze rozplanuje, to i osiedle domków się machnie. Full wypasik będzie, że hej! Zajebista miejscówka! Prawnik mówi, że wydzielenie gruntu trochę zajmie, bo

zajrzał w księgi wieczyste i mówi, że tam nic nie jest podzielone, ale to nie problem. Temacik się ogarnie jak nie w tym roku, to w przyszłym.

– Rozumiem, że zwietrył pan niezły interes, jednak przekonanie do sprzedaży...

– Tym się pani nie martwi. Nie dalej jak w środę podpisaliśmy umowę u notariusza!

– Jak to w środę? Z kim?

– Z Dębskim.

– Ma pan na myśli przyszłą środę?

– Nie, tę, co była.

– Jak pan mógł podpisać z Dębskim umowę w środę, skoro usłyszał pan o nim w piątek!

– Magia, laleczko.

Czy ja tu czegoś nie rozumiem, czy Pocisk się naćpał?!

– Chwila, o którym Dębskim pan mówi?

– O Arturze. Przecież o nim mowa. A pani myślała, że o kim? O jego bracie? Na jego brata to ja nic nie mam. Porządny chłop.

– Ale... – Urwała. Pracę zaczęła w poniedziałek. Dębski mógł się wystraszyć. Sprzedał ziemię, żeby mieć za co zwiać. To by się mogło zgadzać. Ale jakim cudem w środę?! – Panie...

– Tylko bez nazwisk – przerwał jej.

– Proszę pana, ja nic nie rozumiem. Wczoraj był piątek. Dziś jest sobota. Skąd się wzięła ta środa?!

– Tak się robi interesy w wielkim świecie, laleczko. I nie powinno to pani dziwić.

– Nie? Jak to?

– Gość zaproponował mi sprzedaż ziemi. Podpisaliśmy umowę. Przełałem dziś kasę na jego konto. Cena trochę mnie zdziwiła, bo była mocno zaniżona, ale po tym, czego się dowiedziałem, to ja rozumiem jego decyzję, żeby nawiać.

– Nic nie rozumiem... – wyjąkała.

– No właśnie próbuję pani wyjaśnić, a pani wciąż mi przerywa – zganił ją. – Grunt zaczął palić mu się pod nogami, więc spieniężył, co miał, i prysnął.

– Ale w środę?!

– Co pani tak się uparła z tą środą? Dzień jak dzień!

– A dlaczego środa?

– Notariusz miał wolny termin.

– Ale... Jak...

– Oj, a niby pani taka bystra. To się nazywa antydatowanie.

– To tak można?

– Można, nie można, kogo to obchodzi? Papier cierpliwy, wszystko przyjmie – zarechotał bardzo z siebie zadowolony.

Z opóźnieniem, jednak Matylda wreszcie zaczęła rozumieć, co mogło się wydarzyć.

– Panie... Proszę pana, jeśli policja zacznie go szukać, a zacznie, ta środa odbije się panu czkawką. Dębski był pod obserwacją. Znajdą się dowody, że był w wielu miejscach, jednak biuro notarialne do nich nie należało. Jak pan to wyjaśni? Jeśli pan kogoś podstawił...

– Dzięki, laleczko, ale nie ma się o co martwić. Dębskiego nie było u notariusza. Był jego pełnomocnik.

– Kto?

– A to już nie pani sprawa. Ważne, że papier legalny miał. Umowa nie do ruszenia. Pieniądze poszły. Ziemia jest moja. A dla pani premię mam.

– Dziękuję, nie trzeba. Ja nic nie...

– Te cztery dziewczyny, co pani ich szuka, to ja wiem, gdzie one są – przerwał jej.

– Skąd...?

– Tak między nami, ten Dębski to psychol, jakich mało. Pani wie, że on dom pod lasem miał?

– Wspominał...

– No, to pani tam poszuka.

– Ale gdzie...?

– W ogródku.

– Ale... jak to tak...

– Co mam pani powiedzieć? Pogadaliśmy sobie od serca. Wyznał wszystko jak na spowiedzi! To jedną sprawę ma pani ogarniętą. Dębskim nie powinna już pani zawracać sobie ślicznej główki!

– Ale...

– Rozwiązałem pani sprawę. Co się mówi?

– Dziękuję?

– Nie ma za co. Praca z panią to sama przyjemność.

– A co ja powiem Wujkowi?

– Coś pani wymyśli. Bez obaw. Co pani powie, będzie dobrze. Dębski już nie wypłynie, żeby zaprzeczyć.

– Ale...

– No, to załatwione. Teraz, skoro już nic nie będzie pani rozpraszało, może pani zająć się moją sprawą. Potrzebuje pani zaliczki na koszty?

– Jedną już dostałam, dziękuję.

– Jakby co, numer pani zna. Czekam na dobre wieści.

– Ale...

Gdy Ksaweremu udało się w końcu podjechać po Matyldę, siedziała na krawężniku chodnika i kołysała się jak dziecko z chorobą sierocą. Dopiero gdy zatrąbił, wstała i wsiadła do auta. Poruszała się jak zombie.

– O co chodzi? Coś się stało? – spytał zaniepokojony. – Coś w domu? Z Moniką OK? – dopytywał się, gdy nie odpowiadała.

– Tak, jest OK, ale mamy kłopoty – powiedziała drżącym głosem.

– Jeszcze większe niż teraz?

– Tak, bo ziemi Dębskiego już nie ma i nie będzie.

– Morze ją pochłonęło? O co chodzi? – W końcu udało mu się włączyć do ruchu.

– Mrówa dzwonił. Artur sprzedał mu grunt przez pełnomocnika. Musimy jakoś powiedzieć o tym Wujkowi. Wścieknie się.

– Cholera jasna! – ryknął. – Jakim cudem?!

– Nie krzycz na mnie! Zostałam porwana!

– Wczoraj! Co się wydarzyło dzisiaj?!

– Nie wiem, co się wydarzyło! Mrówa zadzwonił, żeby mi powiedzieć, że jest nowym właścicielem. Dębski wziął kasę i nawiał, a przed wyjazdem podał mu miejsce ukrycia zwłok!

– Że co? Co to za pierdolenie!

– Mrówa powiedział, że pełnomocnik podpisał umowę w środę, a on przelał kasę dzisiaj. I że to magia, która nazywa się antydatowanie.

– Skurwysyn!

– Wujkowi możemy powiedzieć, co chcemy, bo Dębski już nie zaprzeczy.

– Kurwa mać!

– I skoro już nic mnie nie rozprasza, Mrówa czeka na dobre wieści w swojej sprawie.

– Jasna cholera! – Ksawery klął jak szewc.

– To wszystko, co masz do powiedzenia?

– A co mam powiedzieć? Mrówa poćwiartował Dębskiego zaraz po tym, jak ten podpisał pełnomocnictwo! Faktycznie już nie wypłynie!

– Przecież pełnomocnictwo do sprzedaży nieruchomości też musi być notarialne!

– To nie problem – mruknął. – Sam znam jednego czy dwóch notariuszy, którzy... no, nieważne... Pozamiatane. Daj mi pomyśleć, co teraz.

– Jak to co? Musimy przyspieszyć nasz plan. Mrówa oczekuje efektów, a ja mu ich nie dam. I co mam zrobić z wiadomością o dziewczynach? Przecież nie zadzwonię do Mareckiego, żeby go poinformować, gdzie są pogrzebane ciała! Jak miałabym mu to powiedzieć? „Panie komisarzu, Dębskim się pan nie przejmuje, bo już po nim, a jeśli chodzi o zaginione dziewczyny z listy, niech pan zapakuje łopatę do bagażnika i pojedzie

przekopać ogródek Dębskiego. Skąd to wiem? A od takiego jednego, co poćwiartował Dębskiego na własny użytek, ale był tak uprzejmy i pomocny, że przy okazji zdobył i dla mnie informacje. Nie ma za co?!”

– Nie możesz mu nic powiedzieć. Ta sprawa niech się toczy swoim torem. Zachowujemy się, jakbyśmy nic nie wiedzieli – odrzekł Ksawery.
– Plan, który obmyślałeś w sprawie Dębskiego, idzie swoim trybem. Dopilnujemy, żeby kobiety z listy zgłosiły się do Mizery. Mateusz zgłosi sprawę brata, a jeśli nie, sam to zrobię. Nagrałem rozmowę w biurze.

– Ja też.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Na razie nie wychylamy się, policja załatwi sprawę za nas. Dębski nawiał, bo jest winien, i tyle. Wujek tak od razu nie dowie się o ziemi, a my też o niej nie wiemy. Damy Wujkowi nagranie rozmowy z Mateuszem. Będzie wściekły, że namówiłeś go do zgłoszenia się na policję, ale...

– Wioletka uniknęła losu gorszego od śmierci.

– Właśnie. Ziemia w Gdańsku jest stracona, ale Wujek znajdzie inną możliwość inwestycji. Mrówa będzie realizował swój plan po cichu, jak ma to w zwyczaju, więc jest szansa, że żadne informacje nie dotrą do Szumskiego w najbliższym czasie. Wracamy do domu. Trzeba opracować i wprowadzić w życie twój plan wzajemnego zniszczenia gangów, a ja spróbuję od środka pozbawić Wujka możliwości odwetu.

– Jak to zrobisz?

– Jeśli masz rację co do Podkowy, bardzo sprytnie zastąpił ludzi Szumskiego swoimi. Podciął mu skrzydła, teraz trzeba dopilnować, żeby sam nie wzbił się w powietrze.

– Jak to zrobisz?

– Spotkam się z Podkową – odpowiedział ze spokojem.

To będzie dobra okazja, żeby powiedzieć mu, że z interesu nici, bo ubiegł go Mrówa.

*

Klub jazzowy, w którym umówili się z Matyldą, nie był w stylu Mareckiego, jednak detektyw Dominiczak wyznaczyła im tu spotkanie. O ile on nie mógł znieść tego nowoczesnego jazgotu, o tyle Kaśka

wydawała się zachwycona. Gdy zeszli kilkanaście stopni w dół, znaleźli się w przerobionym z kilkunastu piwnic pomieszczeniu z ceglanymi łukami, drewnianą podłogą, przyciemnianymi światłami i sceną, na której podskakiwała i wyginała się wokalistka, wydając z siebie różnorakie dźwięki, chwilami o tak wysokiej tonacji, że Antoniemu świdrowało coś w lewym uchu. Kaśka, rozparta wygodnie na siedzisku, poruszała się rytmicznie.

– Nie wiedziałam, że Matylda ma taki dobry gust – powiedziała, gdy wokalistka zeszła ze sceny, a oklaski ucichły. W tle zaczęła się sączyć przyjemna dla ucha muzyka, która miała melodię. To rozumiał.

– Nie ma. To jedyny klub, jaki zna. I lubi barmana – wyjaśnił jej cierpko.

Nie wspomniał o rozmowie z byłym kolegą. Wolał zostawić dla siebie informację o domniemanym pracodawcy Dominiczak. Z punktu widzenia sprawy nie miało to dla nich znaczenia, tylko musi uprzedzić Matyldę, nim ta wdepnie w jakieś bagno.

– O! Przyszła! – Katarzyna pomachała do detektyw Dominiczak, która właśnie stała przy barze i rozglądała się po sali.

Na głowie miała jakiś czepek, pewnie pamiątka znad morza, pomyślał Marecki.

– Bastuś, coś delikatnego, na chorobę lokomocyjną – poprosiła ulubionego barmana.

– Robi się, pani Matyldo. Dam trochę imbiru.

– Super – ucieszyła się szczerze.

Wreszcie miła odmiana. Kilka godzin spędzonych w samochodzie z warczącym Ksawerym nie należało do przyjemności. Koniec końców ostro się pokłócili. Ona nazwała go oportunistą, a on ją idiotką. Odwiózł ją pod budynek, w którym mieszkała Salomea, gdzie Matylda zostawiła swoje audi. Mimo napiętej atmosfery ustalili, że przyjedzie do domu pogrzebowego następnego dnia z samego rana i razem przedstawią Wujkowi swoje odkrycie.

Przesiadła się do Duśki i przyjechała prosto pod klub, w którym umówiła się z policjantami. Mizera uparła się, żeby postawić jej piwo,

mimo że jedyne, o czym marzyła teraz Matylda, to paść na łóżko, zasnąć i nigdy już się nie obudzić.

– Witam, pani Matyldo! Mam dobre wieści. – Kaśka aż promieniała. – Zdobyliśmy namiary na trzy kobiety, znaczy się adresy, i jeden numer rejestracyjny. To jakaś wędrownka ludów! Jaka jest szansa, że się zgłoszą? Rozmawiała pani z nimi? Podała pani namiary na mnie? – zasypała ją pytaniami.

– Nie wiem. Tak. Tak – odpowiedziała, uśmiechając się do nich życzliwie. To spotkanie było miłym zakończeniem tego fatalnego dnia.

– Nie wiem, czy się zgłoszą, ale tak, rozmawiałam ze wszystkimi i podałam każdej namiary na panią. Teoretycznie wędrownka ludów powinna się zacząć w poniedziałek, ale proszę nie zaniedbywać swoich działań. Lepiej, żeby nie ochłonęły i nie zmieniły zdania.

– Zastanawiałam się, czy nie podrzucić im czegoś do skrzynek pocztowych – zaczęła mówić komisarz Mizera, jednak urwała, gdy Matylda pokręciła przecząco głową.

– Nie wpadajmy w przesadę. Mają doprowadzić panią do Dębskiego. Co za dużo, to niezdrowo. Dębskiego nie ma i nie wiemy, gdzie jest, lecz jeśli się okaże, że wrócił, dajmy na to, z delegacji, i będzie miał alibi na cały weekend, to nie będzie pani miała innego wyjścia, jak tylko szukać nieistniejącego prześladowcy.

– Mówiłem. Nie rzucajmy sobie kłód pod nogi – poparł ją Marecki.

– Poza tym mam coś dla was, ale tylko do odsłuchania – zastrzegła Matylda. – I nie wolno wam nikomu powiedzieć, że o tym wiecie.

– OK – zgodziła się bez zastanowienia Mizera.

– To zależy od... Auć – jęknął, gdy Kaśka kopnęła go w goleń. – OK, nie powiemy.

– Rozmawiałam z bratem Artura. Powiedział mi wszystko. Zgłosi się na policję, więc bez obaw, nie tuszujecie przestępstwa. Po prostu teraz dowiedzie się o nim z lekkim wyprzedzeniem – wyjaśniła, podając im po jednej słuchawce bezprzewodowej do telefonu. – Lepiej, żeby nikt więcej nie słyszał – dodała, jakby nie było to oczywiste.

Włączyła wcześniej przygotowany fragment nagrania.

– „Dorobił klucze do mieszkania Natalii. Przychodził pod jej nieobecność i zostawiał różne rzeczy, przestawiał, zabierał sobie pamiątki. Najpierw Natalia myślała, że po prostu nie może czegoś znaleźć, na przykład bluzki czy wisiora. Potem w tym samym miejscu znajdowała coś, co nie należało do niej. Wracała do domu i zastawała otwarte okno, choć była przekonana, że je zamknęła przed wyjściem. Albo w mieszkaniu unosił się zapach wody kolońskiej, której nie kojarzyła, jakby ktoś tam był. Zaczęła się bać. Artur stanowił wówczas dla niej ogromne wsparcie, współczuł jej, pocieszał, nocował u niej, gdy bała się zostać sama. Ideał. A w rzeczywistości upajał się jej strachem...”

– OK, czyli coś mamy, choć to za mało, żeby...

– Jeszcze jedno. – Matylda nie dała jej skończyć. – Proszę słuchać. – Uruchomiła na telefonie kolejny fragment i z satysfakcją obserwowała, jak zmienia się wyraz twarzy Mareckiego, a oczy Kaśki robią się coraz większe i większe, i bardziej okrągłe.

– „To był zupełny przypadek. Artur wyjechał w delegację. Miał wrócić późno. Natalia bała się zostać sama. Rodzice zaprosili ją na kolację. Artur miał ją od nich odebrać, ale źle się poczuła i poprosiła, żebym ją odwiózł do mieszkania. Odprowadziłem ją pod blok i wróciłem do samochodu, a wtedy zobaczyłem jej telefon. Musiał wypaść z torebki, leżał na podłodze koło siedzenia. Wróciłem więc, by go oddać Natalii, i wtedy... – Mówiący urwał na chwilę. – Przyłapała go. Kiedy weszła do mieszkania, zastała go, jak wykręcał żarówkę w przedpokoju. Obecność Artura tak ją zaskoczyła, że zostawiła niedomknięte drzwi. Na szczęście. Chciałem zapukać, lecz zamiast tego po prostu wszedłem i zobaczyłem... Dusił ją. Lecz nie to było najgorsze. Jego wyraz twarzy... Uśmiechał się. Gdy mnie zobaczył, po prostu przestał. Puścił ją, ale...”

– Teraz wiecie wszystko. Powiedziałam Mateuszowi Dębskiemu o zaginięciu czterech kobiet. Zgłosi się na policję. Jeśli nie, dopilnuję, żeby to zrobił, choć wołałabym nie uczestniczyć w tym bezpośrednio – powiedziała, nie wyjaśniając im dlaczego.

– Nie może pani zrzucić na nas takiej bomby i liczyć, że nic z tym nie zrobimy! – zawołała wzburzona Kaśka.

– Przecież pani ma co robić. Przyjmie pani zgłoszenia od tych kobiet. Wie pani, o co pytać. Wypłynie nazwisko Dębskiego. Zacznie go pani szukać, skontaktuje się z jego bliskimi i dzięki ich zeznaniom powiąże go pani z zaginięciem tamtych czterech kobiet.

– Mamy logiczną dziurę. Ta informacja pochodzi od pani, pani Matyldo – zwrócił jej uwagę Marecki.

– Dębski opłacał zabiegi kosmetyczne wszystkim swoim kochankom, więc bez problemu uzyskają państwo listę klientek z salonu. Mają tam je wszystkie w systemie. Skontaktuje się pani z kobietami z listy i odkryje, że cztery z nich figurują u was jako zaginione. Porozmawia pani z ich rodzinami. Na pewno ktoś wie o Dębskim i groźbach, ale upływ czasu między rozstaniem a zaginięciem mógł spowodować, że nikt nie wspomniał o byłym chłopaku. Informacje, które uzyska pani od gdańskiej policji, pozwolą na domniemanie, że te kobiety mogą nie żyć.

– Dębski nie przyzna się ani nie wskaże miejsca ukrycia ciał.

Dębski już dostał, na co zasłużył, pomyślała, lecz nie powiedziała tego głośno. Wolałaby tego nie wiedzieć. Powinien był spojrzeć w oczy swoim ofiarom i odpowiedzieć za zbrodniczość przed sądem, ale tak się nie stanie. Najważniejsze, że nikogo już nie skrzywdzi.

– Na pewno je znajdziecie – zakończyła z przekonaniem. – Przecież nie jest jakimś geniuszem zbrodni! Na pewno popełnił błąd, i to niejeden.

– To racja – zgodziła się z nią Kaśka. – Oni nigdy nie są tak cwani, jak im się wydaje. Wie pani, jaka jest definicja zbrodni doskonałej? Nikt nie wie, że została popełniona.

Matylda skinęła głową, bo cóż mogła na to odpowiedzieć? Sama właśnie zajmowała się opracowywaniem planu doskonałego.

*

Podkowa był nawet trochę podobny z wyglądu do Wujka. Niewysoki, szczupły, łysy. Na tym jednak podobieństwo się kończyło. Miał ciało biegacza maratończyka. Poruszał się sprężysto i cicho jak kot. W przeciwieństwie do Szumskiego cenił swobodę ubioru. Garnitur tylko w wyjątkowych sytuacjach, na co dzień dzinsy i bluza. I był młodszy,

może w wieku Ksawerego, na pewno nie miał więcej niż czterdzieści pięć lat.

Ksawery uściśnął silną żylastą dłoń i usiadł naprzeciw niego. Przyglądali się sobie dłuższą chwilę w milczeniu.

– Cieszę się, że pan się zdecydował, panie Grom. – Podkowa pierwszy przerwał milczenie.

– Miałem chwilę, by przemyśleć to i owo – odpowiedział Ksawery. – Trochę po czasie, ale doszedłem do interesujących wniosków.

– Mianowicie?

– Propozycja przejęcia ziemi Dębskiego, żeby ubiec Wujka, była podpułą, która miała sprawdzić moją lojalność, co właściwie nie ma już znaczenia, bo ubiegł nas wszystkich ktoś trzeci.

– Możliwe, ale nieistotne. Co jeszcze? – spytał tamten. Wydawał się autentycznie zainteresowany, co Grom ma do powiedzenia.

– O chorobie Szumskiego dowiedział się pan przynajmniej rok temu, nie dalej niż półtora.

– Możliwe...

– W tym okresie zaczął pan stopniowo wycofywać się z mniej legalnych przedsięwzięć, nie paląc jednak mostów za sobą i częściowo zmieniając rodzaj działalności. Jednocześnie rozszerzał pan strefę wpływów, ale koncentrował się pan na ludziach, a nie firmach. Budował pan sieć użytecznych kontaktów. Ktoś musi zająć miejsce Wujka. Natura nie lubi próżni.

– Nikt nie zastąpi Szumskiego.

– Jest pięciu, którzy będą chcieli to zrobić: Tutek, Podgardle, Mrówa, Czapla i Prosiaczek.

– Mają zasoby.

– Siła nie tkwi w zasobach, tylko w znajomościach, a oni ich nie mają. Będą chcieli je przejąć, jednak nie można kogoś zmusić, by chciał dla ciebie pracować.

– Można, panie Grom. Można, ale to działa na krótko. Na przymusie nic trwałego pan nie zbuduje. Taka konstrukcja szybko się rozleci. To

wszystko? Niewiele tych wniosków.

– Pozornie jest tylko pięciu graczy. Nikt nie wie, że jest was sześciu. Przystąpił pan do rywalizacji już dawno, ale odstawił rywali tak daleko, że nawet nie wiedzą o pańskim istnieniu. Grupa specjalna koncentruje się na nich, panu odpuścili.

– Podobno – przyznał Podkowa.

– Bardzo sprytnie wprowadził pan swoich ludzi w szeregi Wujka. Sam ich przyjmowałem. Obserwowałem ich miesiącami, czekając na spotkanie. Żaden z nich nigdy nie skontaktował się ani z panem, ani z nikim z pańskiego najbliższego otoczenia.

– Wiedzą, jakie mają zadanie do wykonania. Mnie się nie spieszy. Nie muszę walczyć z Wujkiem. Natura załatwi to sama. Mam czas, mogę poczekać. Przejmę to, co zostanie.

– Niewiele tego może być.

– Nie jestem zachłanny. To, co wchłonę, wystarczy, resztę zbuduję sam. Tego nikt mi nie odbierze. Ale moje uznanie, wreszcie pan się zorientował. Sądziłem, że dojdzie pan do tego wcześniej – stwierdził Podkowa.

Gdyby nie Matylda, nadal błądziłbym w ciemności, pomyślał Ksawery.

– Zdarza się, że z bliska pewne rzeczy gorzej widać. Doskonała robota, jednak widzę pewne niedociągnięcia.

– Mianowicie?

– Po śmierci Wujka nie zostanie nic, co można podzielić, natomiast będzie pięć psów walczących o kości. W pewnym momencie zorientują się, że nie ma kości, a jest pies, który ją zżarł. Zwrócą się wtedy przeciwko panu.

– Brawo. Wiedziałem, że w końcu pan do tego dojdzie. Nie ukrywam, że to jedyny problem, którego jeszcze nie rozwiązałem. Jeśli ucieknę się do przemocy, wyląduję na celowniku służb. Jeśli tego nie zrobię, nie utrzymam się na rynku. Zawarcie sojuszu z osobami, które stoją za Wujkiem, wspomogłoby mnie, jednak nie mogę negocjować z pozycji słabego gracza. Utknąłem w miejscu i nie potrafię ruszyć do przodu. Potrzebuję planu.

– Wzajemne zniszczenie – powiedział Ksawery, z satysfakcją obserwując wyraz niezrozumienia na twarzy Podkowy. Udało mi się go zaskoczyć, pomyślał. Dobrze. – Mój plan zakłada wzajemne zniszczenie psów. Kość trzeba rzucić już dziś, niech się o nią pozagryzają. Na placu boju zostanie pan. Nie musi pan być silnym graczem, wystarczy, że będzie pan silniejszy niż pozostali.

– Jakież konkrety?

– Mam pewien pomysł, tylko muszę sprawdzić, na ile jest realny, ale powiem tak: cokolwiek dojdzie do pańskich uszu, proszę nie brać w tym udziału.

– Rozumiem... – Podkowa przyglądał mu się w napięciu, jakby próbował odgadnąć ów plan. – Miałem pewną propozycję współpracy dla pana, jednak w tych okolicznościach muszę ją zweryfikować. Nasza współpraca może być bardziej owocna, niż mi się początkowo zdawało – powiedział, wstając, i wyciągnął do Ksawerego rękę na pożegnanie.

Matylda, obyś mnie nie zawiodła! – pomyślał Grom, oddając mu silny uścisk. Umowa została zawarta.

17 czerwca 2012 roku, niedziela

Dzień, w którym zaczął się zmieniać świat

Miecio na widok Matyldy drygnął w lewo, potem w prawo, na chwilę znieruchomiał, łypnął na nią niepewnie i wyartykułował z trudem:

– Dziń dy-bry.

Spojrzała na niego z nieskrywaną niechęcią, jednak odpowiedziała, siląc się na naturalność:

– Witam, panie Mieciu, co tam?

– E... Grobię kupy.

– O to wspaniale. I jak panu idzie?

– OK!

– Brzmi całkiem nieźle. Pan Szumski u siebie?

– Biega.

– Sam jesteś lebiega! – warknął na niego Grom, który wyszedł z chłodni i usłyszał tylko jego ostatnie słowa. – Co on tu robi? – zwrócił się do Matyldy.

– Kopie groby – odpowiedziała.

– Tutaj? Miecio! Miałeś jechać na cmentarz!

– Już by-łem – wyjąkał.

– Jest dziewiąta. Wykopałeś dwa groby?

– Ńnnne-e-e nie mam pałoty łapoty, tego no... – Spojrzał błagalnie na Matyldę.

– Miecio nie ma łopaty – odpowiedziała za niego.

– O, o, o, to... – ucieszył się.

– OK, bierz sprzęt i wypad stąd – poleciał Grom.

– Oookkk. – Tamten odwrócił się i odszedł pospiesznie.

– Nie mogę go zdzierżyć – wyznał Ksawery. – Jakim cudem ty go rozumiesz?

– Nie wiem, ale boję się tego – stwierdziła. – Wujek na miejscu?

– Tak, czeka na nas.

– Jest bardzo wściekły?

– Tak, ale trzymam się ustalonej wersji. Nie kręć, a będzie dobrze – poinstruował ją, jakby to on wymyślił historyjkę dla Wujka, nie ona. On miał tylko dopilnować braku konsekwencji.

Odetchnęła głęboko i mruknęła do siebie:

– Raz kozie śmierć.

Jak na złość podświadomość milczała. A to milczenie brzmiało złowroźnie.

Ksawery przepuścił ją przodem. Wujek siedział przy swoim ulubionym stole, na którym zwykle spoczywały zwłoki, i popijał – sądząc po zapachu przebijającym się przez odór środków odkażających – herbatę jaśminową.

– Witam, pani Matyldo.

– Dzień dobry. – Dygnęła jak pensjonarka, zerkając, czy gdzieś na widoku nie leżą jakieś narzędzia służące obcinaniu palców albo innych kawałków ciała.

– Wiedziałem, że z facetem jest coś nie tak, ale nie przypuszczałem, że to jakiś świr – powiedział gniewnie. – Tracę wycucie do ludzi. Niedobrze.

– Psychopaci, zwłaszcza ci inteligentni, potrafią się nieźle kamuflować – stwierdziła.

– Pani się nie nabrała.

– No... – zawahała się. – To nie tak, że się nie nabrałam, tylko... Ja chyba na nich alergię mam. Zawsze przechodzą mnie dreszcze, jakbym przeszła po czyimś grobie, rozumie pan? Może oni emanują jakąś złą aurą?

Tego dnia Szumski wyglądał naprawdę źle. Jakby przez całą noc nie zmrużył oka.

– Wioletka już wie? – spytała.

– Tak, powiedziałem jej.

– Jak się czuje?

– A jak ma się czuć? Siedzi i płacze.

– To przykre, ale lepiej płakać teraz niż...

– Zwiększyłem jej limit na karcie kredytowej. Do wieczora jej przejdzie – skwitował pochmurnie Wujek.

– Ach, tak...

Ciekawe, ile jest warte złamane serce Wioletki, pomyślała.

Gdyby wziąć pod uwagę jakość obiektu tej miłości, to niewiele, niemrawo odezwał się głosik.

– Czy mam zdać raport?

– Nie, odsłuchałem nagranie. Jebany! Sam bym się nabrał, gdyby nie pani!

Nie ma za co, powiedział głos.

Teraz się znaleźliście? Tchorze!

– Tracę wyczucie!

Już to mówił, pomyślała, przyglądając mu się uważnie.

– Szefie, pani Matylda właściwie skończyła zadanie. Resztą zajmie się psiarnia. Na razie powinniśmy się wycofać z tej sprawy – powiedział Ksawery.

– Tak, to racja. Szkoda, no, szkoda, miałem pewne plany, no cóż, pomyślę nad czymś innym. Pani Matyldo, pani pomoc jak zwykle okazała się nieoceniona – powiedział, szarmancko skinąwszy głową. – Ksawery zajmie się płatnościami.

– Oczywiście, dziękuję bardzo. – Ledwo ukryła uczucie ulgi.

Wujek jednym gestem odprawił ich oboje.

– Co on ma w tej herbatce? – spytała go szeptem, gdy wyszli z chłodni.

– To nie herbatka tak działa. Ma ponaklejane plastry z morfiną – wyjaśnił.

– Aż tak źle?

– Tak, dlatego musimy się pospieszyć – powiedział. – Rozmawiałem z nim. Lekarz mówił coś o trzech miesiącach, ale sama widzisz, jak to wygląda. Pogadamy na zewnątrz.

Matylda tylko skinęła głową przyozdobioną krótkimi blond włosami, w których było jej całkiem do twarzy. Peruka została pożyczona od pijanej w sztok Kaśki, ale, jak ta zapewniała, była to nówka sztuka nieśmigana, więc, wprawdzie z pewną obawą, Matylda jednak ją założyła. Wczorajszy wieczór skończył się bardzo miło, zważywszy na stan komisarz Mizery. Okazało się, że policjantka upija się na wesoło. Wraz z Mareckim odstawili ją do mieszkania. Gdy Matyldzie spadł czepek z głowy, przez chwilę było dość niezręcznie. Marecki zamarł, a Kaśka dostała ataku śmiechu.

I tyle na temat teorii Ksawerego w kwestii postrzegania przez społeczeństwo łysych kobiet, pomyślała z zażenowaniem Matylda.

– Salomea czeka na nas o dwunastej. Będziesz? – spytała.

– Tak – odpowiedział. – Musimy się spieszyć. Plan trzeba opracować natychmiast i jak najszybciej wprowadzić w życie. Wojna musi się skończyć, nim skończy się Wujek.

– Widziałeś się z...

– Do zobaczenia o dwunastej. – Bezceremonialnie wsadził ją do jej własnego samochodu i zatrzasnął za nią drzwi.

Moja noga więcej tu nie postanie! – obiecała sobie Matylda, wyjeżdżając z parkingu przy domu pogrzebowym.

Za twojego życia na pewno nie, podświadomość siliła się na dowcip, ale był on wyjątkowo niskiego lotu.

Kończysz się, Matylda, pomyślała, wyjeżdżając na ulicę. Trzeba było siedzieć z dupą w bibliotece. Nie byłoby Wujka ani Mrówki. Nie byłoby Ksawerego i rozwodu. Nie byłoby...

Roman! Zapomniała o Romanie! Znowu!

*

Tomczak oblizywał lśniące od tłuszczu palce. Na talerzu leżało jeszcze kilka kawałków szczupaczka, jednak nie miał śmiałości zezreć

wszystkiego. Diabelski pomiot nie tknął ryby, twierdząc, że została zamordowana i ona nie będzie brała udziału w ukrywaniu zwłok. Matylda zmarszczyła nos i stwierdziła, że mułem jedzie. Ćwieczek był i znikł, nie wiadomo gdzie, ale kilka kawałków zapakował na wynos. Jediną osobą, która jadła szczupaczka, była pani Jadwisia, matka Matyldy.

– No – powiedziała – z taką rybką to pan może wpadać, kiedy tylko zechce.

– Mnie tam nie trzeba dwa razy powtarzać – zapewnił. – Mogę nawet codziennie.

– Codziennie to nie, ale jakby pan tak ze dwa razy w tygodniu wpadł, to ja zapraszam. Jakies ciasto też mogę upiec.

– Drożdżowe?

– Może być drożdżowe. A na węgorze czasem pan nie chadza?

– Zdarzało się, czemu by nie – pochwalił się Tomczak. – Ale te psie chuje takie giętkie, że spierdoliły mnie z wiaderka i do wody popęzły.

– Bo ja wędzonego bardzo lubię – powiedziała matka Matyldy. – Gdyby się panu zdarzyło złapać, to proszę o mnie pomyśleć.

– Ale ja o niczym innym nie myślę, jak tylko o pani! – zawołał Tomczak w swoim mniemaniu szarmancko, więc tym bardziej nie rozumiał ciszy, która zapadła przy stole, i wyrazu trzech par tak samo niebieskich oczu, wbitych weń, jakby powiedział coś strasznego.

– To było naprawdę obleśne – skwitowała Monika i wyszła z kuchni.

– Ale co? Chodzi o te psie chuje? Przepraszam, ja wiem, że miałem nie przeklinać przy dziecku, ale czasami się wymyślnie... Pani Matyldo?

Spojrzał wzrokiem zbitego psa na byłą już pracodawczynię, która chichotała, jakby sam diabeł ją opętał, i nie mogła przestać.

– Proszę nie zwracać na nią uwagi, panie Staszku – poratowała go Maria Ćwieczek, której powieka nawet nie drgnęła. – Mnie te psie chuje zupełnie nie przeszkadzają. I powiem panu jeszcze, że gdyby pan te węgorze połapał i przypilnował, żeby nie spierdoliły, to moglibyśmy je sobie uwędzić na pańskiej działeczce. Mąż pomógłby panu taką małą wędzarnię postawić.

– Pani Jadwigo, bo jak pani co powie, to... – Pokręcił głową z podziwem. – Ja jeszcze dziś z Marianem zagadam o te węgorki. Skurwysyn zna najlepsze miejscówki. Będą węgorki, będą! Choćbym miał te psie chujy w zębach pani przynieść!

*

Salomea nie byłaby sobą, gdyby burza mózgów miała szansę odbyć się o suchym pysku. Gdy weszli do jej mieszkania, na kuchennym stole stał poczęstunek i połowa alkoholowego asortymentu pobliskiej Żabki.

– Nie pierdol, Ksawery, że nie pijesz – ofuknęła go. – Jedno piwko jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

– Salcia, ja nie wiem, czy układanie planu powinniśmy zaczynać od alkoholizacji – zauważyła Matylda. – Ostatnio trochę przesadziłyśmy.

– A kto powiedział, że zaczniemy? – zdziwiła się była szefowa. – Ale dobry plan trzeba opić. Siadajcie, siadajcie, gołąbki specjalnie zrobiłam i ciasto kupiłam, bo piec to ja za bardzo nie umiem.

Ksawery pierwszy dopadł do miski z gołąbkami, lecz Matylda zatrzymała go stanowczo.

– Hola, hola, nie tak szybko! Najpierw mów, co z Podkową!

– Miałaś rację!

– Z czym?

– Ze wszystkim!

– O co chodzi z Podkową? – wtrąciła się pani domu. – Ja nic nie wiem. Umarł?

– Nie, nikt nie umarł.

Kłamczucha. Dębski umarł.

Sam z siebie nie umarł.

– Postawiła pani w zakładach na czarnego konia? – spytała. – To jest czarny koń. Ten Podkowa.

– Kurwa, Matylda, powiem ci, że mnie zaskoczyłaś – przyznała Salomea, sięgając po wódeczkę.

– Sama pani obstawiała, że jest ktoś jeszcze.

– Wiem, ale mam w chuj intuicję! – Wypiła wódkę do dna, chuchnęła, zagryzła ogórkiem. – Ale że on?

– Przygotowuje się do tego od ponad roku – wyjaśnił Ksawery. – Dlatego zaczął wycofywać się z nielegalnych działań, żeby odseparować się od reszty, gdy zacznie się walka o miejsce Szumskiego.

– Jebaniutki – stwierdziła z podziwem Salomea. – Kto by pomyślał, że skurwiel ma taki łeb. Może i da radę zastąpić Szumskiego, ale przecież reszta zje go żywcem!

– Widziałeś się z nim? – spytała Matylda.

– Tak. Miałaś też rację co do jego ludzi. Przejmuje, co się da, ale stopniowo. Buduje też własne zaplecze. Kiedy Wujek kipnie, będzie miał gotową strukturę do przejęcia, ze swoimi porucznikami na stanowiskach.

– Chwila! Ależ to wszystko zmienia! – zawołała Salomea.

– Nic się nie zmienia. Musimy pozbyć się Mrówy, a że przy okazji szlag trafi wszystkich pozostałych, to tylko pozytywny skutek uboczny. Sama mi mówiłaś, że jak ktoś decyduje się na taki tryb życia, powinien się liczyć z konsekwencjami. Mam plan. Chcą mieć kontakty Wujka? To je dostaną!

– W jaki sposób? Niczego takiego nie ma – sprzeciwił się Ksawery. – Przynajmniej nie w jakiejś skonkretyzowanej formie. Nie istnieje żaden notes ani dysk.

– Zrobimy go! – obwieściła triumfalnie Matylda.

– Wujek będzie musiał zareagować – zauważyła ich była zleceniodawczyni. – Jeśli się rozejdzie, że ktoś go okradł, znów wynajmie ciebie.

– Nie w tym przypadku. Ksawery przekona go, że stoi za tym któryś z jego konkurentów. Nawet jeśli Szumski zaprzeczy istnieniu dysku, i tak nikt mu nie uwierzy. Do wojny nie przystąpi, bo niby po co? A choćby chciał...

– Jego ludzie to tak naprawdę ludzie Podkowy. Będą symulować działanie, a w rzeczywistości pilnować, żeby utrzymać, co się da, w całości, do czasu, aż miejsce Wujka zajmie Podkowa – powiedział Ksawery.

– Dokładnie.

– OK, mamy ogólny zarys, ale jak to zrobimy? – spytała Salomea, zakręcając butelkę z wódką i patrząc pytająco na Matyldę.

Ksawery odsunął talerz i także spojrział z wyczekiwaniem. Plan, który przedstawił Podkowie jako własny, układała Matylda i o dziwo, naprawdę w nią wierzył!

– OK, najpierw dysk. Rozmawiałam z Romanem. Stworzy nam kilka dysków z zaszyfrowanymi danymi, a następnie uszkodzi je w sposób uniemożliwiający odtworzenie zawartości – zaczęła mówić. – W zamyśle ma powstać kupka złomu, który nikomu się nie przyda, ale o jego wartości nie przesądzi zawartość, tylko pochodzenie.

– Twój mąż dał się w to wciągnąć?

– Tak, tylko muszę jeszcze dopracować jakąś wiarygodną historyjkę. To mój problem, jak to ogarnąć. – Matylda była już po wstępnej rozmowie z mężem, który po obietnicy zlikwidowania kota zgodził się na wszystko, łącznie z włamaniem się do Pentagonu. Kota oczywiście nie zamorduje, tylko do czasu wyprowadzenia się Romana z domu przechowa u rodziców, tego jednak mąż już nie musi wiedzieć. – Następnie trzeba sfingować włamanie do Wujka. Nie wiem gdzie, Ksawery poda nam wiarygodne namiary. Włamania oczywiście nie będzie, ale jakieś ślady trzeba zostawić, idealnie, gdyby to był zniszczony komputer.

– Wiem, gdzie Wujek spotykał się z kontrahentami – odpowiedział po namyśle Grom. – To dom z bali.

– Jeszcze lepiej – ucieszyła się Matylda. – Jak się sfajczy, to dopiero będzie głośno. Podpalenie ma ukryć ślady włamania i kradzieży.

– No dobrze...

– Następnie Salomea rozpuści wśród koleśków cebesiów plotkę o tym, co wyniesiono z chaty. Dysk z danymi operacyjnymi samego Szumskiego to nie lada gratka. Śledczy zaczną cisnąć informatorów, którzy za wszelką cenę będą chcieli uzyskać informacje i będą pytać dalej. I tak właśnie plotka o Świętym Graalu zacznie żyć własnym życiem.

– OK, to się zrobi. A jak sprawisz, że rzuca się sobie do gardeł? – spytała zaintrygowana Salomea. Ksawery również czekał z zapartym tchem.

– To będzie ta trudniejsza część. Jak zacznie wrzeć, puścimy plotkę o aukcji. Kto da więcej. Licytacja musi być anonimowa, nie będą wiedzieć, który z nich kupił. Kolesie cebesie też nie mogą wiedzieć, że tak naprawdę żadne dyski nie istnieją, jednak plotka zacznie żyć własnym życiem. Wykorzystamy Miecicia, żeby dostarczył jeden z nich Mrówie. Mrówa oczywiście niczego nie otworzy, ale w świat pójdzie kolejna plotka, że to on ma dysk. Wiem, to najśłabsza część planu, dlatego Mrówa musi pójść na pierwszy ogień. Co do reszty, będziemy działać w zależności od rozwoju wydarzeń. Damy radę! W plotce jest siła!

Salomea odetchnęła głęboko, lecz nic nie powiedziała.

– Po co nam kilka dysków? – spytał Ksawery.

– Na wszelki wypadek, gdybyśmy chcieli ich użyć więcej niż raz.

– Jak Mrówa polegnie i dysk zostanie przejęty przez kogoś innego, kto też go nie otworzy, będzie po temacie – zgłosił zastrzeżenia.

– Nie, ponieważ wtedy wykorzystamy jakąś informację, w której posiadaniu na pewno będzie któryś z ludzi Podkowy, pracujących dla Wujka, i rozejdzie się, że ktoś musiał rozszyfrować dysk.

– Kiedy to wymyśliłaś? – spytał.

– Teraz. Wiem, miałam nie improwizować, ale ja tylko wtedy mam najlepsze pomysły.

– Wchodzę w to – oznajmiła ich była pracodawczyni.

– Słuchajcie, nie jesteśmy w stanie przewidzieć wszystkich konsekwencji i będzie trzeba reagować na bieżąco. Jednak jestem pewna, że damy radę to zrobić.

– Wchodzę w to – powtórzyła Salomea.

– Wiem, że jest wiele niewiadomych, ale wystarczy zrobić pierwszy krok – przekonywała Matylda, również siebie. – Plan jest prosty. Ksawery podpala chatę i dostarcza informacje. Salomea rozsiewa plotki i dostarcza informacje.

– A co ty będziesz robić? – spytał.

– Zarządzać tym całym interesem? – odpowiedziała niepewnie.

Ksawery odstawił piwo i sięgnął po butelkę wódki.

– Wchodzę w to – oświadczył, napełniając trzy kieliszki.

– Jebaniutki! – rozczuliła się Salomea. – Wznieśmy za nas toast! Na pohybel! Na pohybel skurwysyństwu!

Spis treści

[15 czerwca 2012](#)

[16 czerwca 2012](#)

[17 czerwca 2012 roku, niedziela](#)